



TOMASZ
MROZ

**MAKS
KONTRA
MAX**

Tomasz Mróz

Maks kontra Max

Saga

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Max kontra Maks

O książce

Maks kontra Max

Zdjęcie na okładce: Shutterstock
Copyright © 0, 2022 Tomasz Mróz i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728102299

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.



Wygrałeś, Max! Wszyscy od Pereza już gryzą piach – Satrin trząsł się jak liść osiki na wietrze, wiedząc, że to jego ostatnie słowa w życiu. Padł strzał. Bandzior osunął się na kolana, następnie stuknął zakrwawionym czołem w brudną posadzkę niczym mułmanin w modlitwie. Nie żył. Max chwilę popatrzył na to coś, co jeszcze kilka minut było żywą istotą. Rzeczywiście wszyscy z tej przeklętej bandy zostali zlikwidowani, ale on wcale nie wygrał...

Maks przerwał czytanie i zapatrzył się ponuro w okno. *Ależ beznadzieja* – znowu przybłąkała się ta myśl, natrętna niczym bzycząca mucha. Pisał, poprawiał, zmieniał wersję. Raz wyostrzał kluczowe sceny poprzez rozpoczynanie i kończenie każdego zdania przekleństwem. Wprowadzał mnóstwo chaotycznych wypowiedzi, wielokropków, by następnego dnia z ponurą miną wszystko wygładzać, zaprowadzając nieomal klasyczny szyk i porządek wypowiedzi bohaterów. Wkładał w pracę dużo zaangażowania. Z euforii popadał w rozpacz, z rozpaczy w otępienie, z otępienia w furję, i tak na okrągło. A efekt literacki był dziwaczny. Postacie, zazwyczaj przedstawiciele świata przestępczego, raz mówili długo i kwiecicie, kiedy indziej zamykając kwestę w monosylabicznych, ordynarnych burknięciach. Pocieszał się, że wielu autorów tak tworzyło. Nieraz czytał w książce lub widział w filmie, jak bohater odzywający się przez całą opisywaną historię krótko i treściwie, stojąc z pistoletem u głowy nagle rozpoczynał wygłaszanie długich, quasi-filozoficznych tyrad. Najlepszym przykładem Sylwester Stallone w *Rambo*. Tam jakoś przeszło, może przejdzie i u niego. A przecież musiał w końcu skończyć tę powieść. Nie mógł ciągnąć tego w nieskończoność. Jeszcze raz przeczytał fragment, po czym rzucił się do klawiatury i zmienił kwestię Satrina przed śmiercią.

Odniosłeś zwycięstwo, Max! Wszyscy od Pereza już spoczęli na łonie Abrahama...

– Nie, nie. To jest do niczego – zalkał i wściekłym ruchem skasował oba feralne zdania, następnie uderzył wściekle klawiaturą komputera w stół.

Był u kresu wytrzymałości. I to w każdym obszarze życia. Bankrutowała jego koncepcja stania się cenionym pisarzem lub chociażby tylko pisarzem. Kolejne utwory łądowały w koszu albo były wydawane po długich bojach w niszowych wydawnictwach w takich ilościach, że tylko wnikliwi badacze nowości czytelniczych byli świadomi jego istnienia na rynku. Zsugerowana przez *życzliwych* komercjalizacja, wprowadzenie wątków miłosnych i sensacyjnych zaowocowało powstaniem zmutowanej hybrydy literackiej, odstraszałającej nawet tych nielicznych, ale dotychczas wiernych czytelników. Za porażką twórczą podążała mizéria finansowa. Pisanie jest czasochłonne, a brak odbiorców jego literatury sprawiał, że były to właściwie godziny spędzone przy hobby, traktowanym jak najpoważniej, ale jednak hobby.

– Wujek Staszek też lubił się tak oderwać od życia. Całe dni spędzał w tym swoim warsztacie. Stukał, pukał, byle nie musieć naprawdę pracować albo siedzieć z rodziną – w taki sposób skomentowała jego sytuację matka, której nieopatrznie wyznał, co jest sensem jego życia.

Do rodziców powoli dochodziło, że ich syn nie zostanie znanym prawnikiem lub lekarzem, nie mówiąc o godności księżej, dlatego od czasu do czasu dawali upust swojemu poczuciu żalu. Początkowo to porównanie go oburzyło, ale potem przyznał jej rację, przynajmniej częściowo. W swoich marzeniach miał być mistrzem i kreatorem, a został... majsterkowiczem. Klecił na ekranie swojego komputera ze słów i myśli coś, co obchodziło tylko i wyłącznie jego. Jednak największą z porażek stało się jego życie rodzinne. Nie kłócili się z żoną zbyt często. Ale fakty były niepodważalne, doba ma dwadzieścia cztery godziny, a jeżeli dziesięć godzin dziennie się pisze, przez osiem myje, je oraz śpi, a pozostałe sześć poświęca na myślenie o tym, co się napisze, to gdzie znajduje się czas dla bliskich? Rodzina dotąd zawsze przegrywała z pisaniem.

- Chodź na kolację. - Agata uchyliła drzwi jego pokoju. Maks obrócił się zaskoczony.

- Kolacja? Przecież dopiero co... - Spojrzał na zegarek. Było po dwudziestej pierwszej. Spędził nad ostatnią kwestią Satrina cztery godziny? I na dodatek niczego nie wymyślił? - Tak, tak, już idę.

Szybkimi, nerwowymi ruchami wystukał na klawiaturze:

Wygrałeś, Max! Wszyscy od Pereza nie żyją...

Napisawszy to, natychmiast zamknął plik. Żadnej dalszej korekty! Nie można wiecznie siedzieć i poprawiać każdego słowa, nie ma na to siły. Powstająca w bólach nowa książka to przecież tylko komercyjna sensacja. Czytadło, które ma sprawić, żeby podróż albo oczekiwanie w kolejce do lekarza szybciej minęły czytelnikowi. Po co się tak starać? Dla kogo? Nie był pewien czy to w ogóle zostanie wydane.

- Gdzie Basia? - zapytał, nie widząc przy stole córki.

- Śpi - padła zwięzła odpowiedź, jednak pod tym jednym słowem kryło się tysiąc innych, niewypowiedzianych. O tym, że on ma gdzieś swoją małżonkę oraz dziecko, które na próżno czeka każdego dnia, żeby się ojciec nim zainteresował, a nie ponownie zaszył się w norze zwanej szumnie pracownią, wymyślając życie fikcyjnym bytom, a marnując swoje i swoich bliskich, że nie ma z niego żadnego pożytku, bo wszystko trzeba robić w domu za niego i nawet ten niezastąpiony w pracy literata komputer, drukarka i papier zostały kupione z jej biurowej pensji. Te słowa nie padły, ale Maks czuł, że są obecne. Jak duchy, które po każdej kłótni pojawiają się w ich życiu i towarzyszą im potem krok w krok, sącząc truciznę i złe myśli do głowy.

- Kończysz już?

- Tak, kończę - odpowiedział.

Bez dodatkowych wyjaśnień wiedział, że Agata pytała o książkę. Po wielu sprzeczkach ustalili, że to będzie jego ostatnia próba do czasu, kiedy się nie ustakuje, nie znajdzie pracy, nie nadrobi zaległości w kontaktach z córką. Generalnie wszystkich zaległości z ostatnich kilkunastu lat. Postanowił tym razem napisać coś sensacyjnego, książkę, która albo udowodni, że jest całkowitym beztalenciem albo wyprowadzi go na szersze wody. Zaczynając ją, miał nadzieję, że literatura *lekka i przyjemna* da się tworzyć równie lekko i przyjemnie. Powoli przekonywał się jak bardzo błędne były to oczekiwania. Praca się ślimaczyła. Sensacyjny wątek był trudny w opracowaniu, co rusz odkrywał lukę w następstwie lub powiązaniu wydarzeń. Jednak po kilku miesiącach szczęśliwie dochodził do końca zmagania. Według ustaleń z Agatą miał tę powieść napisać, wysłać do wydawnictw i czekając na odpowiedź, w końcu zająć się życiem.

Życie – każdy je inaczej definiuje. Dla Agaty i Basi on ma wrócić do życia, lecz w jego mniemaniu wraz z zawieszeniem pisania ma to życie stracić. Jednak czuł, że to ostatnia szansa w ich małżeństwie i jeżeli czegoś nie zmieni, to będzie źle. Co będzie źle i jak bardzo – tego nie umiał przewidzieć, ale gęsta atmosfera w domu wisiała od miesięcy jak burza gradowa na horyzoncie.

Maks nieraz zastanawiał się, dlaczego Agata z nim jest. Kiedyś odpowiedź nasuwała mu się natychmiast: bo jest młodym, obiecującym, godnym podziwu i adoracji pisarzem. Jednak mijające lata, przynoszące nowe wydarzenia, wytrąciły go z tej pewności. Dziś nie jest młody, nikt go nie podziwia, nie adoruje, a on przestał już być dobrze obiecującym twórcą. Powoli dochodził do wniosku, że jego pisarstwo nie ma z ich małżeństwem nic wspólnego. Jednak nadal szukał przekonującego powodu, dla którego są razem. I jak dotąd nie znalazł.

Zjedli kolację w milczeniu, potem Maks pozmywał talerze. Takimi działaniami próbował od czasu do czasu udowodnić, że interesuje się choć trochę rodziną i domem. Agata siedziała na kuchennym taborecie, pijąc herbatę i obserwując męża przy zlewozmywaku.

– Maks, kochasz mnie? – zadała niespodziewanie pytanie.

– No tak, jasne. Czemu pytasz? – odpowiedział.

– Po prostu chcę to czasem usłyszeć – odpowiedziała Agata. – Nie zaszywaj się dziś tam na noc, proszę. Potrzebuję cię przy sobie.

Często pisał do świtu, potem spał do południa, a Agata i Basia spieszyły co dzień do szkoły i pracy na ósmą. Wychodziło na to, że nawet we śnie się mijali.

– Jasne Agatko, tylko muszę jeszcze... – Nie dokończywszy zdania popędził do swojego komputera. W głowie właśnie zapłonęła genialna w swej prostocie i trafności wypowiedź Satrina, drżącego przed lufą Maxa. Uruchamiał komputer modląc się, żeby wspaniały pomysł nie wywietrzył przed zapisaniem.

Jesteś górą, Max! Perez i jego kumple...

Ręka zawisła nad klawiaturą. Nie, znowu nie to. Maks zaklął i zapatrzył się w czarną noc za oknem.

– Beznadzieja – mruknął. Wstał i wrócił do kuchni. Agata cały czas siedziała z kubkiem herbaty w ręce. – Chciałaś coś ode mnie, Agatko?

– Nie, Maks. Idę spać – odpowiedziała sucho i wyszła.



Wieżowce Bronxu otaczały Maxa wyniosłym milczeniem. Nowy Jork potrafi dać wiele, ale z pewnością nie współczucie i pociechę. To twardy świat dla twardych ludzi, a słabeusze giną zgnieceni przez tryby dnia codziennego i walkę o sukces w każdej dziedzinie życia. Szedł milcząc, nie wiedząc jeszcze, co powinien zrobić...

Czy w Bronxie są wieżowce? – Maksa nagle przeszła przerażająca myśl, która postawiła mu wszystkie włosy dęba. Akcja powieści rozgrywa się w Nowym Jorku, więc realia powinny być opisane dość wiernie. To nie jakaś fantastyka, lądowanie na planecie Alfa, tylko znane wielu ludziom miasto, a nazwa Bronx pojawiała się tu dość często. Poszukał zdjęć w internecie. Bronx, dzielnica Nowego Jorku nie wydawała się być zabudowany wieżowcami, przynajmniej nie tak wysokimi jak na Manhattanie, jednak po dokładniejszym policzeniu pięter przypadkowo wybranego budynku odetchnął z ulgą. Ponad dwadzieścia rzędów okien, to chyba można potraktować jak wieżowiec.

– Tato – Basia uchyliła drzwi pracowni. W rękę trzymała zeszyt. – Co robisz?

– Sprawdzam swoją książkę. Trzeba ją kilka razy przeczytać, żeby znaleźć błędy – odpowiedział Maks.

– Tyle piszesz i jeszcze robisz błędy? – zdziwiła się Basia. – Ja już wszystko umiem. O, proszę.

Położyła na stole zeszyt z krótkim tekstem. Był to opis ostatniej wycieczki z klasą do ZOO. Najwyraźniej chciała się pochwalić. Maks niechętnie oderwał się od swojej pracy i przeczytał tekst córki.

– *Poszliśmy* i zaraz znowu *poszliśmy*, to powtórzenie. *Żyrafa przez zet* z kropką ma być – pokazywał jej błędy. – Ale ogólnie to ładnie.

– No i co, że powtórzenie i *zet* z kropką? Mnie się podoba jak jest i tak zostanie – naburmuszyła się Basia, nie otrzymując oczekiwanej pochwały.

– Ale to błędy obniżające ocenę! – zdenerwował się Maks.

– A ty jesteś łamaga życiowa! – wrzasnęła Basia i wybiegła ze łzami w oczach.

Nie umiał skupić się więcej na tekście. Czuł, że jest złym ojcem. Nie chodziło o to, że wytyka błędy w wypracowaniu, lecz nie umie być z córką. To nie pierwszy raz, kiedy rozmowa z nią przybrała taki obrót. Dlaczego nie ma między nimi porozumienia? Zamyślił się. Przez pierwszy okres życia małej Basi unikał tych nocnych wrzasków, zasikanych pieluch, karmienia, obiecywał sobie, że gdy tylko latorośl podrośnie i pójdzie do szkoły, to zbliżą się do siebie. Lata mijały, a planowana zażyłość nie następowała. Przepelniało go poczucie porażki. Nie umie wykorzystać żadnej okazji do zbudowania relacji z własnym dzieckiem. Może nigdy tego nie dokona. Przecież ona zaraz będzie zbuntowanym, nastoletnim podlotkiem z własnym, hermetycznym światem, gdzie nie będzie miejsca dla zdziwaczałego ojca-pisarzyny. No i do tego to określenie: *lamaga życiowa*. Sama raczej tego nie wymyśliła. Czy tak mówią o nim za jego plecami? Wyszedł z pracowni, podszedł do Basi, która siedziała na swoim łóżku bawiąc się lalką.

- Basiu, ładnie piszesz, a ja tylko chciałem...

- Się mnie pozbyć - dokończyło dziecko. Maks zagryzł wargi. Głupio przyznać, ale miała rację. Tak to sobie wyobrażał, ona usiadła na kolanach, szybko przeczytała tekst, poprawia, pocałuje ją w czołko i po sprawie. Skąd taka gorycz pomieszana z trzeźwym osądem w zaledwie siedmioletnim dziecku?

- Wcale nie. Lubię z tobą być. - Usiadł koło niej i objął ramieniem. - I wiesz co? Bardzo cię kocham.

- A ja ciebie wcale i w ogóle! - burknęło dziecko, czesząc szybkimi ruchami lalkę. W jej oczach pojawiły się łzy.

Czuł, że musi coś zrobić, bezradność rozlewała się po jego sercu.

- A ja ciebie bardzo, bardzo. A jak chcesz to sobie pisz *rzyrafa* przez *erzet*, pani ci poprawi i zapamiętasz do końca życia - zdecydował.

Dziewczynka się uśmiechnęła i pomimo deklarowanej niechęci przytuliła się do jego ramienia.

- Tak bardzo troszeczkę to cię lubię - szepnęła. - Tylko nie odchodź szybko.

Maks został z córeczką w pokoju. Zostawił na później dywagacje o wysokości wieżowców w Bronxie oraz dlaczego jest tak marnym pisarzem.



Max przechodził różne okresy w życiu, krótkie chwile chwały wystawały jak samotne, skaliste wysepki z oceanu bylejakości i zniechęcenia. Najszybciej z wszystkich chłopaków wypita butelka wódki na domówce u Grubego Billa, cudem udany rzut za trzy punkty w ostatniej sekundzie meczu koszykówki o mistrzostwo w High School, czy wreszcie uratowanie Margaret z błotnistego bajora podczas wycieczki kajakiem na uroczysko. To były te dobre momenty, których niewielka ilość jasno przypominały Maxowi kim jest i jaki jest. Życiowym nieudacznikiem, który nie dość, że nie umie stworzyć nic trwałego, to jeszcze przez własną głupotę traci wszystko, co dostał. A teraz właśnie tonął w tym oceanie swojej byle jakiej egzystencji. Zaciągnął niefrasobliwie długi poza oficjalnym systemem bankowym, a wierzyciele okazali się wyjątkowo wrednymi typami.

- Jeszcze się policzymy, Perez! - dyszał w myślach żądzą zemsty, jednak w rzeczywistości nie robił nic. Był winny mafii te cholerne pieniądze i umierał ze strachu, że bezwzględni windykatorzy zgłoszą się do niego zanim pożyczą od kogoś mniej niebezpiecznego na zwrot z lichwiarskim procentem. Jeśli wróca, to tym razem nie skończy się na wybitym zębie i kilku sińcach.

Maks nerwowo kartkował wydrukowaną powieść. Wszystko było wielokrotnie sprawdzone, jednak nie był początkującym pisarzem i zdawał sobie sprawę, że w tekście na pewno nadal jest wiele błędów i *chochlików drukarskich*. A on nie mógł sobie pozwolić na oddanie w wydawnictwie czegoś, co już na kilku pierwszych stronach będzie razić niechlujstwem redakcyjnym autora. Chwała Bogu, edytor tekstów sprawdza przynajmniej błędy ortograficzne. To błogosławieństwo dla takich jak on, niezbyt dbałych o różnice pomiędzy ó i u. Plik przesłał wcześniej do kilku wydawnictw, teraz nadszedł czas na atak osobisty. Co prawda wszystkie firmy proszą autorów o cierpliwość, jak również zastrzegają sobie prawo do kilkumiesięcznej zwłoki w ocenie tekstu. No i oczywiście, do braku odpowiedzi w przypadku odrzucenia tekstu. Jednak Maks nie mógł czekać. Tu i teraz był skraj jego dotychczasowego życia. Był jak wędrowiec ze słynnej średniowiecznej ryciny, który po wieloletnim marszu doszedł na brzeg znanego podówczas, płaskiego świata i wystawia głowę ponad chmury, patrząc ciekawie, a jednocześnie bojaźliwie na to, co czai się za tym tajemniczym końcem. Jedno nie ulegało wątpliwości – nie dopuści do wielomiesięcznej przerwy w ocenie nowej książki. Nie wytrzyma tego psychicznie. Oni będą zwlekać, drukować bardziej znanych, przesuwając go na koniec kolejki, zastanawiać się lub nie poświęcą przekazanej książce ani sekundy, tymczasem jego kariera legnie w gruzach.

- Kariera! - mruknął pod nosem i głośno się roześmiał na myśl o tym, co nazywał tak szumnie. W tak gorzkim nastroju nacisnął klamkę drzwi z dumnym napisem REDAKCJA.

- Dzień dobry! Przyszedłem w sprawie powieści... - rozpoczął pewnie, wręcz bojowo, ale urzędująca wewnątrz pani była weteranką zaprawioną w walkach z nachodzącymi ją

literatami i z gorszymi natrętami niż Maks dawała sobie radę bez trudu. Tym łatwiej jej poszło, że kiedyś się już spotkali i rozpoznała go od progu. Maks niestety nie przygotował się solidnie na to spotkanie i nawet nie pamiętał jak się nazywa ktoś, od kogo zależy jego przyszłość.

– A, pan Maksymilian. Świetnie, że pan przyszedł, bo właśnie zabierałam się za pana książkę. Ale rozumie pan, zalewa nas taka ilość tekstów, gdzie trzeba odseparować ziarna od plew, że nie mogę tak od razu... O, przyniósł pan wydruk! – Kobieta za biurkiem przejęła całkowicie inicjatywę.

– Tak, bo ja... – zaczął Maks, chcąc jej przerwać i wytłumaczyć, dlaczego warto zająć się szybko jego dziełem. Jednak całkowicie uleciało mu z głowy tych kilka przygotowanych wcześniej sloganów zachęcających do zainteresowania się przesłaną książką. Jedynie wyciągnął rękę z plikiem kartek zszytych jaskrawożółtą okładką. Ten pomysł podszeptała mu Agata, twierdząc, że żółty przyciąga wzrok i czytający nie zgubi łatwo powieści w stosach innych dokumentów. Rozmówczyni przyjęła prezent. W tym momencie do pokoju wszedł jakiś mężczyzna.

– O, pan Roman! Pan Roman z działu marketingu wyjaśni panu, panie Maksymilianie, wszelkie zawiłości procesu akceptacji tekstu. Przez nasze ręce przeszło mnóstwo wybitnych twórców. Tu się zaczęło wiele wspaniałych karier pisarskich – zachwalała swoją firmę pani redaktor. Gdyby Maks się trochę przesunął w głąb pomieszczenia, zauważyłby, że trajkocząca kobieta pod blatem biurka daje przybyłemu panu Romanowi znaki ręką, żeby się jakoś pozbył Maksa. Najwidoczniej wizyty zdesperowanych ludzi pióra były tu na porządku dziennym i biuro przeżyło niejedną okupację pod hasłem *Przeczytajcie mój tekst albo się zabiję*. Pan Roman był równie wprawnym graczem, jak jego koleżanka. Chwycił Maksa pod ramię i oznajmił tonem zawierającym dużą dawkę słabo udawanej sympatii pomieszaną z jeszcze większą dozą źle ukrywanego zniecierpliwienia:

– Panie Maksymilianie, chętnie przestawię panu wszelkie niuanse naszej oferty. – Niemal wypchnął go na korytarz. – Chciałby pan wydać na własny koszt, czy może tradycyjnym torem? Naszym autorom proponujemy obie te, jak najbardziej równorzędne, formy.

– Eee, tradycyjnie, książkę chciałbym, eee, żeby wydrukować – wydukał Maks, na chwilę zapominając ze stresu o gramatyce. Po sekundzie zrozumiał, że mogą tu od niego chcieć pieniędzy. W głowie zapaliła się lampka z napisem *Panika*. Zebrał myśli i już dużo składniej odpowiedział: – Moja książka jest jak najbardziej komercyjnym produktem, jestem przekonany, że świetnie państwo na niej zarobicie. Zawarłem tam zarówno wątki...

– Oczywiście, chętnie przeczytamy i wydamy – pospiesznie potwierdził pan Roman, a z tonu głosu i mowy ciała nawet przedszkolak wywnioskowałby, że sam niezbyt wierzy w to, co mówi. – A tymczasem, niestety, muszę pana pożegnać, ponieważ obowiązki...

Końcówka zdania nie dotarła już do uszu Maksa. Pan Roman oddalił się szybkim krokiem, a Maks spostrzegł ze zdumieniem, że stoi przy szklanych drzwiach wejściowych do siedziby wydawnictwa, gdzie niepostrzeżenie doprowadził go sprytny spec od marketingu. Mógłby, co prawda, zawrócić, wejść ponownie do biura, ale powoli docierało do niego, że to nie zda się na zbyt wiele. Jedyna nadzieja w żółtej okładce. No i

w Bogu, który może ma ochotę poświęcić choć chwileczkę losowi jednej ze swoich owieczek i pomóc jej w trudnej sytuacji.

Jeżeli chodzi o Boga, to nie można powiedzieć, żeby Maks był zbyt religijny. Przez wiele lat hodował w sobie artystyczną niezależność, a jednym z jej podstawowych wyróżników był specyficzny stosunek do Boga. Wychowano go wprawdzie w tradycyjnie katolickim duchu, z katechezą w szkole oraz pierwszą komunią przyjmowaną gremialnie przez całą klasę. Dlatego nic dziwnego, że Maks, tak jak wielu Polaków, nie miał jasno sprecyzowanej postawy wobec religii. System nie daje okazji ku głębszym przemyśleniom w tej materii, wpychając dzieci w tryby sprytnie zaprogramowanej maszyny, która nie odpowiada na mnóstwo pytań nurtujących młodych ludzi. On bynajmniej nie uważał, że Bóg nie istnieje, nie był ateistą jak wielu twórców. Po prostu, lata temu, kiedy kształtowały się jego postawy społeczne, stwierdził, że typowy polski katolicyzm nie jest dla niego i można wierzyć po swojemu. To zresztą było w jego szkolnych czasach bardzo modne. Ludzie czytali Biblię Szatana LaVey'a, książki Hare Kriszna, odrzucali wiele niewygodnych wymagań Kościoła, a jednocześnie deklarowali się jako katolicy, a już na pewno chrześcijanie. Lata mijały, a własna wersja wiary przekształcała się w coś na kształt koegzystencji. Bóg był, on w niego jakoś tam wierzył, a Stwórca w rewanżu nie za bardzo się wtrącał do życia pisarza. Jednak w trudnych momentach Maks lubił myśleć, że ktoś z góry może mu pomóc. Tak zrobił i teraz.

– Pomóż mi, Boże. Ta powieść jest dla mnie przełomowa – szepnął, zamykając oczy. Następnie otworzył je szeroko i rozglądnął bacznie wkoło, jakby oczekując cudu, na przykład w postaci pana Romana z działu marketingu biegnącego z korzystnym kontraktem w dłoni. Cud jednak nie nastąpił. Ktoś wchodząc do wydawnictwa obrzucił Maksa błędnym spojrzeniem. Ten domyślił się, że kolejny literacki straceniec idzie szturmować biuro i sprytny pan Roman znowu będzie miał zajęcie. Westchnął, odwrócił się na pięcie i powlókł do następnego potencjalnego wydawcy.



–*Nowy biznes? Ho, ho, ho. Od tej strony cię nie znałem – Stan nie mógł się nadziwić przyплыwowi gotówki u przyjaciela.*

– *Powiedziałbym nawet, że nowy rozdział życia – chętnie odparł Max.*

– *Gratulacje – mruknął przyjaciel, a Max odniósł wrażenie, że w serdecznym tonie czaiła się nutka zazdrości i powątpiewania w prawdziwość zasłyszanych informacji.*

– *Nowy rozdział życia? – zdziwił się Staszek, gdy usłyszał o planach swojego starego kumpla. – Reset i odbudowa relacji? Sam to wymyśliłeś?*

Maks skinął głową w kierunku kuchni, gdzie Agata przygotowywała posiłek.

– *Oczywiście, że prawie sam – usta powiedziały coś przeciwnego niż mowa ciała. – Ale wiążę jeszcze spore nadzieje z tą nową książką. Uważam, że mogę się nią przebić.*

– *Mhm, super – mruknął Staszek usiłując szybko w myślach podliczyć ilość razy, kiedy napisany przez Maksa utwór był anonsowany jako murowany bestseller. – A o czym napisałeś? Jaki gatunek?*

– *Brutalna sensacja bez happy endu. Coś jak Brudny Harry, tyle że w Nowym Jorku, a nie w San Francisco – oświadczył Maks i zawiesił głos oczekując reakcji przyjaciela na ten nietypowy dla niego kierunek literatury. Jednakże Staszek nie okazywał jakichkolwiek głębszych odczuć.*

– *Napisałeś powieść o jakimś detektywie? – zdziwił się jedynie wyborem tematu.*

– *Nie, o zwykłym facecie, który nie bardzo sobie radzi z życiem. Nazwałem go Max.*

– *O, doprawdy? Co za dziwne, egzotyczne imię – zażartował Staszek.*

– *Ale nie piszę tam o sobie, jeżeli to masz na myśli. Max jest Amerykaninem, daleko stąd, w zupełnie innej rzeczywistości – Maks wyjaśniał swoją koncepcję, nieco urażony kpiarskim tonem przyjaciela. – Trochę pije, trochę narzeka na swój los, czasem kłóci się z żoną, aż pewnego dnia przyciśnięty finansowo do muru pożycza pieniądze od mafiosów. Ci żądają wkrótce drakońskich odsetek, początkowo szantażują tylko Maxa, ale potem porywają jego żonę i córkę. Znaczą on tak myśli, choć w rzeczywistości... – Maks się zająknął, a potem szybko dokończył: – W końcu Max walczy nie tylko o siebie, ale już o całą rodzinę, o życie.*

– *Powiedziałeś, że powieść jest bez happy endu, czyli ktoś ginie? – domyślił się Staszek.*

Maks kiwnął milcząco głową, co dało się różnie interpretować, niekoniecznie jako potwierdzenie. Jednak można się było domyśleć, że opisany w powieści los bohaterów nie był godny pozazdroszczenia.

– *A potem ten nie-ty chodzi z ponurą miną po knajpach Nowego Jorku i pije do szarego świtu, opowiadając smętnym barmanom o tym, jak spieprzył życie sobie i innym. Ale, pomimo że jest mu z tym źle, to jednak trochę dobrze. Ma w końcu tę swoją rysę, która zostanie na nim do końca życia. Uczyni go artystą, choćby i niczego wielkiego nie stworzył... – dopowiedział nieoczekiwanie Staszek, a Maksa aż zatkało z zaskoczenia.*

– E, no co ty? To fikcja. Max ze Stanów to nie ja – wyjaśnił po chwili milczenia. Jednak delikatne drżenie jego głosu sugerowałoby co innego. Za długo się znali, żeby Staszek tego nie zauważył.

Maks nikomu tego dotychczas nie powiedział, ale zawarł w tej książce wiele wątków autobiograficznych, jak w żadnej z ją poprzedzających. I pomimo deklarowanego braku wspólnoty losów Maxa i Maksa, nie mógł zaprzeczyć, że z każdą zapisywaną kartą umieszczał w przekazywanej opowieści coraz więcej obrazów samego siebie. Łączyło ich wiele – nieumiejętność egzystencji w nowoczesnym społeczeństwie, z jego bezwzględnością i wszechobecnym *wyścigiem szczurów*, brak pewności celu życia oraz stosunek do najbliższych, których kochają, ale i oskarżają o wiele złych rzeczy i zaniedbań. A w końcu rzecz najważniejsza – tęsknota za byciem wolnym artystą, półbogiem pławiącym się w cudownym blasku własnego talentu i niczym nieskrępowanej swobody wyrazu. Był to jeden z podstawowych powodów, dla których Maks zdenerwował się na Staszka, bo ten dotknął tej skrzętnie skrywanej tajemnicy. Maks, od kiedy pamiętał, śnił o wyrwaniu się z obecnego, marnego życia na wymarzoną wolność. Pojmował ją jako pełne zadumy i wzniosłych idei trwanie powszechnie czczonego, niezależnego artysty, który nie zawraca sobie głowy rodziną, brakiem pieniędzy, w ogóle nie zauważa trosk dnia powszedniego. Im bardziej każdy mijający dzień udowodniał mu, że nigdy do tego nie dojdzie, tym chętniej on fantazjował o jakimś niesamowitym wydarzeniu, które cudem odmieni jego los. Różne rozwiązania przychodziły mu na myśl: meteor burzący całą kamienicę, gdzie tylko jego pracownia ocaleje albo jakaś zaraza dziesiątkująca populację kraju, a omijająca jego – jednostkę wybitną i jako taką szczególnie chronioną przez Boga.

Uf, znowu Bóg? – Maks zdziwił się faktem, że ponownie pomyślał o tym nienarzucającym się sąsiedzie, z którym jednak często się spotyka i wymienia grzecznościowe uśmiechy oraz zdawkowe pozdrowienia.

Dotarło do niego zaraz, że popadając w zamyślenie o swoich ideach i nierealizowalnych marzeniach, przesiedział ze Staszkiem i Agatą kilka minut, zupełnie tego nie rejestrując. Tymczasem oni rozmawiali właśnie o nim.

– Tak, tak, Staszku. Jakbyś miał zamiary na jakąkolwiek robotę dla Maksa, to przyślij. Maksiu planuje wziąć się za siebie... – perorowała jego żona.

Maks przyłapywał się ostatnio, że w swoich myślach *odpływa* z rzeczywistości w najdziwniejszych momentach. Tak jak teraz, kiedy Agata właśnie tłumaczyła Staszкови nową sytuację, w której jej mąż, czyli on, musi znaleźć pewne zatrudnienie, aby oddalić się od dotychczasowych *glupot*.

Staszek pomrukami i kiwaniem głową potwierdzał swoje poparcie dla projektu *Maks – nowe, lepsze życie*, zerkając jednocześnie z wyrazem troski na przyjaciela.

– Tak, tak. Jakbyś coś miał, to chętnie... – potwierdził Maks niepewnym tonem, udając, że cały czas brał czynny udział w tej pasjonującej dyskusji. – Nigdy nie wiadomo, czy się uda z tą nową książką.

Agata spiorunowała go spojrzeniem, które jasno mówiło, co ona myśli o karierze i zarabianiu poprzez słowo pisane. Staszek powoli się zęgnął, dziękując za poczęstunek. Maks odprowadził go do wyjścia.

– Agata ma rację, normalna praca *od-do* wyjdzie ci na dobre, do pisania zawsze można wrócić. Ale nie zrobię nic wbrew tobie – Stach oświadczył szeptem przy pożegnaniu. Następnie rozglądął się, sprawdzając, czy nikt ich nie słyszy i szepnął jeszcze ciszej niż przed sekundą. – Aha, i z tym usuwaniem rodziny w powieściach, to się zastanów. Niekiedy Opatrzność chce ukarać ludzi za głupie pomysły i dopuszcza do ich realizacji.

Po tych słowach wyszedł. Kiedy Maks zamykał drzwi za przyjacielem, jako odpowiedź na jego ostatnią radę w jego głowie na ułamek sekundy zagrziała mocno jedna myśl, przerażająca w swej prostocie i jednoznaczności: *Przecież ja chcę, żeby oni zniknęli, pozostawiając mnie i moje marzenia w spokoju.*

Zamarł w bezruchu, zaskoczony tym krzykiem wewnątrz siebie, potem ogarnęło go przerażenie. Co on najlepszego wyprawia? Jak można chcieć śmierci lub innego rodzaju odejścia swoich najbliższych osób? Przez dłuższą chwilę stał w korytarzu, uspokajając się i skrzętnie usuwając z pamięci choćby echo słów, które niespodziewanie zabrzmiały w jego głowie po słowach Staszka. Nie może wrócić w takim stanie do pokoju. Przecież ona wszystko zrozumie po jednym spojrzeniu.

– A ty co tak stoisz w ciemnościach? – Agata niespodziewani wychynęła zza rogu przedpokoju. Podeszła do Maksa i przytuliła się do niego. – Fajny ten twój Staszek. A wiesz, że ja go kiedyś wcale nie lubiłam. Wydawał mi się taki drętwy, ale teraz, po latach, to właściwie jedyna osoba, która została z twoich dawnych kolegów...

Maks objął ją i przytulił. Serce biło mu jak szalone. Po tamtej myśli został już tylko popłoch i dziwne uczucie, jakby zobaczył przez sekundę coś bardzo złego i przerażającego, a teraz nie jest pewien, czy mu się to nie śniło. Jak mógłby chcieć ją stracić? Przecież to jego ukochana żona, jego słodka Margaret...

Aż podskoczył, kiedy doszło do niego, że użył w myślach imienia żony Maxa, bohatera swojej powieści. Co się z nim dzieje? Za długo pisał tę cholerną książkę. Reset i odpoczynek od pisania to może nie taka idiotyczna idea.

– Tak, Agatko. Staszek jest prawdziwym przyjacielem. Mogę dziękować Bogu, że mam kogoś takiego – drżącym głosem potwierdził wspaniałość przyjaciela.

Znowu Bóg. Czy on nie za dużo dziś o nim wspomina?

– Kocham cię, Maks – szepnęła Agata.

– Ja ciebie też – odpowiedział.

Myśli o nieosiągalnym w jego warunkach, boskim życiu na wolności, bez zobowiązań i trosk doczesnych, odpłynęły daleko. Czuł w swoich ramionach Agatę i chciał być teraz z nią. Kochać się i zatapiać w sobie nawzajem. Jak kiedyś, zaraz po ślubie.

– Chodź, Basia już śpi. A my zacznijmy ten nowy etap życia od mocnych wrażeń – pociągnął ją do sypialni.

Jak się okazało, literacki heros, teoretycznie stworzony wyłącznie do rzeczy wyższych, pragnie również od czasu do czasu udanego seksu, do którego potrzeba drugiego człowieka, choćby i niepodzielającego wzniosłych koncepcji bujania w obłokach życia.



– Jesteś mi winny sto sześćdziesiąt dolarów i piętnaście centów – Max wrzeszczał na faceta w garniturze stojącego u wejścia do kantorku z napisem BOSS. Był to rzeczywiście jego szef, a dokładniej były szef, który właśnie kilka minut temu oświadczył mu, że nie ma ochoty być dłużej jego przełożonym. Dodał również, że nie wiąże się to z awansem Maxa, a wręcz odwrotnie, z natychmiastowym zwolnieniem. Zgodnie z amerykańskimi standardami i tradycją panującą w tej firmie, Max nie miał okresu wypowiedzenia, więc zanosilo się na sceny znane z wielu filmów, kiedy pracownik idący do szefa z uśmiechem na ustach i wizją premii za dobre wyniki, wraca smutny i zaczyna pakowanie osobistych szpargałów do kartonu, za który pracodawca wielkodusznie nie każe mu płacić.

– A ty jesteś winien firmie sto sześćdziesiąt dolarów i dwadzieścia centów za straty wynikające ze stania personelu na korytarzu i wysłuchiwania twoich żalów i bzdurnych żądań – wyjaśnił uśmiechnięty szef. Było jasne, że Max złością nie ugra zbyt wiele. – Dawaj piątaka.

Kilka minut później znalazł się przed budynkiem z pudełkiem pod pachą. Jak ma powiedzieć to teraz Margaret? Jak spłaci długi? Co pocznie?

– Literat, zrób mi jeszcze zestawienie dzisiejszych godzin – rozkazał kierownik i zniknął za szklanymi drzwiami kantorka. Maks zgrzytnął zębami, lecz bez sprzeciwu włączył system komputerowy zliczający wykonanie zleceń w magazynie. Pracował od kilkunastu dni w biurze zakładu produkcyjnego jako pomoc administracyjna. Robił zestawienia, raporty, wysyłał maile, przygotowywał materiały dla klientów i... nienawidził. Szczerze nienawidził tej roboty od pierwszych minut. Polecił go znajomy znajomego Staszka i taka rekomendacja wystarczyła, żeby go przyjęli. Powinno go zastanowić, dlaczego biorą pierwszego lepszego bez sprawdzenia jakichkolwiek kompetencji. Jednak napór domowników, połączony z wewnętrznym postanowieniem odmiany, dał efekt w postaci ślepoty na wszelkie znaki świadczące o tym, że łąduje się w kabałę. Praca na stanowisku młodszego asystenta do spraw administracyjnych wymagała posiadania dwóch rąk z kilkoma palcami do stukania w klawiaturę, przeciętnie funkcjonującego mózgu, jak również krótkiego przeszkolenia w zakresie działania funkcji zainstalowanych tu programów komputerowych oraz teflonowej odporności na szefa z jego uszczypliwymi odzywkami. Maks nieopatrznie wspomniał z dumą w pierwszym dniu pracy, że pisze książki. Nie zadał sobie pytania, co dokładnie zamierzał tym uzyskać. Traktował to bardziej jako działanie identyfikacyjne, jakby chciał zasygnalizować swoim nowym koleżankom i kolegom, że jest inny i zostanie z nimi tylko na chwilę, dopóki nie wskoczy znowu w swoje pisarskie koleiny. Jednak tego typu wypowiedzi okazały się być dużym błędem. Reakcję na przekazaną rewelację można podzielić na dwie, nierówne w długości trwania fazy. Krótkie *Łał, super!* ze strony tych pojedynczych współpracowników, którzy przypadkowo to słyszeli oraz nieskończony ciąg docinków płynący ze strony kierownika wraz z natychmiastowym

przyklepieniem mu przezwiska *Literat*. Maks pocieszał się, że jest to nowe, cenne doświadczenie, które jeszcze mu się przyda w twórczości lub może nawet poza nią. Ale szczerze powiedziaławszy, pierwszy raz w życiu zderzył się z rzeczywistością, w której wyznanie typu *jestem pisarzem* jest traktowane nieomal jak wynurzenia zboczeńca lub osoby obłąkanej i nie za bardzo wiedział jak sobie z tym poradzić.

Jak już wspomniano – nienawidził ich wszystkich. Począwszy od szefa, poprzez współpracowników, aż po tych, z którymi musiał się zetknąć podczas nieszczęsnych ośmiu godzin roboczych w ciągu dnia. Jednak nienawiść ma to do siebie, że raz zasiana, pleni się i kiełkuje we wszelkich kierunkach. Nienawidził również Staszka za to, że ma znajomego, którego znajomy zna jego obecnego szefa. Nienawidził też żony, która nie akceptuje jego powołania i stylu życia. Nienawidził rodziców za to, że wychowali go do wyższych celów, a nie przygotowali do zwykłej, szaraczkowej egzystencji. I nawet córka... Nie, Basia nic nie zawiniła. Chociaż ten jeden, jedyny punkt jarzył się optymistycznie na szaroburym firmamencie jego gniewu.

Sytuacja nie była pozbawiona również nielicznych jasnych stron. W domu chwilowo stał się bohaterem, który pokonawszy własną słabość i rezygnując z własnego, literacko-boskiego *ja*, poświęca się dla dobra ogółu poprzez codzienne poranne wstawanie razem z żoną i córką, przejazd autobusem do innej dzielnicy miasta oraz dzielne wytrzymanie codziennej harówki na stanowisku młodszego asystenta ds. administracyjnych. Jednak żar chwały pierwszych dni pracy powoli wygasał, a codzienne dojazdy, nudne zadania i nieustające docinki szefa pozostały.

Maks po chwili klepania w klawisze komputera wygenerował w programie ciąg liczb obrazujących oczekiwane dane, które według zarządzających tym zakładem, powinny być jego pasją. Tak to przedstawił kierownik podczas pierwszej rozmowy. Stwierdził, że dają ludziom pasję działania i sens życia. A potem okazało się, że chodzi o cyferki, tabelki i raporty.

– Literat, masz te godziny? – Z kantorka szefa popłynęło ponaglenie. Maks szybko sformatował tabelę z danymi i wysłał do kierownika. Po sekundzie dobiegł go wibrujący wściekłością komentarz: – Zły format mi podesłałeś. Miałeś zaokrąglać ułamki i używać amerykańskich dat.

Maks zapewnił pospiesznie, że zaraz poprawi, ale wewnątrz się aż gotował. Jakże on pragnął, żeby Bóg ukarał tego typu zła ściany. Tu i teraz. Nawet nie umiał dokładnie określić za co. Może po prostu za to, że jest i jakim jest. Nienawidził go jakoś tak organicznie, tak jak ogień nie cierpi wody. Szybko wysłał kolejny, zmieniony mail.

– Coś ty przysłał? Kurwa, to chyba jakiś wirus! – zza szyby ozwał się dziki ryk. Po chwili boss podbiegł do niego z grymasem wściekłości na twarzy. – Literat, pokaż coś mi puścił, bo mi komputer padł zaraz po otwarciu wiadomości.

Oględziny wysłanego pliku nie wykazały nic podejrzanego. Kierownik odszedł gryząc wargi w zdumieniu. A Maks zapatrzył się w okno. Usiłował sobie przypomnieć, co on dokładnie przed chwilą pomyślał? To było jakoś tak: *Żeby Bóg...*

– Jasny gwint – jęknął.



Max się upił. Zdarzało mu się to czasami, kiedy poczuł trochę wolnej gotówki w kieszeni. Oczywiście nie był typowym pijakiem, który w szale poszukiwania pieniędzy na kolejną butelkę wszczyna awantury, rozbija dziecku skarbonkę lub sprzedaje w lombardzie pierścionek zaręczynowy podkradziony ze szkatułki żony. Nie, nic z tych rzeczy. W przypadku Maxa było to pijaństwo kontrolowane, jedynie za gotówkę, która nie miała swojego jasnego przeznaczenia, była nadwyżką ponad standardowe potrzeby. Oczywiście pojęcie nadwyżki w rodzinnym budżecie praktycznie nie istnieje. Zawsze znajdzie się jakiś zakup, na który zabraknie pieniędzy. Jednak patrząc z boku na styl życia Maxa nie można mu było zarzucić utracjuszostwa. Co innego Margaret – ona nie patrzyła z boku, a jak najbardziej z rodzinnego centrum dowodzenia. Dla niej sytuacja nie wyglądała na utrzymywaną pod taką kontrolą, jak przekonywał ją, a przede wszystkim siebie, Max. Dodatkowo styl bycia męża jasno unaoczniał jej, że w dziedzinie finansów nie powinna liczyć w życiu na zbyt wiele. Zresztą w innych dziedzinach podobnie. Po prostu, musiała się pogodzić, że jest on zwykłym facetem z pociąganiem do piwa oraz wysiedzianej kanapy przed telewizorem, a jej młodzieńcze marzenia o życiu w złotym pałacu przy boku księcia należały już tylko do sfery podań i legend dawno minionych czasów.

Maks się upił. Jeszcze nigdy nie wrócił do domu w takim stanie podczas wszystkich lat małżeństwa. Kiedyś, na studiach, pił często i regularnie, oddając się bez skrępowania typowym uciechom żaków. Od kiedy związał się z Agatą, używał alkoholu jedynie okazjonalnie i w małych ilościach. Z czasem zdał sobie sprawę jak bardzo nie znosi towarzyszącego wódce braku kontroli nad ciałem, a szczególnie językiem, który u niektórych nadmiernie się rozwiązuje. Do tego zawsze pojawiali się jacyś chętni do bliższych kontaktów, bruderszaftów, klótni politycznych lub niekończących się wynurzeń o problemach egzystencjalnych. Nie lubił tego. Ale dziś dostał pierwszą wypłatę i upił się jak typowy przedstawiciel klasy pracującej, który choć raz w miesiącu musi zapomnieć o tym, kim jest i jakie ma w związku z tym perspektywy. Krótkie wahanie przed drzwiami baru wytłumaczył sobie krótkim *A co mi tam?*. Dotychczas wystarczającą używką była literatura, a konkretnie wymyślana samemu i własnoręcznie pisana literatura, tworząca jego świat. Niedoskonały w formie i treści, nienadający tonu dyskusji speców od książek w radiu i telewizji, niedoceniany przez nikogo, ale ukochany i własny. A teraz on zgodził się ten świat porzucić na rzecz liczb i tabel z godzinami przerobu pracowników produkcji oraz datami w formacie amerykańskim. To stanowczo kwalifikowało się do zalania robaka. Kilka kolejek mocno już szumiało mu pod czaszką, kiedy ktoś się dosiadł do stolika.

– Lepiej ci, Maks? – Z naprzeciwka zaszemrał cichy głos. Maks uniósł wzrok. Po drugiej stronie stołu siedział nieznajomy uśmiechając się przyjaźnie. Tak się przynajmniej Maksowi zdawało, bo twarz rozmówcy rozmazywała się i traciła kontury. Trudno było ją uchwycić wzrokiem, a tym bardziej zapamiętać, przynajmniej w tym

stanie, w jakim znajdował się Maks. A był już niezłe wstawiony, dodatkowo na smutno. Wódka dotychczas kojarzyła mu się raczej z rozrywką i wesołym nastrojem, jednak dziś poznał ten drugi biegun odczuć, kiedy alkohol spowalnia, mroczy, ale wcale nie pomaga w zmaganiu się ze swoimi problemami.

– Gównu tam lepiej – mruknął Maks. – Znamy się, bo se nie przypominam? Spierdalaj stąd, panie niewyraźny.

Po tej treściwej odpowiedzi uśmiechnął się, czując ulgę, że wreszcie może upuścić trochę swojej złości i wyżyć się na przypadkowym koledze od kieliszka.

– Proszę bardzo. Ja sobie pójdę, a ty tak zostaniesz. Ze swoim życiem, z tabelkami przerobu i zużycia drewna oraz gumy na zakładzie oraz comiesięczną popijawą, jako mało skutecznym narzędziem zapomnienia. Zostaniesz tak, zły na wszystkich, ale przede wszystkim na siebie, że jest jak jest. A przecież ty masz misję.

– Tak jest. Wkurwiać żonę i dziecko swoją niezaradnością oraz zbawiać świat niewydanymi książkami – potwierdził Maks i roześmiał się chrapliwie, jakby powiedział coś niedorzecznego.

– Oczywiście, to właśnie mam na myśli – potwierdził zamazany całkiem poważnym tonem. W tym stopniu zniekształcenia przekazu nie można było nawet z całą pewnością stwierdzić, że jest to mężczyzna. Maks słyszał głos i to był jedyny pewnik w całej sytuacji.

– Pierdolisz – odparował Maks, znowu ciesząc się, że może używać brzydkich słów i ogólnie folgować swoim humorkom wobec nieznajomego.

– Nie, możesz wszystko zmienić swoją miłością oraz pasją – odpowiedział tamten lub tamta, a może tamto, bez cienia urazy w głosie. – Trzeba tylko być stanowczym i wiedzieć, do czego się dąży.

– Nikt nie wie, dokąd dąży, chyba że Bóg... Ale i w to wątpię – wątpił bełkotliwie Maks.

– Sprawdź to, choć raz przejmij inicjatywę – zachęcił go niewyraźny.

– Jasne, jasne, ale... może jutro – mruknął Maks, po czym wsparł czoło na rękach i ziewnął.

Rozmówca westchnął ciężko:

– Ej, Maksymilian, Maksymilian. A wiesz ty, że tracisz kolejny dzień na duperele zamiast działać?

– Chrr... – Głowa pijanego opadła na stół.

– Zasnął – zdumiał się niewyraźny. – Ja mu o życiu i wieczności, a ten... Ej, Maksymilian, Maksymilian, znowu trzeba cię za rączkę prowadzić?

Maks spał, sapiąc w brudny blat stołu. Niewyraźny zniknął, a ściślej powiedziawszy, przestał się ukazywać, bo oprócz pijanego jak bela Maksa nikt inny go nie widział. Zabawa z okazji pierwszej wypłaty dobiegła końca. Kelner po chwili wyprosił, a właściwie wypchnął Maksa z lokalu. Na chodniku twarz owionął mu chłodny powiew wiatru. Ocucony kontaktem ze świeżym powietrzem powłókł się chybotliwie w kierunku domu lub przynajmniej tam, gdzie mu się wydawało, że znajduje się jego miejsce zamieszkania.

– Weź swój los w ręce swe. Nie zostawiaj go, o nie! – zaśpiewał naprędce skleconym rymem, a potem roześmiał się. – To wszystko kłamstwo. Jestem tylko pyłkiem i wiatr miota mną gdzie chce. Nie mam żadnej misji, nie mam celu. Jestem tylko młodszym specjalistą do spraw administratacyjnych...

Emerytowana nauczycielka języka polskiego Emilia Dobraczewska właśnie wyprowadzała na spacer swoją pupilkę, suczkę rasy York, kiedy zobaczyła wymiotującego na skraju skweru pijanego mężczyznę. Natychmiast odwróciła się ze wstrętem i dość szybko jak na emerytkę krokiem udała się w przeciwnym kierunku, byle nie musieć oglądać odstręczającego spektaklu.

– Co za ohyda – mruzczała. – Takich typów powinni...

Na myśl jej przyszły różne rodzaje wyrazów nazywających działania, jakie powinny dotknąć meneli w rodzaju tego, od jakiego właśnie uciekała. Jednakże każde z nich było tak wulgarne, że nie nadawało się do wypowiedzenia przez nobliwą, emerytowaną nauczycielkę. Prawdopodobnie byłaby bardzo zawiedziona, gdyby porównała wizerunek osoby zanieczyszczającej zielone tereny miejskie ze zdjęciem maturalnym swojej ulubionej klasy w Liceum Ogólnokształcącym im. Kościuszki sprzed prawie dwudziestu lat i rozpoznała w ohydny pijaczynie dawnego ucznia, jak również jednego z lepiej zapowiadających się absolwentów ich szkoły, wybitnie uzdolnionego w obszarze nauk humanistycznych.

Kolejnego dnia Maks spóźnił się do pracy dobre trzy godziny. Następnie dowiedział się od szefa, że ten nie może tolerować spóźnień i pojawiania się w stanie upojenia alkoholowego, nawet u rzekomego literata i twórcy. Rzeczywiście wypita dzień wcześniej ilość była jeszcze wyczuwalna nawet bez alkometru, a Maks nie posiadał żadnego doświadczenia w tak zwanych kłamstwach pracowniczych. Nie miał pojęcia, że w takich przypadkach jak jego, należy bezzwłocznie zachorować, zdobywając L4 w osiedlowej lub prywatnej przychodni, można również sfingować wypadek w drodze do pracy lub w ostateczności wymyślić niespodziewany zgon i pogrzeb babci. On nie przedsięwziął nic, tym samym dostał wypowiedzenie w trybie dyscyplinarnym. Ciężko stwierdzić, co się bardziej przyczyniło do jego zwolnienia. Na ile winny był jego stan, a na ile wybryk z pechowym mailem, który nie dość, że uszkodził system operacyjny komputera kierownika, to jeszcze rozesłał po całej firmie spis stron internetowych najczęściej przez niego odwiedzanych. Szef następnego ranka po pechowym zawirusowaniu komputera biegał jak opętany od działu do działu i tłumaczył każdemu kulisy zaistniałej sytuacji. Wszyscy kiwali głowami rozumiejąc, że to wirus, informatyczne, złe *mzimu*, podkładające świnię niewinnemu człowiekowi i szerzące z gruntu fałszywe informacje. Jednak fakt pozostawał faktem, że cały zakład poznał seksualne skłonności kierownika. Od plotek i złośliwości aż huczało. To nie mogło się skończyć na zwykłej połajance.



Max wyszedł z plikiem banknotów za pazuchą i odetchnął głęboko. Chciał jak najszybciej uciec z tego dziwnego miejsca. Ci bankierzy wyglądali jak jakieś bandziory! Jednak pieniądze szeleszczące w kieszeni były prawdziwe. Zarobi i szybko odda dług. A miał na oku pewny biznes, który zaproponował mu John, kolega z czasów szkolnych. Kumpel chwalił się, że handluje antykami i świetnie mu się powodzi. Max z błyskiem zawiści w oku obserwował piękne wykończenie jego siedziby. Pamiętał przecież jeszcze, jak tamten przychodził na lekcje w wytartych spodniach po starszym bracie i nie miał nawet drobnych na puszkę coli ze szkolnego automatu. A teraz ten człowiek, ładnie ubrany i rezydujący w eleganckim biurze, zaproponował Maxowi przystąpienie do spółki. Jedyńm warunkiem było wyłożenie kapitału na najbliższą transakcję, która zapowiadała się jako łatwy zarobek. Miało to wyglądać następująco: bogaty biznesmen z Chin, urzędujący również często w nowojorskiej filii swojej firmy zapragnął mieć prawdziwe egipskie starożytności do luksusowego apartamentu, który tu ostatnio kupił. Był w stanie dać nawet suty zadatek, ale musiał najpierw oglądnąć choć jeden rzeczywisty eksponat z rzekomo bogatej kolekcji do przejścia. I tu zaczynała się rola Maxa, który miał się dołożyć do zakupu eksponatu – starożytnej szkatułki za kilkanaście tysięcy dolarów. A gdy nowobogacki Chińczyk tyknie przynętę i da zadatek, wtedy oni dzielą się forszą i tyle ich Azjata zobaczy. Chińczyk dopiero zaczął działać w USA i według słów kolegi „był całkiem zielony” w tutejszych stosunkach. Oczywiście problemem był wkład Maxa, bo banki ani myślały użyzyć choć centa człowiekowi bez udowodnionej historii działalności biznesowej. Jednak ten problem mogli rozwiązać poleceni przez Johna przyjaciele. I rozwiązali. Co prawda miejsce udzielenia pożyczki oraz brak jakichkolwiek dokumentów nieco zdziwiły Maxa. A stwierdzenia typu „I tak cię znajdziemy” odpowiadające na pytanie zadane przez Maxa o umowę lub jakiegokolwiek inne formalności, zabrzmiały dość niepokojąco, jednak sprawa wyglądała na czystą. Kupią szkatułkę, wydoją naiwnego Chińczyka, spłacą długi, a potem każdy odejdzie w swoją stronę z grubym portfelem w kieszeni.

Maxa jakoś nie zastanowiło, dlaczego bogaty kolega sam nie wyłoży pieniędzy na transakcję i nie zyska pełnej sumy dla siebie. Nie zaniepokoił go również mówiący łamaną angielszczyzną Chińczyk, który zaraz po spotkaniu sięgnął po telefon i gdzieś zadzwonił. A dochodzące zza ściany strzępki rozmowy po angielsku wcale nie były już tak nieporadne i dziwnie artykułowane jak przy ich spotkaniu. Maxowi jednak tak bardzo zależało na zdobyciu tych pieniędzy, że zlekceważył jakiegokolwiek znaki ostrzegawcze. Miał w kieszeni upragnioną sumę i w myślach już podliczał swoją część zaliczki od chińskiego frajera.

– Mistrzu! – Zawołał ktoś w stronę Maksa, gdy ten po kilkugodzinnym wałęsaniu się po mieście zebrał się w końcu na odwagę i postanowił powrócić do domu.

Przez całą drogę w głowie kołatało mu się jedno pytanie: Jak on teraz powie Agacie, że stracił pracę jej marzeń? Bo z pewnością nie były to jego aspiracje. Wiedział, że nawalił na całej linii i po zwolnieniu, a właściwie wylaniu go pod zarzutem stawienia się w pracy w stanie nietrzeźwym, jego szanse na znalezienie następnej posady maleją dramatycznie. Wewnątrz jednak poczuł się wolny i szczęśliwy. Jak ptak, który jeszcze nie zapomniał fruwać, a już doświadczył, jak to jest być uwięzionym za kratami.

– Mistrzu! – wołanie dobiegło go po raz wtóry. Czasem pijacy spod spożywczego na ich osiedlu również wołali na niego *mistrzu*, kiedy chcieli go naciągnąć na dołożenie się do ich codziennej flaszki. Jednak to nie był żaden z nich. Maksa właśnie doganiała kobieca postać. Była to pani redaktor z wydawnictwa, które odwiedził miesiąc wcześniej, kiedy wysyłał swoją powieść. Przypomniały mu się nieprzebrane sterty maszynopisów do oceny w pokoju redakcyjnym, gdzie z nią rozmawiał. Na myśl przyszedł mu także pan Roman, pracownik marketingu, wraz ze swoimi delikatnymi, choć bezwzględными metodami pozbywania się natrętnych ludzi pióra. Tak, ta dwójka tworzyła zgrany zespół eksterminacji pisarzy.

– Panie Maksymilianie, od rana próbowałam się skontaktować. Byłam nawet w domu u pana, ale podobno pan jeszcze w pracy... Żona przekazała, że u pana z książkami to koniec, ale... Panie Maksie, mistrzu najdroższy, niech pan nam tego nie robi. Ta książka, to dzieło... Ja... ja po tym spać nie mogłam, ja jeszcze nic nigdy tak wspaniałego... Mistrzu, czy ty naprawdę chcesz porzucić pisanie?

Z ust redaktorki napływał chaotyczny potok słów, który tak zaskoczył Maksa, że przez długą chwilę stał jak oniemiały. Zrozumiał tylko, że przeczytała powieść i pojawiła się tu właśnie w związku z nią.

– Proszę, proszę, może usiadzimy – wskazał na pobliską ławkę, sprawdzając kątem oka, czy nie będą tam zauważeni z okien jego mieszkania. Miejsce wydawało się być dobrze skryte przed przypadkowymi obserwatorami.

– Panie Maksymilianie! – Kobieta złapała go za obie dłonie, gdy tylko zasiedli. – Ja zrobię wszystko, żeby pana książka dotarła do tysięcy... do milionów czytelników, żeby poruszyła ich serca, jak moje poruszyła. Błagam tylko, niech pan się nie poddaje. Pan jest przecież stworzony, aby pisać i w ten sposób zbawić ludzkość.

– E, z tym zbawieniem pani ostro przesadziła. Przecież to historia sensacyjna, żadnych głębszych treści – roześmiał się Maks, jednak po sekundzie zamilkł, bowiem dotarło do niego, że w ten sposób sam deprecjonuje książkę, w której przecież pokłada tak wielkie nadzieje. Po chwili dodał, próbując zatrzeć wrażenie pierwszych, niefortunnych słów: – Oczywiście, ogólnie ma pani rację. Literatura zbawia świat, więc pewnie i ja też się do tego jakoś dokładam.

– Dlatego niech pan nie przestaje. Jeszcze trochę, a ja... my wszyscy przyłączymy się do dzieła. Tylko proszę, niech pan da mi jeszcze nieco czasu. – Pani redaktor zerwała się z ławki, całkiem jakby przypomniawszy sobie coś pilnego. – Tylko kilka, może kilkanaście dni...

Szybkim krokiem oddaliła się tak nagle jak przyszła. Maks siedział zaskoczony na ławce próbując zrozumieć, co właśnie przeżył. Przed chwilą wracał do domu jako przegrany bezrobotny z wilczym biletem od pracodawcy, a w trzy minuty wszystko się odmieniło. Jego marzenie się spełniło – książka się spodobała. Ba, zachwyciła. I to nie

byłe kogo, tylko osobę, która przeczytała już tysiące maszynopisów z zadaniem ich oceny, a więc specjalistkę od literatury. Czuł się niczym spragniony człowiek, który będąc niemal na skraju śmierci z braku wody wpadł nagle do krystalicznie czystej rzeki.

– Nie, to chyba żart. Przecież ja tylko... – zamruczał Maks i rozglądając się po pobliskich zaroślach, czy to nie jest coś w rodzaju *ukrytej kamery* i nie skrywa się tam dowcipniś nagrywający jego reakcje na niespodziewane wieści.

– Mistrzu! – Zza krzaków wynurzył się nieznajomy, brodaty mężczyzna.

– Tak? – odpowiedział Maks, w głębi duszy chowając nadzieję, że nadszedł kolejny wielbiciel jego twórczości.

– Dorzuci się mistrz do winka? Zabrakło mi dwa złote – brodacz sprowadził Maksa na ziemię.

– Jasne – wysupłał z kieszeni monetę niepomny faktu, że stał się właśnie pozbawionym większych zasobów gotówki bezrobotnym. – Masz piątaka.

Nieznajomy odszedł, ucieszony nadszodziwaniem hojnym datkiem. Maks zamyślił się. Jeżeli tracąc pracę dostaje taką wiadomość, to nie może być przypadek. Los się odwraca. Teraz będzie tylko lepiej. Musi być lepiej. Zerwał się z ławki i popędził po dwa stopnie do domu.

– Jak to zwolnili? – Agata nie wierzyła własnym uszom. – Przez pijaństwo? Jak w jakiejś rodzinie patologicznej!

Maks opowiedział jej o fatalnej decyzji szefa w fabryce. Nie mieściło jej się w głowie, że mąż, który przynajmniej teoretycznie aspirował do bycia elitą tego kraju, został wyrzucony z dopiero co zdobytej pracy za alkohol. Przeboleła jego wczorajszy powrót późnym wieczorem w stanie pijackiej nieważkości. Wy tłumaczyła sobie, że jest to normalne, męskie zachowanie. Była nawet troszkę z niego dumna. To się da przeżyć raz w miesiącu – popijawa po wypłacie, czasem podbite oko, byle nie zapach perfum innej kobiety. Ale niespodziewane, dzisiejsze konsekwencje tego wydarzenia poraziły ją. Czy ona nie zazna nigdy spokoju, czy całe życie ma w ten sposób wyglądać? Bo wizja jawiła się prosto, acz przerażająco: opętany koncepcją literackiej sławy mąż będzie pisał swoje *dyrdymały* albo zostanie na wymuszonym odwyku od literatury, mając do wszystkich pretensje, że nie dają mu tworzyć oraz nieudolnie zmagając się z wyzwaniem otoczenia. Oba stany były dla Agaty równie przerażające.

– Nie martw się Agatko. Jakoś to będzie – mruknął w odpowiedzi Maks, jednak te typowe dla milionów mężczyzn na świecie słowa jedynie dołączyły oliwy do ognia. Agata wyglądała jakby miała zaraz eksplodować.

– Tak? Naprawdę? Dziękuję za pocieszenie, ale dla mnie *jakoś* znaczy, że będzie do niczego! Tak jak już było, gdzie z jednej strony ja i Basia, walczące o normalne, godne życie, a z drugiej ty – wskazała w stronę drzwi do jego pracowni – wpatrzony całe dni w swoje kolejne, nikomu niepotrzebne do niczego dzieło. Weź się w garść, Maks. Przejmij kontrolę nad życiem!

– Jak sobie życzysz – lodowato odparł Maks i z wyniosłą miną zaczął się ubierać. – Wychodzę.

– Jasne! Ja tworzę, ja wychodzę, ja myślę, ja przeżywam, a tymi codziennymi, beznadziejnymi sprawami niech się zajmują inni – krzyknęła za nim Agata.

Tak jak większość mężczyzn całego świata, tak i Maks nie był w stanie wytrzymać nerwowo konfrontacji z własną żoną i uciekł. Gdyby został, może byłby jej w stanie przekazać w szczerzej rozmowie to, co gnębiło go dzień i noc, a możliwe również, że udałoby mu się zrozumieć choć trochę jej odczucia. Ale on wyszedł mieląc pod nosem tylko: *Ja im jeszcze pokażę*. Pozostawiona w mieszkaniu Agata płakała, a mała Basia próbowała ją pocieszyć, na ile dziecko umie, choć sama nie była w stanie powstrzymać łez.



Transakcja przebiegła niezwykle sprawnie, towar i pieniądze przeszły z ręki do ręki. Po kilkudziesięciu sekundach od przywitania sprzedawca szkatułki wyszedł z biura antykwariusza bez zbędnych pożegnań i ceregieli. Sprawiał wrażenie niezwykle przygnębionego sprzedawcą. Był to starszy człowiek zmuszony sytuacją życiową do pozbycia się drogocennych rodzinnych pamiątek za bezcen. Przynajmniej tak mówił.

– Piękny okaz, aż żal jej dla jakiegoś skośnookiego nuworysza, co nie Max? – John podziwiał pod światło brzezi puzderka nadgryzione zębem czasu i burzliwymi kolejami losu przez tysiąclecia.

– Wygląda raczej ubogo – wyjąkał w końcu Max, nie dzielając zachwytów współnika.

– To antyk, a nie jakaś lakierowana podróbka z bazaru! – oburzył się kolega. – Musi wyglądać staro. To coś pamięta jeszcze Mojżesza spierdalającego pod dnie Morza Czerwonego przed armią faraona.

– Hm, może. Nie znam się – mruknął Max.

– Głowa do góry, jest dobrze. Umówię klienta, a potem już tylko... tralalala – antykwariusz zrobił kilka tanecznych kroków, pokazując jak im będzie wkrótce dobrze i wesolo. – No, pakuj to cudo i spotykamy się jutro w moim biurze o 17.00.

– Mam chodzić po ulicy ze staroegipską szkatułką? A jak mnie okradną? – przestraszył się Max.

– Masz rację, zdeponuj ją w moim sejfie. Jutro o 17.00 wspólnie ją wyciągniemy – odparł kolega i podszedł do solidnej szafy, aby ukryć cenny nabytek. Maxowi powoli udzielał się dobry nastrój kolegi.

– Ostatni dzień klepania biedy, od jutra będzie tylko lepiej – przekonywał sam siebie.

– Tak jest! I o to chodzi! – John poklepał go po plecach i gromko się roześmiał. Następnie rozstali się w doskonałych nastrojach.

Zapadała ciemność. Postacie ludzkie powoli roztapiały się w zalewającej je szarej masie tracąc swoją dzienną ostrość i przewidywalność zachowań. Zmierzch sprzyja raniącym duszę wspomnieniom oraz złym myślom. Maks wędrując szybkim krokiem po okolicy uspokajał się po gniewnych słowach, które wypowiedział, ale i usłyszał przed chwilą. Nie mógł odmówić racji Agacie. W pewnym sensie byli rodziną patologiczną. Zawsze kiedy jest zaburzona równowaga pomiędzy tym co się daje, a odbiera od innych, występują spięcia i konflikty, na dłuższą metę narasta poczucie przegranej. On nie daje rodzinie prawie niczego, właściwie można powiedzieć, że tylko to, co mu zbywa. Ochłapy uczuć, resztki wolnego czasu, mrukliwe półsłówka – reglamentuje to wszystko, aby wygrać w końcu swój los na życiowej loterii. Kiedy wyda swą wielką książkę i stanie się pełnoprawnym pisarzem. A gdy już się to stanie, wtedy się zmieni. O, tak! Odmieni się wszystko, będzie miły, dobry, opiekuńczy, kochany. Jednak pozostaje pytanie: Dlaczego

nie miałyby być już teraz taki, już dzisiaj? Bo trzeba by nad sobą popracować, wyrzec się wielu wygód?

– Nie, tak nie jest – mruknął uspokajająco pod nosem Maks. – Ja po prostu muszę...

Chciał jakoś dokończyć myśl, usprawiedliwić się, dać odpowiednie słowo dla swojego nastroju, ale żadne nie przychodziło mu do głowy. Musiałby dorosnąć? Zmężnieć? Przejąć odpowiedzialność? Pożegnać się z nierealnymi młodzieńczymi marzeniami? Nic z tych rzeczy nie opisywało tego, co musiałby zrobić, żeby mieć poczucie, że nie marnuje życia. Po kilku bezowocnych próbach zdefiniowania swoich uczuć przyszło mu na myśl, iż pomimo wieloletnich wysiłków nie znalazł jeszcze sensu swojej egzystencji.

– Boże, jakie to proste! – ucieszył się odkryciem jak dziecko. – Ja cały czas poszukuję. Jestem niemiły, nie ma ze mnie pożytku, traktuję innych niezbyt dobrze i robię mnóstwo złych rzeczy, bo jeszcze nie znalazłem sensu życia. Dorastam. Tego się nie da, ot tak, przeskoczyć. Muszę znaleźć prawdę o sobie i własnym przeznaczeniu, wtedy będzie git.

Gdy tylko doznał tego olśnienia, odwrócił się na pięcie i niemal pobiegł do domu, żeby wyjawić Agacie źródło ich problemów. Wytłumaczy wszystko, ona zrozumie, jak zawsze wszystko dotychczas rozumiała, pocieszy się i pomartwi razem z nim, a potem zrobi kolację. Każda kłótnia się tak dotychczas kończyła, więc dlaczego i ta nie miałaby się zakończyć pojednaniem? Dopadł do swojej bramy i popędził do domu. Kiedy tylko zatrzasnęły się zanim drzwi z mroku pod drzewami na skwerze przed budynkiem wynurzyła się postać z nasuniętym na czoło kapturem. Popatrzył chwilę w okna Maksa i mruknął:

– Oho! Mistrz ma chyba spięcie z żoną.

I uśmiechnął się pod nosem, choć równie dobrze można by to nazwać to grymasem twarzy, na stałe wbudowanym w oblicze obserwatora. Następnie zapisał coś w notatniku i wsunął się ponownie do cienia.



Oszustwo powiodło się nadszpiewanie łatwo. Chińczyk oglądnął przyniesioną szkatułę, cmoknął z uznaniem, po czym uśmiechnął się zadowolony, mrużąc swoje skośne oczy do rozmiaru wąziutkich szparek. Wyciągnął z kieszeni plik banknotów i im podał. Antykwariusz wsadził pieniądze w kieszeń bez liczenia, następnie wyszli gnąc się w uniżonych ukłonach, zgodnie z chińskim *savoir-vivre*. Podział zaliczki nastąpił w biurze. Max nie wierzył własnemu szczęściu. Jeszcze nigdy nie widział tyle bogactwa na raz.

– Cóż mój współniku, udało się. Napijmy się za dalsze interesy! – John wyciągnął z lodówki szampana i kieliszki. Wzniesli toast.

Po zakończonej transakcji Max poszedł do lokalu, gdzie urzędowali ludzie, od których pożyczył pieniądze. Okolica nie wydawał mu się już tak obskurna i podejrzana jak podczas pierwszego pobytu. Paczka banknotów w kieszeni oraz kilka kieliszków wypitego alkoholu dobrze nastrajało go do życia i bliźnich. Po zaanonsowaniu swojego przybycia został wpuszczony do pomieszczenia znanego z poprzedniego spotkania przez człowieka o powierzchowności spalonego goryla. W środku czekało na niego dwóch mężczyzn.

– Jak interesy? – zagadnął domniemany szef tej instytucji, od której pożyczył pieniądze. Domniemany, ponieważ nikt się tu nie przedstawił oprócz samego Maxa. A ważność interlokutora wyczuwało się jedynie poprzez ilość złotych łańcuchów na szyi oraz zachowanie jego towarzysza, który wydawał się być cieniem tamtego. Śmiał się, kiedy szef się śmiał, wzdychał, kiedy szef wzdychał. Ogólnie mówiąc naśladował go, starając się jednak w żadnym momencie nie być bardziej widoczny niż pryncypał.

– Doskonale – odparł Max pewnym tonem. – Wydoiliśmy jednego frajera. Pozostaje nam jeszcze ponad siedem miliardów naiwniaków na całym świecie do ogolenia.

Szef za stołem zarechotał, aż złoto na szyi zadzwoniło. Następnie zwrócił się do swojego kolegi, który również się zaśmiał, choć o kilka tonów ciszej.

– Twardziel. Takich lubimy, co nie, Satrin? – Następnie zagarnął plik banknotów podany przez Maxa i schował go do kieszeni.

– Nie przeliczy pan? – odważył się zapytać Max.

– Jak nas oszukałeś, to zgłosimy się po resztę. Po wyrazie twojej twarzy widzę jednakże, że wszystko w porządku. No, Max, super się gada, ale czas na ciebie. A my polecamy się na przyszłość.

Audiencja została zakończona i gorylowaty strażnik pojawił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pomimo, że boss go nie zawołał, ani nie dał żadnego znaku. Po kilku sekundach Max znalazł się na ulicy, potoczył wkoło uradowanym spojrzeniem. Następnie poszedł, a w środku aż wrzał ze szczęścia i radości: „Udało się, udało. Jestem królem życia.”

Pomiędzy Agatą a Maksem nastały ciche dni. Nie była to wielka nowość, bo wielokrotnie już odchorowywali takie sprzeczki. Jednak teraz Maks odniósł wrażenie, że coś się zmieniło na stałe. Zupełnie jakby wraz z ostatnią kłótnią osunęli się na niższy poziom w jakości swojej egzystencji. Agata nie powracała do tematu pracy i życia rodzinnego, Maks udawał, że się przejmuje swoją sytuacją i przygotowuje do szukania nowej pracy, a Basia krążyła pomiędzy nimi próbując swoim dziecięcym rozumem zrozumieć, co się właściwie dzieje w ich domu. Ale cóż może począć kilkuletnie dziecko wobec błędów i zapiekłości dorosłych? Maks tak naprawdę siedział jak na szpilkach, oczekując informacji z wydawnictwa. Zachwycona jego prozą pani redaktor, wraz z upływem każdego kolejnego dnia od dziwnego spotkania na podwórku, traciła na swojej rzeczywistości. Początkowe entuzjastyczne wyjaśnienia Maksa, tłumaczące zwolnienie z pracy i całą obecną sytuację cudowną odmianą losu za sprawą siły wyższej, traciły powoli jakiegokolwiek podstawy. Fakty wyglądały następująco: jest bezrobotnym, który spotkał przed domem kogoś, kto wyglądał jakby się znajdował pod wpływem środków odurzających. I ta osoba pochwaliła jego książkę, a następnie oddaliła się w nieznanym kierunku. A wszystko inne – nadzieje, obietnice, pochwały, fantastyczne scenariusze rozwoju kariery pisarskiej, to wydawało się tylko mirażem, który wyprodukował zwichrowany umysł literata. Jednak piątego dnia po spotkaniu, gdy zaczął już upadać na duchu, zadzwonił telefon. Numer nie należał do żadnego ze znajomych Maksa.

– Halo – odezwał się Maks po nawiązaniu połączenia.

– Mistrz Maksymilian? – dopytywał się męski głos w słuchawce.

Maksa na moment zatkalo.

– Tak. Znaczący nie. Tylko Maksymilian. Słucham, kto mówi? – odpowiedział, pokonawszy w końcu zaskoczenie.

– Roman Wielogórski z Wydawnictwa Z1. Mistrzu, jesteśmy pod wrażeniem pańskiego ostatniego dzieła. Pragniemy je wydać. Czy zechciałby mistrz nas odwiedzić, jeżeli miałby mistrz chwilę czasu? – Pan Roman zapraszał go najwyraźniej na rozmowy o wydaniu książki.

Maks znowu nie był w stanie skleić składnej odpowiedzi. Cóż to za styl? Czy ktoś tu sobie stroi żarty?

– Tak, oczywiście jutro przyjdę – zgodził się. – Z kim się spotkam?

– Z panem prezesem, oczywiście. Jakżeby inaczej? – zapewnił go żarliwie pan Roman.

Po chwili się rozłączyli. Maks długo wpatrywał się w zdumieniu w trzymany telefon. Uśmiechnął się promiennie. Może trochę dziwnie z nim rozmawiali, ale zaproszenie było realne, szykowane propozycje były prawdziwe. Wygrał. Wreszcie dopiął swego.

Udało się, udało. Jestem królem życia – pomyślał z dumą. Gdy tylko Agata wróci z pracy, a Basia ze szkoły, muszą to uczcić.

Następnego dnia wszedł do siedziby Wydawnictwa Z1 przez szklane drzwi znane mu z zeszlomiesięcznych zmagani o przyciągnięcie uwagi pań redaktorek i panów redaktorów. To miejsce było wtedy świadkiem bezwzględnej akcji pana Romana z działu marketingu, który nie patyczkując się, wypychał go z delikatnością walca drogowego jak niechcianego natręta. Dziś ówczesny natręt wraca na zaproszenie tego samego człowieka w roli zwycięzcy. Maks od wczorajszego telefonu nie mógł się nacieszyć, ale i nadziei, jak literatura może zachwycić czytelnika niezależnie od tego, czy autor jest

początkujący, czy też posiada znane nazwisko. Po prostu dobry pomysł i dopracowany warsztat bronią się same.

– Zapomniałeś o rozświetlającej je iskierce geniuszu – Maks skarcił sam siebie za skromność, a potem dodał w duchu: *Mistrzu*. Zrobił to niby żartem, ale wewnątrz aż się wyrывał, żeby takie żarty trwały tak długo jak się da.

Może gdyby jeszcze chwilę pomedytował pod szklanymi drzwiami do siedziby Z1, to doszedłby do kolejnego wspomnienia z tego miejsca, kiedy zamykając oczy i przybierając cierpiętniczy wyraz twarzy, wołał do Boga o interwencję i pomoc w promowaniu swojej literatury, jak również ogólnie w beznadziei swojego życia. Jednak, gdyby nawet sobie o tym przypomniał, to raczej potraktowałby ówczesne słowa jako wyglup, żart niewarty zapamiętania. Bo przecież Bóg jest od przyjmowania zarzutów o brak opieki ze strony miliardów nieszczęśników na tym leż padole, jak również kojarzy się większości ludzi jako ostatnia instancja, do której się zwracają, kiedy wszystko inne zawiedzie. A kiedy przychodzi sukces, człowiek przypisuje go tylko sobie.

– O, to pan, panie Maksie. Mistrzu, zrobiłam co w mojej mocy, żeby przedstawić innym twoje dzieło. A teraz błagam cię, mistrzu, nie cofnij się. Nie przeżyłabym tego. – Napotkana kilka dni temu pani redaktor akurat przechodziła korytarzem i strasznie się ucieszyła na jego widok. Maks zrozumiał, że dzisiejsze zaproszenie to w dużej mierze jej zasługa. Pani po chwili milczenia dodała cichym głosem: – Trzymam kciuki za spotkanie, my wszyscy tu trzymamy kciuki, bo pana księga jest już znana wielu osobom.

– Dziękuję z całego serca, pani... mhm, proszę pani – Maks zapomniał jak jego dobrodziejka ma na imię. A może nigdy tego nie wiedział.

– Nazywam się Jadwiga – przedstawiła się.

– Tak, dziękuję, pani Jadwigo. To naprawdę cudowne spotkać się z takim przyjęciem.

Gabinet prezesa był na końcu korytarza. Drzwi dużo większe od pozostałych na korytarzu oraz coś w rodzaju promieniującej powagi podkreślały wagę osoby urzędującej w środku. Maks podszedł do nich, następnie uniósł rękę, żeby zapukać. W ostatniej chwili zrezygnował z tego zamiaru i zastygł, zastanawiając się jak ma wejść. W końcu zdecydował się na ostre, bezkompromisowe wkroczenie, które jasno pokaże kto tu rządzi. Gwałtownym ruchem sięgnął do klamki, jednak dłoń napotkała już tylko pustą przestrzeń, bo w tym samym momencie drzwi uchylły się i wyrzała z nich uśmiechnięta twarz pana Romana. Nie można było oprzeć się wrażeniu, że czyhał on po drugiej stronie, gotowy na najłżejszy sygnał otworzyć podwoje gabinetu.

– Witamy, witamy, mistrzu! Oczekujemy pana z niecierpliwością – krzyknął i uczynił gest zapraszający do środka. W tle widać było jak inny mężczyzna, najprawdopodobniej prezes wydawnictwa, unosi się ze swojego fotela i uzbrojony w szeroki prezesowski uśmiech zbliża się do Maksa.

– Witam cię, mistrzu. Proszę, proszę – dołączył on do powitań pana Romana. Uścisnął dłoń Maksa. Następnie chwycił go pod ramię i doprowadził do pary skórzanych foteli ustawionych w kącie przy niskim stoliku. – Proszę, pan spocznie. Kawy czy herbaty?

– Tak, bo ja... – Maks wznosił oczy ku niebu, czując, że w jego stanie konsternacji sklecenie odpowiedzi na to zasadniczo proste pytanie graniczy z cudem.

– Oczywiście, już podajemy! – Prezes nie przejmował się rozterkami rozmówcy. Skinął na pana Romana, który popędził po gorące napoje. Po wyjściu marketingowca pokój zaległa niespodziewanie cisza. Prezes siedział na drugim z eleganckich foteli, ale jakoś tak na brzeżku, gotów każdej chwili zerwać się, gdyby tylko Maks to zrobił. Wpatrywał się intensywnie w pisarza, który po kilku sekundach ciszy poczuł oblewający go rumieniec. W końcu nie wiedząc co powinien zrobić, chrząknął nerwowo. Prezes zupełnie jakby czekał na taki sygnał, zaczął mówić: – Panie Maksymilianie, przed miesiącem był pan tak łaskawy, że przekazał nam pan swoje dzieło do...

Urwał, bo choć najlepiej pasującym słowem byłoby *oceny*, to grymas wysiłku intelektualnego na jego czole świadczył, że stara się znaleźć jakieś odpowiedniejsze określenie.

– Przekazał nam je do studiowania – wybrnął w końcu. – A my z radością podjęliśmy się tego zadania. A teraz chcielibyśmy kontynuować pracę nad nim.

– Znaczy, że niby co? – zadał całkiem aliteracko pytanie Maks, nadal nic nie rozumiejąc.

– Przecież pan, mistrzu, wie, że to nie jest zwykła książka – ton głosu prezesa obniżył się. – To coś zupełnie dotąd niespotykanego lub, ściślej powiedziawszy, rzadko spotykanego. I dlatego jej wydanie i propagowanie byłoby wielką radością dla naszego wydawnictwa.

– O! Czyli chcielibyście ją wprowadzić na rynek? Świetnie! Na jakich warunkach? Bez zaliczki stąd nie wychodzę – do Maksa dotarło, że jest na negocjacjach i może podczas tej rozmowy wiele wygrać lub przegrać.

– Powiedziałbym raczej, iż podjęlibyśmy się dzieła przekazania tej księgi ludzkości – prezes skrzywił się na dźwięk przyziemnych rozterek Maksa. – Mistrzu, tu oczywiście będą zaangażowane pieniądze, spore pieniądze, ale sądzę, że nie jest to naszym głównym zmartwieniem.

– A co nim jest? – Konsternacja powróciła do Maksa w parze z niejasnym przecuciem, że ktoś z nim nie gra w otwarte karty.

– Prawda zawarta w księdze. Im więcej ludzi ją pozna, tym lepiej. A za tym idą, oczywiście, pieniądze. Jednak liczy się przede wszystkim prawda i myśli tam zawarte. To jest bezcenne, a reszta jest dodatkiem.

– Ale będzie ją można kupić w supermarketach, bo wie pan, słyszałem, że tam dużo schodzi. Najlepiej przed Gwiazdką. A ja bym chciał z każdej książki prowizję, co najmniej osiem... Nie, dziesięć procent od ceny okładkowej – upewniał się Maks.

– Dobrze, postaram się inaczej to wytłumaczyć – kontynuował prezes, bardzo starając się być grzecznym i cierpliwym. – O Biblii pan, mistrzu, słyszał?

– No tak, ale to Biblia, święta księga, zapis słowa bożego, a nie jakiś kryminal – zachnął się Maks.

– Patrząc na to z czysto wydawniczo-technicznego punktu widzenia jest to zbiór mniej lub bardziej prawdopodobnych historii, uwieńczony zapiskami o brodatym młodzieńcu, który wiele mówi, dokonuje nieprawdopodobnych czynów, a następnie

umiera na krzyżu – brnął prezes. – Jednak wszyscy wiemy jak te historie działają na ludzi z całego świata. Zmieniają ich życie. I my, podczas studiowania pańskich zapisków, mistrzu, zauważyliśmy, że pańska książka ma dużą moc, porównywalną nawet z Biblią.

Zapadła cisza. Pan Roman wniósł właśnie parujące filiżanki i jedynie ich stuknięcie o spodeczki podczas stawiania na stole zakłóciło tę chwilę konsternacji.

– To przecież książka sensacyjna. Zasadniczo... gniot – wydukał w końcu zaskoczony Maks.

– Ludzkość nie podziela tej opinii – zripostował prezes, a pan Roman skinął głową na znak potwierdzenia tych słów.

– Jaka ludzkość? – zdziwił się Maks.

– No, taka zwykła, ogólna ludzkość, chwilowo głównie nasi pracownicy i ich rodziny. To dopiero początek, ale już przeczytało ją wiele osób i efekt jest wręcz... piorunujący – wyznał prezes, a pan Roman ponownie pokiwał głową, w pełni zgadzając się z oceną pryncypała. Po sekundzie prezes dodał ściszym, lecz brzmiącym bardzo dramatycznie głosem: – Ludzie chcą po pańskiej książce zmienić coś w swoim życiu. Jeszcze nie wiedzą co, ale czują potrzebę zmian. To naprawdę działa.

– Czyli państwo chcieliby ją sprzedawać... – zaczął Maks, ale widząc minę prezesa zmienił określenie. – Znaczący, popularyzować, jako książkę motywującą do lepszego życia?

– Jako księgę zmiany w życiu podaną w postaci sensacyjnej historii. Tylko geniusz mógł to połączyć, mistrzu. A co do kosztów, opłat i tych wszystkich spraw... Roman, podaj mistrzowi zaliczkę.

Po chwili zaskoczony Maks trzymał w ręce zwitek banknotów.

– Mistrzu, to pięćdziesiąt tysięcy złotych. Przyjmij je zanim cokolwiek podpiszemy. Chcielibyśmy wręczyć to, jako nasz datek, na dalsze prace nad dziełem zmieniającym życie wszystkich ludzi. Prosimy – powiedział prezes.

– Prosimy – powtórzył jak echo pan Roman.

– Uczcijmy to kieliszkiem szampana – zakrzyknął prezes zanim padła jakakolwiek odpowiedź ze strony autora dzieła zmieniającego ludzi, a pan Roman przypadł do barku, skąd wyciągnął zroszoną od zimna butelkę. Czekala już tam włożona od kilku godzin do lodu.

Huknął korek, kieliszki z musującym napitkiem stuknęły o siebie. Maks kilka minut później stał przed szklanymi drzwiami z logo Z1, a w jego głowie panował chaos. Mówiono niesamowite rzeczy o nim i jego książce, obiecywano za jej pomocą wpływ niemal na losy świata, jednak z konkretów pozostał zwitek banknotów w kieszeni i posmak szampana w ustach. Po dłuższej medytacji postanowił tego się trzymać. Ma pieniądze, ogromne jak na niego, a wszystko inne było tak niesamowite, że właściwie nieprawdopodobne. Dlatego spokojnie będzie czekał na rozwój wydarzeń. Pewnie zaraz się obudzi w swojej szarej codzienności, więc po co się aż tak ekscytować?



Margaret przyjęła przechwałki Maxa i nieoczekiwany zastrzyk gotówki z dużą rezerwą. Zdziwiło go to, bo dotychczas wyobrażał sobie taką sytuację jako jeden wielki festiwal entuzjazmu. Mąż, na co dzień niezbyt zaradny, nagle przynosi do domu kupę forsy zarobioną prawie bez wysiłku.

– To oszustwo – warknęła Margaret, gdy Max uchylił jej nieco rąbka tajemnicy.

– Facet nie wie co z forszą robić, więc kilka tysięcy mniej nie robi mu różnicy – odparował Max.

– Ale mnie robi. Zostałeś przestępcą – nie ustępowała.

– Babskie gadanie. Nic nie mam – źle, zarobię – źle. Pójdę z Cindy na lody. Może chociaż jej się spodoba tata przy kasie.

Po kilku minutach szedł już z córką do najbliższej cukierni.

Maks od kilku minut opowiadał o zaproszeniu i przebiegu dzisiejszego spotkania. Agata słuchała z kamienną twarzą.

– I słuchaj, teraz najlepsze – perorował Maks – oni tam wszyscy mówią do mnie *mistrzu*, a na poczet przyszłej współpracy dostałem pięćdziesiąt tysięcy. Ot tak, bez umowy, bez podpisu. Tylko za to, że jestem tym mistrzem właśnie. Bo według prezesa ta książka, znaczy księga, to wielkie dzieło.

– Gratuluję – bąknęła Agata. – Zjemy coś? Głodna jestem.

– E, zaraz, chwileczkę – zdenerwował się Maks. – Ja tu o moim największym w życiu sukcesie. O spełnianiu marzeń i o tym, że świat należy do odważnych. A moja żona: *głodna jestem*. Nie cieszysz się?

Zapadła chwila ciszy. Agata wlepiła wzrok w okno, ukrywając wzburzenie lub przygotowując celną ripostę. Ostatecznie powiedziała tylko cicho:

– Maks, boję się. Może rzeczywiście to spełnienie marzeń i nowy rozdział w życiu. Jednak ja odczuwam strach. I nie dlatego, że dostałeś sporo pieniędzy za nic, chociaż na świecie nie ma pieniędzy za nic. Również nie dlatego, że ci zazdrozczę ich szacunku. Oby prawdziwego. Ja po prostu mam odczucie, że to wszystko jest jakieś nienormalne. Jak w jakiejś sekcji, a nie zwykłej firmie! Że ostatecznie będą od ciebie coś chcieli, co nas rozłączy, a te pieniądze i pierwsze zobowiązania są wstępem do czegoś okropnego, gdzie jesteś ty i twoje sprawy, a nie ma miejsca dla mnie, ani dla Basi.

– Ależ Agata! Wręcz przeciwnie! To normalne wydawnictwo, a po rozpoczęciu współpracy zacznie się nasze Eldorado. Książka będzie się sprzedawać, popłyną profity z pracy ostatnich lat. Ja oczywiście zajmę się promocją, kontaktami z czytelnikami i całą tą autorską kołomyją, jednak to będzie początek nowego, lepszego etapu. Będę lepszym mężem, lepszym ojcem, zobaczysz!

– Mam nadzieję – westchnęła Agata i przytuliła się do Makska. Stali tak przez chwilę. Do kuchni zajrzała Basia, a widząc swoich rodziców w rzadkiej chwili czułości, podbiegła i przytuliła się do obojga. Po dłuższej chwili Maks wyrwał się z objęć.

– A teraz zrobimy kolację, a wasz nieoceniony mistrz patelni, maestro Maksymiliano, pokaże co umie – zakrzyknął Maks. – Panie zapewne są głodne jak wilki, a konkretniej wilczyce.

Dwie domniemane wilczyce zaśmiały się wesoło. Wieczór zapowiadał się niezwykle miło.



– *Sprawa jest prosta i jasna. Kontynuujemy spółkę. – John powrócił kilkanaście dni później z propozycją dalszej współpracy.*

– *Miał być pojedynczy skok, bezpieczny zarobek i koniec – bronił się Max, pomny awantury z Margaret sprzed kilku dni. – Zresztą to nie jest sprawiedliwy podział odpowiedzialności. Ja musiałem skołować kasę u jakiś ciemnych typów, a ty tylko skasowałeś swoją dolę.*

– *Myślisz, że Chińczyk mnie nie odwiedził kilka dni później. Znalazł mnie skubany z jakimiś dwoma silnorekimi. Ledwo się im wymknąłem, i jeszcze twój tyłek musiałem chronić. A dlaczego to zrobiłem, zamiast zwalić winę na ciebie? Bo to ja cię namówiłem i czuję się odpowiedzialny za ciebie, Max.*

Max spuścił głowę, czując, że oblewa go rumieniec wstydu.

– *Dobra, teraz zrobimy odwrotnie, jeśli chcesz. Ty znajdziesz frajera, a ja...*

– *Nie, nie – przerwał mu Max. – Tak jest dobrze, tylko... – zawiesił głos. – Daj mi kilka dni czasu na przemyślenie, bo te nasze interesy...*

– *Max, nikomu nie robimy krzywdy. A nasi „klienci” mają tyle forsy, że nawet nie zauważą braku kilku papierków – John powtórzył slogany, którymi już wcześniej torował sobie drogę do serca Maxa. – A zarobek jest prawdziwy. Przyznasz?*

– *Jasne, jasne – potwierdził Max, czując jak jego postanowienie definitywnego zakończenia nielegalnego procederu topnieje wraz z argumentacją kolegi oraz zmniejszającą się z dnia na dzień ilością pieniędzy w portfelu.*

Maks wracając następnego dnia ze sklepu do domu natknął się na stopniach prowadzących do jego bramy na nieznaną kobietę. Już ją chciał wyminąć, kiedy ona obrzuciła go spojrzeniem i podbiegła. Chwyciła jego rękę i zaczęła mówić niezwykle szybko oraz nerwowo.

– *Panie, mistrzu, pomóż mi. Jesteś ostatnią nadzieją. Już wszystko zawiodło, straciłam męża, majątek, straciłam wszystko, ale ty jesteś. Twoje słowa są jak lek na całe zło.*

Maks osłupiał. Stał kilka sekund w bezruchu, następnie zaczął wrywać rękę z uścisku przybyłej, jednak ona trzymała się go kurczowo. Do tego klękła przed nim i załkała.

– *Nie odrzucaj, nie odrzucaj! Błagam. W tobie cała moja nadzieja.*

– *Ależ proszę pani! Co pani robi? Proszę mnie puścić. Proszę mnie zostawić.*

Ostatecznie wyrwał się i jednym susem dopadł drzwi, które akurat otwierał wychodzący sąsiad. Maks zatrzasnął je od wewnątrz i ciężko dysząc obserwował przez okno, czy prześladowczyni nie szturmuje wejścia. Jednak kobieta została na schodach łkając żałośnie. Nie podejmowała dalszych agresywnych prób zbliżenia się do Maksa. Sąsiad odchodził w stronę zaparkowanego samochodu, co rusz oglądając się w kierunku wejścia do klatki schodowej.

– Ech, te artyści. Namieszają ludziom we łbach, a potem muszą uciekać – mruknął nie bez nutki złośliwej satysfakcji, następnie wszedł do pojazdu.

Trzeba w tym miejscu nadmienić, że Maks i jego profesja była znana mieszkańcom domu, gdyż nawet przy pierwszym spotkaniu nie unikał on nigdy wzmianki o swojej twórczości, podobnie jak przy okazji feralnego zatrudnienia w fabryce. Wszyscy wkoło obserwowali od wielu lat stosunki rodzinne Maksa i chętnie w sąsiedzkich ploteczkach omawiali zgubny wpływ literackiego trybu życia na relacje międzyludzkie oraz niski poziom zamożności rzeczonoego artysty. Jednak, gdy ktoś ich pytał o znanych ludzi w otoczeniu, chętnie powoływali się na fakt wspólnego zamieszkania pod jednym dachem z, było nie było, człowiekiem pióra.

Maks wpadł do domu trzęsąc się ze zdenerwowania wywołanego dziwnym spotkaniem przed budynkiem. Rzucił zakupy na podłogę w kuchni, następnie udał się do salonu. Jednak w progu zatrzymał się jak wryty. Pan Roman z działu marketingu wydawnictwa siedział rozparty w fotelu z filiżanką kawy, a twarz rozciągał mu uśmiech człowieka pewnego siebie oraz zadowolonego z życia.

– Ktoś do ciebie, Maks – Agata wskazał na gościa, a widząc, że panowie się znają i czując się zwolniona z obowiązku dalszego zabawiania go rozmową, wyszła.

– Ach, mistrzu! Wybacz to najście w warunkach domowych, ale chciałbym nieco uściślić zakres prac i obowiązków wynikających z wczorajszych ustaleń i zobowiązań – zagaił nieoczekiwany przybysz.

Maks pomyślał, że dzień wcześniej nie podjęli żadnych wiążących ustaleń ani zobowiązań. Jednak sekundę później przypomniał sobie zwitek zawierający pięćdziesiąt tysięcy złotych. Zaraz potem przeszył go dreszcz strachu, że w przypadku niechęci do współpracy pan Roman lub prezes mogą zażądać zwrotu datku lub zrezygnować z wydania jego książki. W trzeciej kolejności zabrzmiało mu wspomnienie słów Agaty, że na świecie nie ma pieniędzy za nic. Tak, dobrowolny datek został przekazany bez umowy oraz formalnych zobowiązań, ale wytworzył coś w rodzaju podległości Maksa wobec ludzi z Wydawnictwa Z1. Teoretycznie mógłby się zdenerwować na intruza za najście w prywatnym mieszkaniu i grzecznie go poprosić o inny termin spotkania. Tym sposobem by jasno zaznaczył, kto rządzi w tym układzie. Mógłby zrobić również wiele innych rzeczy, żeby zniechęcić pana Romana, ale tylko usiadł grzecznie na kanapie i zgodnie z zapowiedzią zabrał się za konkretyzowanie wczorajszych ustaleń.

– Mistrzu, ja wiem, że zakłócam spokój świętego miejsca, jakim zawsze jest dom – pan Roman potoczył wzrokiem wkoło po własnoręcznie skręcanych i malowanych przez Agatę i Basię szafkach z IKEA oraz trzydziestodwucalowym telewizorze, tworzących klimat otaczającego ich świętego miejsca. Maks nie odczuł w jego głosie jakiegokolwiek tonu, świadczącego o szacunku dla prywatności mistrza i jego ogniska domowego. Po chwili pan Roman kontynuował: – Jednak wydarzenia mogą potoczyć się szybko, czyli w pewnym sensie bez kontroli. Dlatego chcielibyśmy, aby był pan na nie przygotowany, a przynajmniej na niektóre z nich.

– Co pan przez to rozumie? Co się może zdarzyć nieprzewidzianego? Książka zacznie się sprzedawać, udzielię kilku wywiadów, rozdani autografy. Chyba macie to opanowane jako wydawca? – zdziwił się Maks.

- Plan jest inny - oświadczył pan Roman. - Żadnych autografów, podpisów, wywiadów. Ta księga znajdzie nabywców w inny sposób. W pewnym sensie poza oficjalnym obiegiem.

- To jakieś oszustwo! - wrzasnął Maks, zrywając się z fotela. Słowa gościa były dla niego szokiem. Jeszcze minutę temu wydawało mu się, że wchodzi do literackiego rajz z całym cyrkiem towarzyszącym tego typu karierze: recenzjami na łamach periodyków oraz blogów internetowych, omówieniem jego prozy w fachowych portalach, zaproszeniami na spotkania autorskie oraz tłumami rozanielonych czytelniczek proszących o autograf podczas targów wydawniczych. To już było faktem, przynajmniej w jego głowie, gdzie przez ostatnich kilka godzin sobie wszystko zaplanował. A teraz ten człowiek mu mówi, że ze świetlanej przyszłości nici? - Przecież nie dalej jak wczoraj obiecaliście zmasowany atak promocji?

- Tak, obiecaliśmy przekazać to dzieło ludzkości i właśnie się za to zabieramy według najlepszych, sprawdzonych wzorców - oznajmił marketingowiec. - Pamięta mistrz, co mówił prezes?

- Tak, Biblia, zmiana życia, wielkie dzieło i tak dalej - warknął Maks, który nadal nie rozumiał domniemanej mocy i wielkiego przesłania, które niosła jego powieść.

- I od dzisiaj to wdrażamy, tylko planowo. Mistrzu, czy znasz pojęcie marketing-mix? - Pan Roman niespodziewanie przeszedł do kontraktacji.

- E, hm, no tak, obilo mi się o uszy, chociaż szczegółowo to raczej, właściwie... - jąkał się w swojej ignorancji domniemany mistrz.

- Tak, masz rację, mistrzu. To zbiór działań oddziałujących na otoczenie tak, aby nabyło ono produkt lub usługę. Produkt, cena, dystrybucja, promocja. A co my sprzedajemy? - kontynuował pan Roman, nie zważając na niewiedzę Maksa.

- Moją książkę? - Maks nie był już niczego pewny.

- To tylko instrument. Oczywiście najważniejszy i jedyny - dorzucił szybko pan z wydawnictwa, widząc ogniki gniewu w oczach Maksa. - Sprzedajemy nadzieję na nowe życie, a książka niesie ten przekaz. To nasz produkt. Każda książka niesie za sobą emocje, porcję humoru lub grozy. Czytelnik kupuje przeżycia, a nie stosik zadrukowanych kart. U nas kupuje nadzieję na lepsze życie. A teraz kolejne pytanie: za ile?

- Powinno być drogo - domyślał się Maks.

- Cudownie, mistrzu! - ryknął pan Roman, widząc, że nic porozumienia marketingowego powoli się nawiązuje. - Taka książka jest bezcenna. A za ile się kupuje bezcenne książki?

Maks namyślał się dłuższą chwilę. Każda cena wydawała mu się zbyt niska wobec bezcenneści omawianego dzieła, więc w końcu jedynie wzruszył ramionami. A pan Roman szybko odpowiedział na zadane pytanie:

- Co łaska. Czytelnik oceni sam ile da.

To znowu rozjuszyło Maksa.

- Za grosze mnie sprzedacie? Ja nie zamierzam oddać tanio swojej krwawicy...

- Mistrzu, przecież mówiłem, że mamy plan. Nikt nie mówi o oddaniu czegoś za bezcen, a jedynie o pozostawieniu decyzji odbiorcy. Gdybyś miał, mistrzu, dość swojego

życia i chciał je odmienić, ile za to dasz?

– Wiele, może nawet wszystko – zadeklarował się mistrz, który w duchu nieraz prowadził taką zgaduj-zgadulę, gdzie wyobrażał sobie, co chciałby zmienić w swoim życiu i co mógłby za to poświęcić.

– A ile kosztuje dobra książka? – zapytał pan Roman i od razu odpowiedział: – Ekskluzywne wydania co najwyżej kilkaset złotych. Mówiłem, że korzystamy z dobrych sprawdzonych wzorów. Księża, uzdrowiciele, zawodowi naciągacze, oni wszyscy znają i stosują zasadę *co łaska* i świetnie na tym wychodzą.

– Hm, dobrze, ale... – Maks nie mógł się opędzić od myśli, że ta rozmowa bardzo odbiega od zwykłych ustaleń na linii autor-wydawca, a on ma coraz więcej wątpliwości odnośnie planów panów z Z1.

– No, to na razie tyle – huknął pan Roman, widząc, że trochę za mocno rozbudził rozterki autora. – Resztę spraw, w tym promocję i dystrybucję, omówimy za kilka dni. Zapraszam, mistrzu, na spotkanie do naszej siedziby.

Wstał i pewnym krokiem udał się ku wyjściu. Jednak przed drzwiami zatrzymał się, jakby przyszło mu do głowy coś ważnego, czego o mały włos nie zapomniał.

– Aha, i jeszcze jedno... Dzieło krąży już wśród ludzi i może się zdarzyć, że ktoś chciałby nawiązać kontakt. Gdyby ktoś pana, mistrzu, zaczepiał, prosił o radę, wyzalał się lub zachowywał w podobny sposób, proszę się nie zdziwić. Najlepiej pocieszyć, może powiedzieć coś od siebie, byle nic konkretnego nie obiecywać. Ostrzegam tak na wszelki wypadek.

Wyszedł, pozostawiając Maksa z otwartymi ze zdumieniami ustami. Przecież on właśnie kilka minut temu miał taki przypadek! Co mówiła ta kobieta? Że straciła rodzinę, że w nim i jego słowach ostatnia nadzieja. Maks poczuł gęsią skórkę. W co on się pcha? Ta książka naprawdę tak działa na innych? Po chwili paniki jednak przyszło otrzeźwienie. Wytłumaczył sobie, że spotkanie przed budynkiem to pewnie inscenizacja zorganizowana przez tego Romana z wydawnictwa. Może chciał go nastraszyć? Książka to książka, nic więcej. A cała ta gadanina o zmianie życia brzmiała raczej jak marketingowa nowomowa i naciąganie naiwniaków. Jeżeli ktoś się lepiej poczuje po lekturze jego tekstu, to świetnie. Może nawet z nim chwilę pogadać i pocieszyć w jego niedoli. Uspokojony w ten sposób przez swoją racjonalną część mózgu usiadł w fotelu z kubkiem kawy w dłoni. Jednak ta druga, nieuznająca praw logiki część łepety cały czas szeptała mu cicho, że coś tu nie gra i ktoś go wystawia na nielichą próbę.



Po kilku tygodniach królewskiego życia pieniądze od Chińczyka się skończyły, a Max powrócił do swojej „starej biedy”. Tym dotkliwszej, że zdawał już sobie sprawę, iż nie jest to naturalny porządek rzeczy, tylko wynik jego życiowej bezradności. Margaret nie wspominała więcej o niepewnym pochodzeniu środków, jak również nie wzbraniała się przed ich wykorzystaniem w eleganckich domach handlowych. Cindy dostała w prezencie kilka zabawek, o których marzyła od dawna, ale i te jej się powoli nudziły, oczekiwała więc nowych prezentów. Nic więc dziwnego, że Max coraz mniej bronił się wewnętrznie przed dalszą współpracą z Johnem. Skoro nie zrobili nikomu nic złego, oprócz pozbawienia bogacza ułamka jego bogactwa, zapewne zdobytego w równie podejrzany sposób, to cóż stoi na przeszkodzie, żeby taki numer powtórzyć? Być może nawet większy, na wyższą sumę.

Kwota pięćdziesięciu tysięcy topniała szybko. Maks nie zdawał sobie dotychczas sprawy, ile życie kosztuje, szczególnie takie beztroskie, luksusowe. Był przekonany, że skoro utrzymywali się dotąd z pensji Agaty, to jego extra bonus będzie dla nich zabezpieczeniem na lata. Jednak po wyprawie do centrum handlowego pod hasłem *Maks spełnia marzenia swoich kobiet*, liczba i nominały papierków w portfelu uległy znacznej degradacji. Maks ze zdziwieniem, ale i nieukrywanym przerażeniem odkrył, że sponsor odzieżowo-zabawkowo-jubilerski wcale nie wiezie łatwego życia, a przy takich apetytach na zakupy prawdopodobnie nie ma takiej sumy, który by była pełnym zabezpieczeniem przyszłości jego rodziny. Tym samym do strachu przed żądaniem zwrotu datku, częściowo już wydanego, doszło przeświadczenie, że stoi przed jedyną w życiu szansą dalszego zarobku na swojej twórczości, pod warunkiem, że się postara w negocjacjach z Z1. Innymi słowy trzy dni po nieoczekiwanej wizycie domowej pana Romana zawitał do siedziby wydawnictwa z mocnym postanowieniem twardej walki o swoje. Od momentu spotkania dziwacznej kobiety na schodach nikt go już nie zaczepiał, co utwierdziło go w przekonaniu, że była ona nasłaną przez pana Romana aktorką, której celem było przekonanie pisarza o niesamowitym działaniu książki.

Maksa męczyła jeszcze jedna niewiadoma. Nie pamiętał mianowicie imienia, ani nazwiska prezesa. Szef wydawnictwa prawdopodobnie się przedstawił przy pierwszym spotkaniu, ale stan zdenerwowania nie pozwalał Maksowi wtedy zarejestrować tej informacji, a teraz było mu niezręcznie dopytywać się o dane osobowe ważnego rozmówcy. Sprawdził w internecie elektroniczny wypis z KRS-u firmy, ale tam, jako prezes figurował niejaki Manuel Borca del San Estrada. Maks był pewny, że przy nim takie nazwisko nigdy nie padło, a słowiańskie rysy twarzy prezesa wykluczały z niemal stuprocentową pewnością jego iberyjskie lub amerykańskie pochodzenie. Nieco skonfundowany faktem rozmów finansowych *de facto* z nieznanym, podązał korytarzem wydawnictwa ku tym największym drzwiom. Tam powtórzyła się sytuacja z przedwczoraj. Gdy tylko zapukał i szybkim ruchem sięgnął do klamki, ta poruszyła się i w otwartych drzwiach pojawiła się uśmiechnięta twarz pana Romana ze słowami zaproszenia. Prezes siedział za swoim biurkiem, jednak dziś nie zerwał się na

przywitanie Maksa z przyjaznym wyrazem twarzy, tylko czekał na niego za masywnym meblem. Dłonie złożył w wieżyczkę, czoło zmarszczył, ściągając brwi w nastroszone skosy. Wyglądał bardzo prezesowsko, jak skrzyżowanie mędrca z naburmuszonym politykiem szczebla centralnego. Maks zbliżył się i już miał wyciągnąć rękę, kiedy zauważył, że tamten nawet nie drgnął w zamiarze powitania. Dlatego Maks usiadł po prostu na krześle bardzo zmieszany dziwnym przyjęciem.

– Witam, mistrzu – mruknął w końcu prezes. – Chcielibyśmy zgodnie z zapowiedzią dokonać pewnych ustaleń, ale najpierw sprawy bieżące. Roman, referuj.

– Mistrzu, widziano cię z rodziną w centrum handlowym. Trochę poszalałeś... – zaczął pan Roman.

– Ależ, panowie – Maks zerwał się oburzony. – Śledzicie mnie? Zresztą, co wam do tego jak spędzam czas i wydaję pieniądze?

– Nasz datek, konkretnie – sucho dopowiedział prezes. – Daliśmy go na prace nad dziełem.

Maks opadł na fotel z zaciśniętymi ustami. Znowu powróciło echo stwierdzenia Agaty, że nie ma pieniędzy za nic.

– Mistrzu, my rozumiemy, że ostatnio mieliście z małżonką niełatwy okres, a dla kobiety nie ma lepszych przeprosin niż ładne ubrania i biżuteria, ale gdyby was ktoś zobaczył...

– To co? – nie rozumiał Maks.

– A czy Jezus otrzymane pieniądze natychmiast wydawał na przyjemności? Nie! On żył swoją prawdą i posłannictwem. Wszelkie środki, o ile je przyjmował, przeznaczał na szerzenie swojej sprawy – burknął prezes.

– A co ma do tego Jezus? – wykrzyknął Maks. – Skąd wy w ogóle wiecie, że kłóciłem się z Agatą?

– Roman, wprowadziłeś mistrza w nasz plan marketingowy? – prezes zwrócił się do pana Romana, nie odpowiadając na pytanie o źródło ich wiedzy o prywatnych sprawach Maksa.

– Połowicznie. Chciałem dać mistrzowi czas na oswojenie się z nową rolą – burknął zapytany, spuszczać wzrok.

– Czyli nawaliłeś? – nastroszył się prezes. – Przecież ustaliliśmy...

– Nie, nie. Pan Roman chciał mi wszystko wytłumaczyć, tylko ja... To ja nie miałem ochoty posłuchać do końca – Maks niespodziewanie nawet dla samego siebie wsparł marketingowca.

– No, dobra – dał się udobruchać się po chwili prezes. – To dopiero początek, ale kiedy już wyjaśnimy sobie wszelkie sprawy, prosimy cię, mistrzu, o większą powściągliwość i współpracę. Przejdźmy teraz do naszego planu. Co sprzedajemy w pańskiej książce, mistrzu?

– Nadzieję na lepsze życie – odparł Maks, który już się zdążył przyzwyczaić do myśli, że jego sensacyjna historia bez happy endu ma kogoś podnosić na duchu. Następnie dorzucił z przekąsem: – *Za co łaska.*

– Tak jest – rozchmurzył się nieco człowiek za biurkiem. Brwi rozjechały się, a na usta wdarł się nawet lekki uśmiech. – A promocja i dystrybucja?

- Ma nie być dystrybucji - warknął Maks, z gniewem przypominając sobie słowa pana Romana. - Znaczą będzie, ale taka prymitywna, z ręki do ręki.

- Tak - potwierdził prezes. - Jednak najważniejsza jest promocja, a w promocji najważniejszy jesteś ty, mistrzu. Wybacz, że nieco obcesowo cię potraktowaliśmy na wstępie, ale dla odbiorców pierwsze wrażenie jest ważne. Główna postać powinna być krystalicznie czysta. A ty już stajesz się, mistrzu, rozpoznawalny. Komuś wali się życie, szuka pociechy, szuka ciebie, żeby się wyżyć. I co znajduje? Swoją idealną przebierającą w koszu z przecenami na dziale z konfekcją damską.

- Ależ... - Maks znów uniósł się gniewnie z fotela.

- Musimy po prostu wszystko ustalić - prezes łagodnił ostry wydźwięk swoich słów. - Umówimy szczegóły i wtedy wszystko stanie się jasne. Trzeba pamiętać, że godzina zero nadchodzi. Księga już krąży i zbiera pierwsze żniwo.

Maks nie miał pojęcia, co prezes rozumie pod godziną zero oraz pierwszym żniwem. Wolał jednak nie pytać, żeby nie gmatwać i tak już nie do końca zrozumiałego przebiegu wydarzeń.



Plan nowego skoku wyglądał podobnie do numeru z Chińczykiem. John znalazł bogatego milionera z Rosji, który w obawie przed działaniami tamtejszych służb, postępujących zgodnie z linią polityczno-gospodarczą prezydenta Putina, zdążył przenieść swój majątek oraz siebie na bezpieczne wody dzikiego kapitalizmu USA. Co prawda Stany Zjednoczone w coraz mniejszym stopniu przypominały dawną ziemię obiecaną, gdzie każdego dnia jakiś pucybut zaczynał swoją drogę do milionów. Jednak człowiek ów nie był pucybutem, a jedynie bogaczem rodem z dawnej sowieckiej nomenklatury szukającym schronienia dla swoich pieniędzy zdobytych jeszcze w złotych czasach prezydentury Jelcyna. John i Max planowali ponownie sprzedaż kolekcji, tym razem chińskich precjozów, pochodzących rzekomo z czternastowiecznego dworu cesarza chińskiego. Scenariusz transakcji przewidywał podobne działania co w przypadku bogatego Chińczyka – prezentację oferty, a następnie wręczenie sutej zaliczki przez kontrahenta pod zastaw pierwszej części kolekcji.

– Zarobimy większe pieniądze, ale i poniesiemy większe koszty – opisał krótko rolę Maxa John. – Ja znajdę jakąś odpowiednią chińską starzyznę, a ty, podobnie jak wtedy, pożyczysz pieniądze.

Max zdążył już przemyśleć wszystkie „za” i „przeciw”, a w miarę topnienia zasobów portfelu ubywało tych drugich. Po prostu, uwierzył, że znalazł swoją żyłę złota i będzie mógł spokojnie od czasu do czasu wziąć z niej co nieco na swoje bieżące potrzeby. Błogosławił w myślach moment, kiedy spotkał na ulicy Johna i dał się przez niego zaciągnąć na kumpelskie pogaduszki dawnych szkolnych kolegów. Nie ma jak stare przyjaźnie! Tak naprawdę nie przyjaźnili się ze sobą w szkole, nawet nie znali się zbyt blisko. Ale czas zaciera niewygodne wspomnienia. A jeżeli teraz ta znajomość tak się przydaje, to można ją nazwać starą przyjaźnią.

– Ruski jest znacznie bogatszy niż Chińczyk, ale i sprytniejszy. Nie możemy pokazać mu byle czego – tłumaczył John.

Potem rozmowa zeszła na dziwne zainteresowania milionerów, którzy są w stanie płacić setki tysięcy lub nawet miliony za stare meble lub precjoza.

– Snobizm i lokata kapitału – podsumował John. – A my mamy z tego na naszą kromkę chleba z masłem.

Umówili się na spotkanie po odnalezieniu przez antykwariusza odpowiedniej chińszczyzny. Max wrócił do domu zadowolony, że znowu jest na fali.

Kierowca wiozący Maksa od siedziby wydawnictwa zatrzymał wóz w wąskiej uliczce na obrzeżach miasta.

– To tu.

Maks wysiadł i ze zdumieniem stwierdził, że znalazł się w bardzo ładnym, wręcz idyllicznym otoczeniu. Skraj miasta, park z zarośniętym rżesą stawem i pływającymi dostojnie łabędziami, domy jednorodzinne z dużymi ogrodami, a na końcu ślepej uliczki

wznosił się rzeźbiony łuk bramy pamiętający jeszcze czasy przedwojennej świetności willi skrytej za nim w zieloności. – Proszę, mistrzu. Tędy.

Przydzielony przez prezesa i pana Romana opiekun nazywał się Czesław. Przynajmniej tak kazał na siebie mówić, a Maks przyznał w duchu, że fizjonomia jego przewodnika świetnie pasuje do tego imienia. Nie umiał tego logicznie wyjaśnić, ale był to z całą pewnością Czesław z krwi i kości. Przewodnik poprowadził go żwirową alejką podjazdową w kierunku budynku. Willa lepiej się prezentowała z oddali. Bliższy ogląd unaoczniał stopień zaniedbania nieruchomości. Gdzieniedzie odpadły tynk, brudne okna oraz łuszczące się płatki farby olejnej na metalowych poręczach były dowodem upadku świetnej niegdyś posesji przedwojennego fabrykanta. Maks zauważył leżącą w krzakach tablicę. A kiedy ja podniósł, zdołał z przerdzewiałej struktury odcyfrować częściowo zachowany napis *Dom pracy tw...ej >Iskierka<*.

– Tu był kiedyś dom pracy twórczej? – zdumiał się.

– Tak, kiedyś, jeszcze za komuny, dla pisarzy i scenarzystów. Potem hurtownia zabawek, po niej siedziba producenta szamponów, potem jeszcze coś, a teraz to będzie twoja siedziba, mistrzu – wytłumaczył pan Czesław i się uśmiechnął. Znaczący uśmiechnął się mocniej, bo pan Czesław uśmiechał się stale, jakby mimowolnie. Po prostu, w sytuacji neutralnej rysy pana Czesława układały się w uśmiech permanentny, tak były ułożone jego narządy, mięśnie oraz zmarszczki twarzy. Postronny informator mógłby odnieść wrażenie, że ma do czynienia z osobą pełną pogody ducha i życzliwości dla innych. Jednak krótka wymiana zdań z rzeczonym Czesławem unaoczniała Maksowi, jak bardzo ocena drugiej osoby opiera się na stereotypach: uśmiech = dobry człowiek, złośliwy grymas = zły człowiek. Wyglądał on na sympatycznego i pełnego dobrych uczuć, a w rzeczywistości był zwykłym, mniej niż średnio zadowolonym z życia obywatelem, który nie oczekiwał od losu niczego poza świętym spokojem, natomiast od Wydawnictwa Z1 comiesięcznej pensji i również świętego spokoju. Chwilową niewiadomą pozostawał wyraz twarzy pana Czesława w chwilach gniewu lub smutku, bo Maks jakoś nie mógł sobie wyobrazić mimiki typowej dla tych uczuć wobec wmontowanej na stałe radości oblicza.

– Wejdziemy? – zapytał Maks.

– Oczywiście. – Pan Czesław znowu uśmiechnął się nieco bardziej niż normalnie.

Wyciągnął z kieszeni pęk kluczy i dłuższą chwilę szukał tego właściwego. W końcu wetknął go w zamek i drzwi uchyliły się ze zgrzytem. – Kiedyś, za Wiśnickich, w czasach międzywojennych, to było centrum tutejszego życia towarzyskiego.

– Tak? Nie słyszałem o takich – zdziwił się Maks. – Jakaś arystokracja?

– Bardziej nuworysze, ale na tyle bogaci, że nawet przedstawiciele najstarszych rodzin im tego nie wypominali. No, a po zamordowaniu pani Wiśnickiej przez męża, to i najlepsza szlachta musiała przyznać, że u nich na przestrzeni wieków ciężko znaleźć równie barwną historię – pan Czesław snuł opowieść ze swadą godną Sabały.

– A więc to miejsce ma swoją historię? – zdumiał się Maks.

– O, tak. Pan Wiśnicki budował swoją fortunę w przemyśle metalowym w dwudziestoleciu międzywojennym. Wiązało się to z ciągłymi wyjazdami, jak również częstym pozostawianiem młodej i pięknej żony bez nadzoru. Podczas wojaży męża pani Wiśnicka usilnie szukała możliwości, jak pozbyć się zalewającego ją nadmiaru gotówki

oraz w jaki sposób zabić nudę wynikającą z wielkiej ilości wolnego czasu. Zaczęła zapraszać różnych ludzi...

– Jakich ludzi? – Historia zaciekała Maksa.

– Różnych, byle nie normalnych. Wróżbici, jasnowidze, karły, skrajni komuniści, przyciągający ciałem metale, święci ojczulkowie-eremici. Całe to towarzystwo znajdowało swój azyl i wsparcie finansowe właśnie tutaj. Wtedy willa leżała w pewnej odległości od granic miasta, więc dyskrecja była gwarantowana. Jednak po jakimś czasie spotkania i rozmowy z całą tą menażerią przestały jej wystarczać. I założyła coś w rodzaju sekty. Wie pan, mistrzu, bogate hrabiny znudzone swoim pustym życiem, młode bawidamki chętnie zapełniający tę pustkę, wiara w nadprzyrodzone znaki, domniemane relikwie oraz obrzędy z elementami, mhm, no wiesz pan, czego, mistrzu.

– Seksu? – domyślił się Maks.

– O, właśnie! – Pan Czesław ucieszył się, że ktoś powiedział za niego to słowo. Następnie powrócił do przerwane go wątku. – No i pan domu wrócił kiedyś niezapowiedzianie, podczas takiej niby mszy, gdzie zobaczył swoją żonę w sytuacji niemal intymnej. Niemal, bo przecież było tam jeszcze kilkudziesięciu uczestników owego wydarzenia, czekających wokół łóżka pani domu na swoją kolejke.

– O, ja cię pierniczę – Maks zaklął całkiem nie po mistrzowsku. – I co dalej?

– Zaskoczenie, szal wściekłości, wstyd, zazdrość, i co tam jeszcze człowiek może odczuwać. Chwyił za pistolety i zabił ją, a także tych kilku maruderów, którzy nie zdążyli uciec przed szalonym mężem. Obezwładniło go dwóch fernali, którzy akurat weszli do domu ustalić coś w sprawie chorego konia z pobliskiej stajni Wiśnickiego. Fornale to, jak wiadomo, zazwyczaj postawne i odważne chłopcy.

– Pewnie dostał karę śmierci – westchnął Maks.

– Tak, choć nikt nie chciał w tym procesie zeznawać. Uczestnicy tego niby-obrzędu wymigiwali się jeden po drugim i zaprzeczali wszystkiemu. Po prostu, mówili, że ich tu nie było. I rzeczywiście podczas rozprawy przedstawiano sprawę tak, jakby w domu nikogo oprócz zabitych nie było, a służba nic nie widziała, przynajmniej oficjalnie. Jedynie ci, którzy złapali pana Wiśnickiego przyznawali, że zrobili to, ponieważ biegali on po rezydencji i strzelał z pistoletów do jakiś postaci. Proces był więc mocno poszlakowy. Zresztą wyroku nie wykonano, bo wybuchła wojna. Niemcy po wkroczeniu w 1939 zajęli wszystkie więzienia i areszty. Podobno nie patyczkowali się ze skazańcami, ale po Wiśnickim słuch zagał, a wyroku nie wykonano z całą pewnością.

– Może uciekł, zmienił tożsamość i dalej wiódł już inne życie – sugerował Maks.

– Może... – Pan Czesław nie wdawał się w dywagacje o dalszych losach pechowego bogacza.

Następnie wręczył Maksowi klucze, tłumacząc, że to jego nowa siedziba i szybko odjechał. Maks zorientował się, że właśnie wybiła godzina piętnasta, a pan Czesław, jako wielbiciel świętego spokoju i nieprzemęczania, nie zamierzał pracować w nadgodzinach.

Maks wszedł do środka, każdy krok odbijał się echem w zakamarkach ciemnego hallu. Niesamowita opowieść pana Czesia dała rezultat w postaci gęszej skórki i wyczulenia na każdy szelest wewnątrz budynku. Idąc wzdłuż ściany szukał na oślep przełącznika światła. W końcu ręka wyczuła plastikowy kształt. Żyrandol zapłonął

światłem kilkudziesięciu żarówek. Przed nim rozciągał się szeroki korytarz z marmurową podłogą, zakończony schodami. To na pewno tu była reprezentacyjna część domu Wiśnickich, gdzie przybywali ci wszyscy goście znudzonej żony fabrykanta. Maks otworzył najbliższe drzwi i znalazł się na progu dość dużej sali, gdzie stało kilka zdezelowanych biur. Jedynie fantazyjne stiuki na suficie, rzeźbione łuki nad oknami oraz ogromne, pociemniałe ze starości lustro świadczyły o dawnej świetności tego miejsca. Reszta to pozostałości po prosperujących tu jakiś czas hurtowni albo fabryce szamponu. Znaków działalności domu pracy twórczej Maks nie zauważył. Zresztą, jaki materialny ślad może pozostawić po sobie zapracowany pisarz lub scenarzysta oprócz pustych butelek po płynach wspomagających twórczą wyobraźnię? Maks potoczył spojrzeniem po pomieszczeniu. Tak, to musiało być tutaj. Oczywiście widział wielkie łoże z baldachimem, tłum przebranych w dziwne stroje bogaczy w maskach i rozpustną orgię z panią Wiśnicką w roli głównej.

Idea reprezentacyjnej siedziby Maksa był kolejnym punktem planu marketingowego. Mistrz i nauczyciel nie powinien być widywany przez odbiorców jego nauk w mieszkaniu spółdzielczym na osiedlu z wielkiej płyty. Każdy kontakt czytelników z Maksem, a szczególnie ten pierwszy, kształtujący ich postawy oraz opinie, ma budzić poczucie czegoś niezwykłego, całkowicie innego od przasnej normalności. Stąd pomysł na tak ekstrawagancką siedzibę. Maksowi bardzo się ten pomysł spodobał, a po zapoznaniu z krwawą historią tego budynku, wręcz zachwyił. Będzie miał wreszcie swoją przystań, gdzie w spokoju stworzy dalsze dzieła. Dodatkowo wynajem okazałej willi, choćby i podupadłej, jak również zaangażowanie pracowników wydawnictwa w postaci pana Czesława, utwierdziły go, że nie jest oszukiwany. Z1 naprawdę zamierzało go promować na swój oryginalny sposób.



– *Interes się rozwija, jak widzę – stwierdził boss, rzucając Maxowi kpiący uśmiech zblazowanego mafiosa, następnie pociągnął haust cygarowego dymu. Zaduch tytoniu był dla Maxa nie do zniesienia. Cygara mają zupełnie inny zapach niż papierosy lub fajka, cudowny dla pasjonatów, jednak dla większości ludzi odrażający oraz duszący. A opowieści o pięknych, młodych Kubankach rolujących brązowe liście na swoich ponętnych udach nijak nie polepszały maxowego odbioru dymnego kopcia.*

– *Mamy dobry biznes na oku – Max próbował odpowiadać w konwencji gangsterskiej, jednak nie dało się ukryć, że klimat tego miejsca znów podziałał na niego porażająco. Trzęsły mu się kolana, a w gardle zapanowała pustynno-kolczasta suchość. Próbował nie kaszlnąć, choć w obliczu otaczających ich kłębow było to trudne.*

– *Dobry biznes nie jest zły – skomentował boss, wypuszczając przy tym kolejne chmury dymu. – Satrin, przynieś panu Maxowi gotówkę.*

Po chwili Max wyszedł z zadymionego „biura” na ulicę. Plik banknotów na zakup czternastowiecznej chińszczyzny był znacznie grubszy niż ostatnio, a Max dużo bardziej przestraszony. Postanowił w duchu, że ten numer będzie na pewno jego ostatnim występem w duecie z Johnem. Margaret miała rację mówiąc, że pakuje się w nieczyste interesy. Zbyt wiele nerwów go to kosztuje.

Maks zaczął pracę przy promocji książki zgodnie z ustaleniami z wydawnictwem. Pierwszym krokiem było urządzenie swojej siedziby. Willa okazała się być w złym stanie technicznym. W kątach pleśniała się pleśń, farba na ścianach szerniała, a gdzieś tam odchodziła całymi płatami, drewniane parkiety były zniszczone, dodatkowo musiały zostać wielokrotnie zalane, bo skrzywiały i ugiwały się pod ciężarem kroków. Maks, jako ignorant techniczny, nie umiał ocenić stanu instalacji, ale kapiąca na łączeniach rur woda i zwisające w kątach kable nie pozostawiały w tej dziedzinie wielu wątpliwości nawet dla laika. Jednak kręcąc się po posiadłości, którą otrzymał chwilowo we władanie, coraz bardziej przekonywał się do pomysłu spędzania tu twórczych godzin.

– *Mistrzu, to szansa, żeby tworzyć swoje dzieła w godnych warunkach oraz móc prezentować się światu jako zaszywający się w mrocznych murach mędrzec i autorytet – pan Roman wyjaśnił mu marketingową koncepcję willi.*

Mistrz pokochał ją od pierwszego wejrzenia – styl budownictwa z początku XX wieku, widoczne na każdym kroku resztki chwały tego miejsca oraz romantyczna historia państwa Wiśnickich, to wszystko sprawiło, że natychmiast poczuł się tu u siebie. Dostał od wydawnictwa pieniądze, siedzibę i zachętę do dalszej pracy. Czyż można chcieć czegoś więcej? Nawet Agata powinna być usatysfakcjonowana, bo w gruncie rzeczy jej postulaty zostały spełnione – chodzi o pracę i zarabianie. Konkretnie będzie zarabiał, bo na razie musiał mu starczyć pięćdziesiątytysięczny datek, a dalsze wpływy miały zależeć od ilości chętnych do poprawy życia poprzez lekturę jego motywacyjnego kryminału. Innymi słowy, wszystko było teoretycznie po myśli żony, która jednakże znowu nie była przekonana do takiej koncepcji pracy.

– A ty nie możesz jakoś normalnie? – jęknęła, gdy tylko przedstawił jej pomysł z willą. – Tak jak trzydzieści osiem milionów innych Polaków? Obudzić się o siódmej rano, zjeść śniadanie i siąść w biurze przed komputerem albo w warsztacie pod naprawianym samochodem. A po ośmiu godzinach pracy, przeplatanej ploteczkami o rozwiedzionej koleżance i niesprawiedliwym szefie, wrócić do domu, zjeść obiad, spytać się dziecka o stopnie w szkole i położyć spać obok nudnej żony?

Można to było streścić do dużo krótszego pytania: Czy nie możesz być inny niż jesteś?

– Ależ Agata, przecież to jest super propozycja! – odparował Maks. I trzeba uczciwie przyznać, że tym razem atuty były po jego stronie. Znalazł firmę zainteresowaną jego twórczością, pojawiły się pieniądze oraz ciekawe warunki pracy. Co prawda i jego męczyły wątpliwości odnośnie nietypowych działań oraz pokrętnych teorii marketingowych wymyślonych dla jego powieści, ale chwilowo zaangażował się w sprawy bieżące i był z tym szczęśliwy.

Pan Czesław, poznany pierwszego dnia zwiedzania posiadłości, został delegowany z wydawnictwa do pomocy Maksowi przy urządzaniu willi. I okazał się bardzo pomocny jako doświadczony fachowiec typu *złota rączka*. Usunął nieszczelności w instalacji wodnej, sprawdził uszkodzone miejsca instalacji elektrycznej, no i pomógł sprzątać.

– Że też się panu chce, mistrzu? – dziwił się podczas przerwy w robocie, wypuszczając kółka papierosowego dymu. – Jak już miałbym pisać, to bym wolał siedzieć w domu. Oczywiście tylko wtedy, jeżeli by płacili. Nigdy bym się nie przeprowadzał do takiej rudery.

Najwyraźniej pan Czesław nigdy nie słyszał o pisarskim powołaniu lub też o kreatywnych, poszukujących duszach, które muszą się wyrazić w twórczości, bo w przeciwnym wypadku umierają. A dziwne otoczenie zazwyczaj bardzo tej twórczości pomaga.

Maks spostrzegł, że z kolejnymi wspólnie przepracowanymi godzinami malał między nimi dystans, a używana w każdym zdaniu forma *mistrzu* nabierała wręcz groteskowego zabarwienia w kontekście wspólnej, fizycznej pracy przy naprawianiu i oczyszczaniu obiektu. Jednak pan Czesław trzymał jej się uporczywie, tak jakby dostał kategoryczny rozkaz od mocodawców z Z1.

– Szukam jeszcze sensu w życiu, próbuję w różnych dziedzinach. Eksperymentuję – górnolotnie wyjaśnił Maks.

Po wiecznie uśmiechniętej minie pana Czesława przemknął cień niezrozumienia skutecznie zamaskowany krótkim *Aha*.

– Nowe bodźce, nowe prądy, inspirujące historie. Pisarz nie może wiecznie siedzieć w M-3 z wielkiej płyty i łąć kolejne tomy sagi o tym, że on ją kocha, a ona jego nie – Maks brnął w wyjaśnieniach.

– Czemu nie? – zdziwił się pan Czesław, po czym dodał pospiesznie: – Mistrzu.

– Bo wtedy pisanie staje się nudnym obowiązkiem – wyjaśnił Maks.

– A tak jest ciekawe, mistrzu? – dopytywał się pan Czesław, który najwyraźniej nie podzielał entuzjazmu Maksa wobec literatury.

- No, dobra. Wracamy do roboty - zakomenderował Maks, widząc, że rozmowa skręca w niechcianym kierunku.

Pan Czesław oprócz rozwiązywania spraw technicznych rozpoczął proces aranżacji wnętrza. I Maks zorientował się w krótkim czasie, że nie były to przypadkowe działania, lecz postępujące za jasno skryzalizowanym planem. Prawdopodobnie pan Roman lub sam prezes przekazali uwagi swojemu wysłannikowi i ten postępował zgodnie z wytycznymi. Maks poczuł się nieswojo, widząc, że ktoś go pomija w strumieniu informacji i być może ma w tym swój cel. Pojawiło się sporo elementów potęgujących poczucie *dziwności* tego miejsca: ściany pomalowane na ciemny kolor, czarne oraz bordowe kotary, abstrakcyjne obrazy, a w końcu kilka rzeźb podobnych do surrealistycznych postaci tworzonych przez Abakanowicz. Maksowi wystrój się podobał, natomiast nie podobało mu się, że pan Czesław działa bez porozumienia z nim, będącym, bądź co bądź, najważniejszą osobą w tym przedsięwzięciu. Przynajmniej w swoim mniemaniu.

Po kilkunastu dniach pracy wszystko było gotowe. Na swego rodzaju wernisażu pojawili się pan Roman oraz prezes. Maks oprowadzał ich dumnie po obiekcie.

- Pięknie to urządziłeś, mistrzu - pochwalili prezes. - Już niedługo czytelnicy zaczną cię znajdować.

- Co pan przez to rozumie? - nie rozumiał Maks.

- Zobaczysz, mistrzu. Aha, na konto przelaliśmy dodatkowe trzydzieści tysięcy złotych. Musi pan, mistrzu, pokwitować odbiór wraz z umową - poinformował go prezes. - Roman, umowa.

Marketingowiec podał plik papierów i długopis, następnie wskazał miejsce na podpis.

- Zaraz, zaraz. Muszę przeczytać - mruknął Maks, zaskoczony tak szybkim obrotem sprawy. Panowie spojrzeli po sobie, zupełnie jakby nie spodziewali się, że ktoś zechce tracić czas na czytanie tasiemcowych umów. Być może taki był ich plan, żeby wykorzystać uroczysty moment, który w połączeniu z informacją o przelanych pieniądzach miały sprzyjać podpisywaniu wszelkich umów bez wnikania w ich treść.

- Oczywiście, poczekamy - mruknął prezes. Pan Roman przytaknął. Maks rozpoczął lekturę dokumentów.



Max wracając do domu z pieniędzmi w kieszeni wstąpił do jednego z licznych barów z chińskim jedzeniem. Zapach smażonego makaronu w warzywami oraz kaczuki po pekińsku w tym otwartym przez całą dobę lokalu był tak wżarty w ściany i meble, że pomieszczenie nie miało już szans na jakiegokolwiek inne zastosowanie. Po prostu przesiąkło zapachem przyrządzanej tu chińszczyzny na wieki. Max zamówił jedzenie i usiadł przy oknie obserwując ruch uliczny. Szczególnie lubił oglądać twarze przechodniów. W Wielkim Jabłku, jak czasem zwano Nowy Jork, mieszkali przybysze z całego świata. Mieszały się różnorodne rysy twarzy, kolory skóry, postury, ale przede wszystkim religie i zwyczaje. Nie lada frajdą było odgadywanie, skąd ci ludzie się wzięli, i jak bardzo są tu zakorzenieni. Pomimo, że Ameryka to dla całego świata nieomal synonim równości społecznej, to jednak wykształciły się już nowojorskie elity, zamieszkujące miasto od wieków. Obok nich żyją prawnuki oraz wnuki przybyszów z XIX oraz XX wieku, pamiętający nieraz jak ich dziadkowie mówili jeszcze w języku starego kraju. Nie dało się jednak nie zauważyć, że mnóstwo nowojorczyków urodziło się gdzie indziej i przybyło tu w poszukiwaniu punktu zaczepienia dla lepszego życia.

Max jadł i obserwował ludzi, myśląc o ich potencjalnym pochodzeniu. Wtem zastygł z zaskoczenia wywołanego widokiem za szybą. Przed witryną lokalu, dosłownie kilkadziesiąt centymetrów od niego, przeszło dwóch mężczyzn. Trwało to zaledwie kilka sekund, gdyż panowie poruszali się dość zwawym krokiem, ale na tyle długo pozostali w polu widzenia, żeby Maks mógł rozpoznać człowieka wyglądającego całkiem jak ów bogaty Chińczyk, ich ofiara z ostatniego numeru. A gość kroczący obok Azjaty był niezwykle podobny do smutnego właściciela staroegipskiej szkatuły, który z powodu kłopotów finansowych był zmuszony sprzedawać rodzinną kolekcję za bezcen. Tak przynajmniej twierdził.

Max wychylił się ze swojego miejsca i niemal przywarł nosem do szyby, próbując upewnić się co do tożsamości przechodniów. Jednak oni już skręcili za róg, a on zastygł w tej dziwacznej pozycji z poczuciem niepewności. Czy to byli ci dwaj? Dlaczego szli razem? Może poprzedni właściciel szkatuły zdobył pieniądze i znalazł Chińczyka, żeby odkupić cenną pamiątkę rodzinną? Jednak ich mowa ciała mówiła co innego. Zachowywali się jak dobrzy koledzy, a nie obcy sobie ludzie. Po prostu szli razem swobodnie rozmawiając. Maks zastanawiał się chwilę co począć z taką informacją. Jak zwykle w takich sytuacjach z pomocą przyszedł rozum ze swoją racjonalnością i wytłumaczeniem dla wszelkich wątpliwości.

„Nie, to na pewno nie oni. Wszyscy Chińczycy wyglądają identycznie, a i smutnych, starszych panów nie brakuje w Nowym Jorku. Przecież widziałem ich zaledwie przez moment. Co można stwierdzić w tak krótkim czasie?” – Max kończył swoje azjatyckie danie, karmiąc jednocześnie mózg sporą porcją zdroworozsądkowych spostrzeżeń, które miały jeden cel – nie dopuszczały do niego myśli, że ktoś go oszukuje.

Maks siedział przy biurku i wpatrywał się w przekazane dokumenty jak przysłowiowa sroka w kość. Pan Roman i prezes wytłumaczyli mu zawilności prawne proponowanego układu, ale on z każdym ich słowem odczuwał coraz większy zamęt w głowie. W końcu poprosił o czas na przeczytanie i przetrwanie wszystkiego na osobności. Zasugerował nawet, że weźmie umowę do domu i skonsultuje z żoną. Wywołało to jednak dość ostry sprzeciw obu panów. Wyjaśnili oni, iż rzekomo nie można podpisać umowy w dniu późniejszym niż przelew kwoty na jego konto. Dodatkowo nie widzieli innej możliwości realizacji planu marketingowego niż ich propozycja. Następnie skomentowali wahania Maksa jako zbytek ostrożności. Można powiedzieć, że postawiono mu ultimatum, być może nie tak ostro sformułowane jak ultimata mogą być, ale jednak. W końcu został on w osobnym pokoju, sam na sam z dokumentem, próbując dojść do ładu z otrzymaną propozycją prawną. Jako człowiek pióra teoretycznie nie powinien mieć problemu ze słowem pisany w żadnej z jego postaci. Przebrnął przecież przez wszystkie dzieła Dostojewskiego, wygrał czytelniczą batalię z Faulknerem oraz Joyce'm, nawet *Silmarillion* Tolkiena zniechęcił go dopiero po przekroczeniu połowy dzieła. Ale tu musiał przyznać, że znalazł się na skraju rozpacz. Suche sformułowania były niewątpliwie zdaniami w języku polskim. Jednakże nie mógł pozbyć się wrażenia, że czytając je, rozumie słowa, ale pomija jakiś ich bardzo ważny, choć ukryty sens, którego nijak nie może rozgryźć. Po zastanowieniu pomysł konsultacji z żoną wydał mu się również nietrafiony. Agata przecież nie marzy o niczym innym, żeby rzucił w diabły to całe pisarstwo, a w to miejsce zajął się *normalną* pracą oraz życiem szarego człowieka. Łatwo przewidzieć, co powiedziałyby na tak nietypową umowę.

Dokument zawierał powołanie Maksa na prezesa fundacji *Zmień swoje życie*. Fundacja już powstała, została zarejestrowana i uchwalono jej statut. Pan Roman i prezes wydawnictwa tłumaczyli, że wszelkie przepływy finansowe typu *co łaska* najlepiej załatwiać przez fundację. W głowie Maksa po kilku minutach lektury umowy powstał nielichy mętlik. Słowa *fundator*, *fundusz*, *akt założycielski*, *KRS*, *statut* i wiele innych, wirowały w jego skołatanych myślach, a każde dodatkowo przeczytane zdanie powiększało ten chaos. Dodatkowo oliwy do ognia dolewała presja czasu. Dwaj przedstawiciele Z1 stwierdzili jasno, że nie ma czasu na dłuższe dywagacje, umowa jest aktualna teraz albo nigdy.

– Panie, proszę, pomóż – szepnął, unosząc głowę ku górze. – Co mam teraz robić?

Maks, zgodnie z zasadą ostatniej instancji, zwracał się do Boga. Skoro ten poprowadził go swoją ojcowską ręką do tego momentu, to nie powinien zostawiać na rozdrożu, bez podanego na tacy rozwiązania. Co prawda, jeszcze kilka godzin temu Maks był bardzo dumny z tego, jak sobie samodzielnie świetnie zorganizował życie i jak jego talent w parze z pracowitością zaowocowały sukcesem. Jednak kolejna komplikacja wytrąciła go z samozadowolenia. W Bogu nadzieja! I rzeczywiście, Opatrzność najwyraźniej lubiła Maksa wraz jego śmieszna, ludzka bufonada, bo znak się pojawił. Dotychczas ponure niebo za oknem zabłysnęło nagle światłem słonecznym, które zajarzyło się w szklanych, okiennych refleksach. Jedno z odbić padło na stół z rozłożoną umową, dokładnie w miejscu, gdzie pusta, papierowa przestrzeń czekała na zawijasowy podpis Maksa.

Aż dech mu zaparło w piersiach. Czyżby był on tym wybranym? Może rzeczywiście Bóg mówi przez jego pisarstwo? W swojej pysze i zachwycie nad oglądanym fenomenem wyobraził sobie, że zaraz rozewrą się niebiosy, z których popłynie głos: *Oto Maks mój umiłowany*.... Nic się takiego jednak nie stało. Maks nie wahał się dłużej, szybkim ruchem podpisał dokument. Nie będzie go dalej analizował. Znak został dany, a więc to dobra droga. W momencie oderwania długopisu od kartki świetlny refleks zniknął wraz z kolejną potężną chmurą na nieboskłonie, a zza drzwi prowadzących na korytarz doszedł go głośny wybuch śmiechu. To pewnie pan Czesio opowiedział jedną ze swoich pieprzonych historyjek, a czekający na decyzję Maksa prezes z panem Romanem szczerze się z niej zaśmiewali. Jednak Maks nie mógł pozbyć się wrażenia, że śmieją się z niego. Z jego niewiedzy prawniczej, z wahania, i w końcu z decyzji opartych na słonecznych znakach z niebios. Po sekundzie wstał i szybkim krokiem wyszedł na korytarz.

– Proszę, podpis – oświadczył sucho, wręczając dokument panu Romanowi.

– Gratulujemy, mistrzu i jednocześnie panie prezesie! – huknął prezes. – Napijmy się za powodzenie naszej akcji.

Pan Roman otworzył torbę, która okazała się miniaturową lodówką zawierającą zmrożoną butelkę szampana i kieliszki. Wyciągnął szkło, nalał, a następnie spełnił toast:

– Za zmiany w życiu.

– Za zmiany! – podchwycił prezes wydawnictwa.

Pan Czesław został dość bezceremonialnie pominięty przy rozlewaniu szampana. Stał kilka metrów od nich, oparty o kolumnę zwieńczoną czymś na kształt doryckiej głowicy i palił papierosa. Piętnasta jeszcze nie wybiła, więc nie opuszczał swojego stanowiska. Palił i patrzył, a jego wiecznie uśmiechnięta twarz była nieco mniej wesola niż zwykle. Całkiem jakby mówił: *Ojojjoj*. W rzeczywistości nie powiedział ani słowa, a Maks zaabsorbowany konwersacją z prezesem i panem Romanem nie zwracał na tego człowieka uwagi. Został prezesem fundacji *Zmień swoje życie* i domyślał się, że zmiana będzie w pierwszym rzędzie dotyczyć jego samego. Znowu był roześmianym człowiekiem sukcesu, który bezproblemowo podejmuje trafne decyzje życiowe.



John był bardzo zadowolony. Starochińska waza z laki była onegdaj ozdobą pałacyku austriackiego magnata, którego przodkowie zakupili cacko na fali mody na meble i precjoza z Państwa Środka, jaka ogarnęła Europę w XVII wieku. Po zawieruchach Drugiej Wojny Światowej, przemarszach Armii Czerwonej i niespokojnych latach, kiedy za butelkę wódki można było nieraz kupić dzieło sztuki najwyższej klasy, waza zniknęła z austriackiego zameczku, by po kilkudziesięciu latach pojawić się na rynku sztuki w Nowym Jorku. Oczywiście nie na tym oficjalnym, z pełną kontrolą pochodzenia, lecz tym trochę mniej dokładnie rejestrowanym, gdzie zadawano niewiele pytań, ale i ceny były niższe.

– Super się spisaleś – Max dostał pochwałę w zamian za plik banknotów, które sfinansowały wazę. – Ruski już się nie może doczekać.

– Robimy jak wtedy, tak? – upewniał się Max. Antykwariusz skinął potwierdzająco głową. Po chwili wahania Max zadał pytanie, które męczyło go od momentu, kiedy zauważył dwóch ludzi przez szybę chińskiej jadłodajni: – Słuchaj, John. Wczoraj popołudniu widziałem, znaczy wydawało mi się, że widziałem, chociaż to byli... znaczy, widziałem tego Chińczyka z tym smutnym od egipskiej szkatuły. Gadali jak starzy kumple i gdzieś szli razem. Czy oni się wcześniej znali?

– To nie byli oni – odpowiedział natychmiast John. – Przecież skośny został z niczym, dał znacznie więcej niż była warta szkatuła, więc gdyby spotkał tego starego, to raczej nie gadaliby jak koledzy. Myślałby, że ten jest z nami w zмовie.

– A jest? – dopytywał się Max.

– Nie. Dostał swoją forszę i tyle go widzieli – odpowiedział John trochę zbyt pewnym siebie głosem.

Prezes fundacji – to brzmi dumnie, a do tego pisarz – brzmiało jeszcze lepiej. Humanista i znawca ludzkich dusz – to Maks dodawał do swojego opisu bardzo nieśmiało, wręcz niesłychalnie, nawet dla siebie samego, ale dodawał. Po bożej pomocy w podpisaniu umowy, stwierdził, że nareszcie trafił na swoją drogę zawodową, i w ogóle sens życia. Każda kolejna myśl i wydarzenie utwierdzały go w obranej decyzji. W tym przekonaniu upewnił go szczególnie wspomniany przez prezesa wydawnictwa przelew trzydziestu tysięcy oraz gotowa siedziba fundacji, która dzięki staraniom pana Czesia w niczym już nie przypominała obskurnego lokalu po hurtowni zabawek. Tak, zaczynał nowy rozdział życia. Był z tego bardzo dumny, ale... postanowił na razie nie wspominać o tym Agacie. Nie był pewien, czy ona by tak samo to odebrała, a ten brak pewności przemienił się w postanowienie o tymczasowym zachowaniu tajemnicy. Dla rodziny niech pozostanie zwykłym pisarzem, któremu wydawnictwo dało coś w rodzaju stypendium i lokalu do pracy. A jak wszystko się ułoży, wtedy dopowie im resztę, by następnie pochylić głowę po laur tryumfu w swoich zmaganiach życiowych. Ale na razie – cicho, sza! Gdzieś tam daleko, w najbardziej skrytym zakamarku głowy jarzyła się lampka, która ostrzegała przed takimi tajemnicami. Dotychczas różnie bywało w ich

małżeństwie, ale jednego nie można im odmówić – opowiadali sobie nawzajem o swoich planach, sukcesach oraz porażkach. Maks głównie o porażkach. I Agata, pomimo własnego zdania o jego powołaniu życiowym, zazwyczaj dawała mu wsparcie. Teraz nastąpiła rzecz odwrotna – odniósł sukces, którym postanowił się nie chwalić. Lampka ostrzegawcza jaśniała i przestrzegała przed takimi tajemnicami, ale jak już powiedziano, oświetlała ona tylko kawałeczek maksowej lepetyny. A jej reszta pławiła się w niezmaconym poczuciu tryumfu. Jedynym ciemniejszym punktem całej historii z fundacją był fakt, że wiceprezesem został mianowany pan Roman. Prezes wydawnictwa określił go jako nieocenionego organizatora, ale Maks nie mógł się oprzeć wrażeniu, że spokojnie mógłby powiedzieć, że wstawił tu kontrolera i gorliwego donosiciela. Jednak w roli prezesa fundacji musiał się nauczyć godnie zachowywać, więc przywołał jedynie uśmiech na usta i wznosił kieliszkiem szampana toast za wszystkich zdolnych organizatorów świata.

Kolejnego dnia podążał do willi, aby rozpocząć swoje prezesowanie. Przez całą drogę męczyło go pytanie – co właściwie będzie tam robić? Odpowiedz teoretycznie była prosta: to co dotychczas, tylko za pieniądze z Z1 i w ładnym otoczeniu, we własnym gabinecie z widokiem na zielony ogród, wśród pięknych detali architektonicznych dawnej siedziby Wiśnickich. Taki był plan, który jednak został całkowicie zweryfikowany przez rzeczywistość. Gdy tylko dotarł na teren posesji, zauważył stojący przed wejściem do budynku samochód. Po kilku sekundach go dostrzeżono i z pojazdu wyskoczyły trzy postacie: pan Roman oraz kobieta z dzieckiem. Gdy tylko Maks zbliżył się na odległość umożliwiającą rozróżnianie rysów twarzy, rozpoznał w przybyłej tę nieszczęśliwą damę, która na niego czekała pod domem kilkanaście dni temu. Maks był wtedy przekonany, że to nasłana przez pana Romana aktorka, ktoś w rodzaju prowokatora, usiłującego wmówić mu, że jego powieść rzeczywiście ma jakąś moc. Towarzysząca jej dziewczynka trzymała ją kurczowo za rękę, na jej twarzy malował się obawa przed nieznanymi ludźmi w obcym otoczeniu. Maks obrzucił przybyłe niechętnym spojrzeniem i zaklął w duchu. Czuł, że jego plany spokojnej pracy nad kolejnymi tekstami są zagrożone.

– Mistrzu, mistrzu! – Pan Roman machał już z daleka. Kobieta przygarnęła mocniej dziecko, które najwyraźniej bało się nadchodzącego człowieka.

– Dzień dobry, panie wiceprezecie – Maks powitał pana Romana w duchu wczorajszych uroczystości, jednocześnie dając tym samym znak, że pamięta o dzielącej ich różnicy stanowisk. Wiceprezes to jednak zawsze inny poziom ważności. Pan Roman jednak nie dał się tak łatwo zdominować. Będąc nominalnie niżej w hierarchii, nie miał zamiaru rezygnować ze swojej pozycji szarej eminencji i rzeczywistego decydenta w tym układzie. Z1 płaci za wszystko i tym samym dyktuje warunki gry.

– Mistrzu – wskazał na kobietę z dzieckiem. – Pani jest pod tak silnym wpływem twojej książki, że zapragnęła cię bliżej poznać, zaczerpnąć nieco więcej mądrości i rad z samego źródła. Proszę, proszę, wejdźmy!

Wskazał wszystkim wejście do willi. Kobieta z dzieckiem się tam skierowała, pan Roman prowadził ją do sali głównej. Maks dreptał za wszystkimi ze zdezorientowaną miną, nie bardzo wiedząc, co ma dalej począć. Na korytarzu pan Czesio zamiatał podłogę, a widząc przybyłych, uchylił czapki i się uklonił. Jakoś wcale się nie zdziwił, że

do willi zawitał ktoś obcy. Czyżby uprzedzono go o czymś, czego Maks jeszcze się nie dowiedział?

– Proszę, proszę... – Pan Roman nadal pełnił honory gospodarza domu. Kobieta weszła do wskazanego pomieszczenia, natomiast Maks nie dał panu Romanowi wejść za nią. Chwycił swojego zastępcę za ramię, gdy ten miał już przekroczyć próg, odwrócił w miejscu i syknął w twarz:

– Co pan wyprawiasz najlepszego? Po co ona tu przyszła? Przecież to jakaś obłąkana. Zaczepiła mnie jakiś czas temu.

– Kręciła się od kilku dni wokół wydawnictwa, podobno zdobyła księgę od jednego z naszych pracowników. A teraz pragnie zgłębiać te nauki tu, u źródła – wyjaśniał pan Roman takim głosem, jakby tłumaczył rzeczy proste, oczywiste i niepodlegające dyskusji.

– Jakie znowu nauki? – dopytywał się osłupiały Maks.

– Twoje, mistrzu – odparł spokojnie pan Roman. – Z tego co wiem, jest na życiowym zakręcie, uciekła od męża, czy jakoś tak. W każdym razie chce zacząć wszystko od początku. Nie możemy jej zostawić bez pomocy.

Następnie zbliżył usta do ucha Maksa i szepnął tak, aby mieć pewność, że przybyła tego nie usłyszy.

– To idealny przypadek. Nie mogliśmy lepiej trafić.

– Ale co ja mam z nią robić? – zdenerwował się Maks. – Co w niej takiego idealnego?

– Ciszej – uspokajał go pan Roman. – Możesz, mistrzu, eksperymentować na niej ze swoim przesłaniem. Przecież po to tu jesteśmy, prawda?

Maks nie odpowiedział. Powoli docierało do niego, że praca w fundacji *Zmień swoje życie* nie do końca jest typową pracą literata.

– No, proszę za nią. Nie ma czasu do stracenia. Trzeba kuć żelazo póki gorące – pan Roman pchnął go do pokoju przez drzwi i zatrzasnął je tuż za nim. Maks miał odciętą drogę ucieczki. Po dłuższym czekaniu podniósł wzrok na przybyłe, kobietę i dziewczynkę. Krępująca cisza się przeciągała. W końcu się odezwał:

– W czym mogę paniom pomóc?



Max nie powiedział Margaret o kolejnym numerze z Johnem. Pragnął zachować cały efekt na później. Zarobi kolejną transzę, wróci do domu z pieniędzmi, a do tego oświadczy, że kończy z szemranymi interesami, bo napawają go one obrzydzeniem oraz szanuje negatywne zdanie żony na ich temat. W tych rozmyślaniach pojawiał się jednak dodatkowy wątek, który w rzeczywistości był tym wiodącym, a pozostałe wyjaśnienia próbowały go jedynie przykryć pozornie szlachetnymi pobudkami. Max naprawdę pragnął pokazać wszystkim, że nie jest do niczego oraz panuje nad swoim życiem. Kiedy chce, potrafi zarobić spore pieniądze, ale kiedy tego zapragnie, może z tych dochodów zrezygnować, dodatkowo stosując się do prośby żony, jednak na własnych warunkach oraz wtedy, gdy mu to pasuje.

W głowie Maxa wszystkie te myśli układały się w zgrabną układankę, która miała jeden cel – zgrabnie zatuszować wszelkie niskie pobudki działania, a na ich miejsce stworzyć i ugruntować „piękny” obraz sytuacji, gdzie on jest tym skutecznym, zaradnym, dobrym i kochanym.

Wszystko wydawało się bezproblemowo zmierzać we właściwym kierunku – fant w postaci chińskiej wazy został kupiony, Rosjanin zgodził się na transakcję, a John twierdził, że tym razem zaliczka od milionera będzie dużo wyższa niż poprzednia od Chińczyka. Tak, wszystko szło jak po maśle. Tylko gdzieś tam głęboko, z tyłu głowy, tliła się delikatnie myśl, że takie tajemnice przed małżonką są niebezpieczne. Nie umiał powiedzieć, co jest w nich takiego groźnego, jednak niepokój nie ustępował.

Maks nie umiał ukryć wzruszenia przekazaną opowieścią. Kobieta nazywała się Hanna, a jej córeczka Jagoda. Ich przeżycia były tak ponure, że wraz z rozwijającą się opowieścią, obok szczerego postanowienia szybkiego pożegnania przybyłych pojawiło się nowe uczucie. Gdzieś w tle, w szarości zakamarków mózgu Maksa zakiełkowało przekonanie, że te dwie istoty nie trafiły do niego przypadkiem. A dotyczący je ciąg okrutnych zrządeń losu miał taki cel, żeby znalazły w końcu bezpieczną przystań. Kolejne elementy opowiedzianej drogi przez mękę: utrata rodziców przez kobietę w młodym wieku, związek z nieodpowiednim partnerem, alkohol, przemoc domowa, bieda oraz samotna walka o wychowanie córki, to wszystko robiło na Maksie wielkie wrażenie. Wydarzenia te nie były wyjątkowe, bo tego typu przeżycia są udziałem ogromnej liczby ludzi na świecie. Jednak spotykając rzeczywistą ofiarę, a jednocześnie silną psychicznie osobę, która pragnie wyrwać się z dotychczasowego piekła, u wielu rodzi się przekonanie, że los właśnie daje im szansę pokazania się ze swojej lepszej strony i w ten sposób mogą pomóc w posprzątaniu brudu tego świata. A jeżeli dodać do tego zapewnienie, iż jednym z głównych przewodników w uwolnieniu nadziei była jego powieść, nie można się dziwić, że Maks przestawał powoli myśleć o tych dwóch jak o niechcianych natrętach.

– I wtedy pomyślałam, że mój los jest w jakimś stopniu podobny do losu Margaret, która walczyła, i choć tak się wszystko skończyło, to jednak w pewnym sensie wygrała –

zakończyła historię przybyła, po czym dodała z zaciętą miną: – Chcę walczyć, choćbym miała zginąć. I wiem, że to mi w tym pomoże.

Wyciągnęła z torebki wymiętoszony plik kartek i potrząsnęła nim jakby wymachiwała jakimś groźnym orężem na zło całego świata. Był to maszynopis powieści Maksa.

– Hm, tak. Bardzo się cieszę, że choć trochę się przyczyniłem do pani odrodzenia, choć szczerze mówiąc, nie bardzo widzę związek pomiędzy pani sytuacją, a bohaterami książki... – Maks zaczął tłumaczyć, ale nagle przerwał widząc po jej twarzy, że tymi słowami rani kobietę. – Znaczą, dobrze, że pani tak to odbiera. Przesłanie nadziei jest najważniejsze, nieważne skąd pochodzi.

Rysy kobiety rozjaśniły się na nowo. A Maks aż westchnął widząc, że jedno zdanie może kogoś tak zasmucić lub podnieść na duchu. Jego słowa wydawały się rzeczywiście działać.

– Czego pani teraz ode mnie oczekuje? – zapytał.

– Panie, pozwól nam zostać – powiedziała po chwili milczenia.

– Ale przecież... – chciał zaproponować.

Kobieta i dziewczynka w odpowiedzi na to wahanie nagle rzuciły się do jego nóg i objęły kolana.

– Nie wyrzucaj, nie wyrzucaj. Tylko tu jeszcze mamy nadzieję – łkała Hanna, a Jagódka uniosła ku niemu milcząco swoje dziecięce oczka, w których zakręciły się dwie duże łzy. Maks stał przerażony. Co tu się wyprawia?

– No, właściwie, to nie widzę przeszkód, tylko... muszę uzgodnić z panem Romanem...

– On już wie. Tylko powiedział, że ty, mistrzu, musisz się zgodzić. Ja mam pieniądze, ja umiem pracować, ja wszystko zrobię, byle nie stracić tej ostatniej nadziei! – zapewniała go żarliwie pani Hanna.

Maks stał jak rażony piorunem. Bieg wydarzeń mknął dla niego stanowczo zbyt szybko, przybierając do tego zupełnie nieoczekiwaną postać.

– No, dobrze – mruknął w końcu. A kobieta z córką ponownie objęły mu kolana łkając, tym razem z wdzięczności. – Już, już... Proszę wstać!

Pomógł im się podnieść i po chwili wyszedł z pokoju. W jego wnętrzu panował chaos. Nie do końca rozumiał, na co się zgodził, ani nawet, dlaczego ktoś się do niego zwraca z jakąś prośbą. W głowie wirowały mu rozmaite obrazy, słowa i myśli, które występowały, co prawda, razem, ale nie tworzyły na razie jakiegokolwiek całości. Widział tam różne elementy: jego powieść przekazywana z rąk do rąk za *co łaska*, gorzkie słowa o złym losie oraz o nadziei w życiu, płacząca kobieta, smutne dziecko, pan Roman wpychający go na rozmowę niemal siłą, pan Czesio z przyklepionym uśmiechem. Do tego nawet pojawił się strzępek opowieści o morderstwie na pani Wiśnickiej, dokonany w tym samym domu przed laty.

– Boże, dopomóż – jęknął Maks w desperacji. Jednak tym razem wołanie to nie przyniosło żadnych rezultatów. Bałagan słów i obrazów nie zamierzał się w cudowny sposób uporządkować. Maks nie odczuł również niczego szczególnego, nie zaświeciło nagle słońce, ani nie zagrzmiała niebiosy. Jedynym elementem, który od biedy można

podciągnąć pod reakcję Opatrzności, był stojący na korytarzu, uśmiechnięty pan Czesio, który wpatrywał się z ciekawością w skonfundowanego mistrza. Maks westchnął ponuro: – Nigdy cię nie ma, kiedy potrzeba!

Być może Bóg miał chwilowo dosyć chimerycznego pisarza. Możliwe również, że jako dobry sąsiad Maksa, stwierdził, że nie będzie przybiegać do byle kłopotu. W końcu niektóre sprawy człowiek mógłby załatwić samodzielnie. W każdym razie Maks został chwilowo ze swoim bałaganem sam na sam i tradycyjnie obwiniał za to kogoś innego, w pierwszej linii właśnie Boga, w drugiej swoją bliższą i dalszą rodzinę oraz znajomych. Gdyby jeszcze chwilę podumał, pewnie by doszedł do oskarżeń pod adresem szkolnictwa i systemu opieki socjalnej w Polsce. Wynik był jeden – po pewnym sobie, zadowolonym z życia prezesie fundacji z rana nie został nawet ślad. W jego miejsce znowu wskoczył zafrasowany, nerwowy człowiek z nieokreślonym sensem własnego życia.

– I jak przebiegły nauki? – Po schodach zbliżał się pan Roman, jego twarz ozdabiał szeroki uśmiech. Kontrast między jego zadowoleniem, a frustracją Maksa był zbyt potężny, żeby przejść nad tym do porządku dziennego. Może gdyby się nie uśmiechał tak otwarcie, gdyby znać było na jego obliczu choć cień niepewności i gdyby nie dawał tak jasno do zrozumienia, że tu rządzi i wszystkim steruje, może wtedy Maks by wytrzymał. Jednak mina pana Romana nie wskazywała na żadne z tych uczuć i w okamgnieniu Maks zrozumiał, kto go wpycha w tę sytuację i kreuje cały zamęt go otaczający, a co gorsza, przenikający coraz bardziej do jego wnętrza.

– Ty skurwysynu! – wrzasnął i rzucił się na wiceprezesa z pięściami.

Było to nowe uczucie, cudowne i przerażające jednocześnie. Uderzyć kogoś prosto w nos, a potem doprawić sierpowym w policzek oraz kopem w brzuch. Maks nigdy się nie bił, nawet w szkole. Był zawsze grzecznym chłopcem, który respektował zasadę *mądrzejszy ustępuje głupszemu*. A przecież Maks był tym mądrym. Powiedziano mu w tysięcznych pouczeniach, że zawsze musi być rozsądniejszy i ustępujący, choćby ręce same rwały się do bitki. Dodatkowo od małego uczono go, że przemoc jest obrzydliwa, stwarza tylko kłopoty niczego nie rozwiązując. Problemy pokonuje się rozmową, zrozumieniem stanowiska drugiej strony oraz dobrą wolą – tak mówili rodzice, a wtórowali im nauczyciele. Upływające lata osłabiały wiarę Maksa w przekazane szczytne hasła, jednak raz wpojony w procesie wychowania wzór postępowania był jak przyciasny gorset, który może i uwiera, ale jest tak dopasowany, że nie da się go łatwo ściągnąć, ani tym bardziej zastąpić nowym stylem bycia. Innymi słowy Maks nigdy nie używał przemocy, ani też nie doświadczał przemocy, przynajmniej tej fizycznej. A teraz z lubością walił drugiego człowieka w mordę tylko dlatego, że nie umiał sobie poradzić psychicznie z zaistniałą sytuacją. Przez mgnienie oka był w siódmym niebie. Cóż to był za cudowny stan – niczym się nie przejmować, a tylko dziko wrzeszczeć, bić i kopać. Nie trwało to długo, pan Roman po trzecim ciosie zgiął się, sprytnie unikając kolejnego walnięcia. Natomiast Maks poczuł, że ktoś go uderzył w tył głowy. Nie tak jak on – z furją i złością pełną frustracji, lecz spokojnie, jakby od niechcenia. Za to bardzo skutecznie, bo w jednej chwili wszystko wokół Maksa się zachwiało, następnie lekko zamazało. Kolana mu zmiały, a podłoga popędziła ku twarzy w niesamowitym pędzie. Mistrz padł bez czucia na ziemię.

– Na komandosa to on się raczej nie nadaje – wystękał pan Roman masując obolały nos, następnie spojrzał z obawą na ogłuszonego Maksa, po czym przeniósł wzrok na pana Czesia: – Nie przesadziłeś pan? Wygląda dość marnie.

– Walnąłem go trójką w skali do dziesięciu, zaraz się podniesie – skomentował flegmatycznie pan Czesio i zapalił papierosa. Pani Hanna wyjrzała przez uchylone drzwi, ale widząc scenę po bójce szybko zatrzasnęła drzwi i wróciła do sali.



Maxowi śniło się, że chińska waza się stłukła. W swoim śnie wyobrażał sobie, że niesie ją oburącz po bardzo wąskiej ścieżce i co rusz musi omijać przeszkody – nieforemne kamienie, sękaty korzenie, drapiące gałązki krzewów, które tak złośliwie czepiały się niesionego przedmiotu i jego rąk, że niemal wyrwały mu jego drogocenny ładunek. Miał wrażenie, że złe skrzaty podążają za nim i udając naturalne przeszkody pragną mu zaszkodzić. Jednak on nie dawał za wygraną i w końcu wychynął na otwartą, teoretycznie bezpieczną przestrzeń. Westchnął z ulgą, uniósł jedną rękę, aby przetrzeć czoło i wtedy...

– Nie!

Otworzył przerażony oczy. Za oknem świtało. Przez dłuższą chwilę próbował połączyć te dwa obrazy – senny krajobraz i szary prostokąt okna w jego nowojorskim mieszkaniu. W końcu próba się nie powiodła, a wspomnienie niespodziewanie roztrzaskanej wazy uleciało. Pozostało jedynie szarzące świtem okno.

– Uf, to tylko sen – westchnął.

– Mistrzu, lepiej panu? – Pan Czesio z troskliwą miną przykładał zimny kompres do karku Maksa, który powoli dochodził do siebie.

– Gdzie ja jestem? – wymamrotał mistrz, następnie usiadł na podłodze, lustrując otaczające go pomieszczenie. Kompres zsunął się z pacnięciem o podłogę, pozostawiając po sobie mokrą plamę na koszuli Maksa. Po chwili świadomość wróciła i Maks bez jakiegokolwiek odpowiedzi ze strony pana Czesia mruknął: – Aha, już wiem!

Scena sprzed upadku stanęła mu przed oczami. Pan Roman jako żywy worek treningowy oraz nieoczekiwany, wręcz zdradziecki atak od tyłu.

– Upadł pan, mistrzu, po rozmowie z panią Hanią i uderzył się o kamienny kant. – Pan Czesio wskazał ręką marmurowy stopień schodów. Jego twarz uśmiechała się z troską. Jednak jak już wspomniano, w przypadku pana Czesława ciężko było o zdefiniowanie wyrażanych mimiką uczuć za sprawą wmontowanego na stałe grymasu uśmiechu na twarzy. W tym momencie na schodach pojawił się również pan Roman, który wybiegł, najprawdopodobniej zaalarmowany odgłosami rozmowy. Schodził w dół z pokazowo zafrasowaną miną.

– Lepiej panu, mistrzu? Jakże się martwiliśmy! Pan Czesław mnie zawołał, kiedy pan upadł i już wzywaliśmy karetkę, kiedy zaczął się pan ruszać. Nic panu nie jest, mistrzu drogi? – martwił się pokazowo. Maks zbaraniał. Wspomnienie bójki było aż nadto żywe, ale wobec słów pana Romana i jego pomocnika, wiarygodność sceny mordobicia stawała się mocno wątpliwa. Nie zostało również nic po pełnym wyższości i zadowolenia uśmiechu, który tak go przedtem zdenerwował u swojego zastępcy.

– Cholera – jęknął Maks. – Zdawało mi się...

Nie dokończył zdania, nie bardzo wiedząc jak to opisać. Tym bardziej, że drugi aktor tego spektaklu nie dał po sobie poznać, że wspomnienie bójki jest prawdą.

– Uderzyłem pana? A potem ktoś mnie zaatakował? – zwrócił się do wiceprezesa znieścacka, licząc na efekt zaskoczenia. Pan Roman odruchowo sięgnął do nosa, jednak opanował się w ostatniej chwili i udał jedynie, że przyczesuje włosy.

– Nie, skąd taki pomysł? – zaprzeczył głosem nieco zbyt stanowczym jak na swobodną wymianę zdań kolegów z pracy. Gdy Maks mu się przyjrzał, zauważył zaczerwienie w okolicy nosa oraz prawego oka.

– Aha – mruknął ponownie Maks i podniósł w zdziwieniu brwi. Zapadła długa, kłopotliwa cisza. W końcu mistrz westchnął ciężko w swojej bezradności wobec braku możliwości koordynacji alternatywnych wersji rzeczywistości i odwrócił się w kierunku drzwi wyjściowych. – Przepraszam panów, muszę się przewietrzyć.

Wyszedł chwiejnie na zewnątrz. Wolnym krokiem obszedł budynek, a następnie skierował ku gęstszemu zaroślom krzewiącym się wokoło budowli. Ogród otaczający willę był dość spory i bardzo zaniedbany. Wydeptane ścieżki i w miarę utrzymany trawnik kończyły się już po kilkudziesięciu krokach zagłębiania w teren posesji. Tam rozpoczynało się królestwo chwastów oraz drapiących krzewów, rozróżnione w monstrualnych kombinacjach liściaste gałęzie. Dotychczas Maks się tu nie zapuszczał, jednak po porannej rozmowie, zakończonej w sposób nie do końca dla niego zrozumiały, zapragnął na chwilę się tu zaszyć. Zakryć przed ludzką ciekawością, by podumać i przed samym sobą zdecydować, komu wierzy – sobie, czy innym. Po kilkudziesięciu metrach widok ściany domu został zasłonięty przez gąszcz. Maks usiadł na przewróconym pniaku i zapatrzył w zieleń. Nareszcie był sam. Kołyszące się na wietrze gałęzie przynosiły duszy ulgę. Niby nie odszedł daleko, ale w naturalnym otoczeniu poczuł się od razu znacznie lepiej, niczym na innej planecie. Pocięszył się spokojem kilkanaście sekund i wtedy zauważył człowieka. Pomiędzy pniami oraz kołyszącymi gałązkami ktoś stał i bacznie go obserwował. Maks wyprostował się nagle, zaalarmowany obecnością intruza i wpił wzrok w czającą się w zieloności postać. Tamten spostrzegł, że został odkryty, przedarł się przez krzewy i zbliżył do Maksa.

– Ktoś ty? – wychrypiał głosem, po którym dało się wyczuć starca. Maks zaskoczony taksował przybyłego z gęstwy dziwnego gościa. Rzeczywiście był to stary człowiek, ubrany z niespotykaną w dzisiejszych czasach elegancją – surdut, zaprasowane na ostry kant spodnie, w ręku trzymał laseczkę, pierś opinała wykrochmalona, biała koszula ozdobiona pod szyją czymś, co Maks widział w filmach o dawnej arystokracji. Z tego co pamiętał, oryginalna ozdoba nazywała się musznik. Schludny ubiór staruszka mocno kontrastował z otoczeniem, gdzie bardziej przydatny byłby strój komandosa lub przynajmniej wytarte dżinsy i bluza. Maks milczał dłuższą chwilę, zaskoczony dziwnym spotkaniem.

– Ktoś ty, się pytam? – zdenerwował się staruszek i zamachnął laską, tnąc najbliższe krzewy, całkiem jakby chciał pokazać, że brak odpowiedzi skończy się smagnięciem tym wielofunkcyjnym przedmiotem przez twarz milczącego Maksa.

– Ja, ja tylko... – zaczął tłumaczyć się Maks, ale po sekundzie otrzeźwiał i przypomniał sobie, że to raczej on jest tu gospodarzem i jako taki ma prawo pytać o tożsamość poruszających się po terenie, nikt inny. – Jestem tu prezesem, wynajmuję tę posesję. Kim pan jest? Co pan robi w moich, mhm... w moich krzakach?

Ostatnie słowa brzmiały dość idiotycznie, ale ciężko było to inaczej ująć pisarzowi w jego stanie rozdrażnienia. Staruszek się zdziwił.

– Nowy prezes? Ten od zabawek, czy jakaś szycha wśród scenarzystów? – odpowiedział pytaniem na pytanie. Maks przypomniał sobie opowieści pana Czesława o poprzednich lokatorach posesji – hurtowni zabawek i domu pracy twórczej. Staruszek najwyraźniej nie był informowany na bieżąco o zmianach lokatorów willi.

– Jestem prezesem fundacji i do tego pisarzem. Urzęduję tu od kilku dni – oświadczył Maks z godnością. – A pan kto?

– Takim trochę sąsiadem. Mieszkam, o tam – zamachnął się laską w kierunku gęstwiny. Według wiedzy Maksa we wskazanym kierunku krzewy graniczyły z parkiem, gdzie rozlewał się staw z dostojnymi łabędziami. Innymi słowy wyjaśnienia przybyłego niczego nie wyjaśniały. Staruszek nie przejmował się jednak swoją wiarygodnością, a raczej jej brakiem. Podszedł do siedzącego Maksa i również przysiadł na pniaku.

– To już nie prezes od zabawek? Ani żaden scenarzysta. Ale w sumie podobnie, bo pisarz – podsumował. – Zresztą obojętnie. Ta willa wszystkich wykończy, kim by nie byli.

Z bliska wyglądał gorzej niż z daleka. Na eleganckim ubraniu widać było plamy i zacerowania, a twarz okazywała się być mocniej zorana zmarszczkami niż wydawało się z oddalenia. Maks zrozumiał, że ma do czynienia z naprawdę starym człowiekiem. Być może nawet stulatkiem, choć po jego chodzie i tempie wypowiedzi nie dawało się tego wyczuć. Tym samym przestał odczuwać resztki jakiegokolwiek obawy, która ogarnęła go w pierwszym momencie. W zamian za to pojawiła się ciekawość.

– Co pan przez to rozumie? Zna pan jakieś historie związane z tym majątkiem?

Staruszek spojrzał na Maksa spojrzeniem doświadczonego życiem człowieka.

– Prezes od zabawek miał tu zawał serca i ledwo go odratowali, a ci od scenariuszy to nieraz plątali się po krzakach w poszukiwaniu natchnienia, jak pan. Kilku poznałem. Raczej mało szczęśliwie jednostki – podsumował staruszek.

– Tak – pokiwał głową Maks, przypominając sobie akcje wielu polskich filmów, które z całą pewnością mogły mieć swoją genezę w splątanych kłęczach zaniedbanego ogrodu. – A ja słyszałem o jakimś przedwojennym bogaczu, który tu zabił żonę. Podobno z zazdrości, bo go zdradzała.

– Ten dom nie ma dobrej historii – po chwili milczenia podsumował starzec, nawet słowem nie odnosząc się do, bądź co bądź, najbardziej drastycznej historii przypomnianej przez Maksa. Następnie odniósł się z pnia i mruknął: – Do widzenia i niech pan uważa, bo tu już niejeden stracił coś cennego.

Po tych słowach wdarł się w krzaki i sprawnie niczym kot zniknął w zieloności ogrodu.

– Do widzenia – Maks zdumiał się nagłym odejściem. Chwilę rozmyślał nad dziwnym spotkaniem i równie dziwnym przybysem. Następnie poszedł w stronę, gdzie zniknął staruszek. Jednak po tamtym przepadł wszelki ślad. Maks z trudem przedarł się do ogrodzenia pokonując krzaki, przywarł twarzą do kraty parkanu obserwując park i przebłyski wody w stawie za drzewami. Dokąd ten elegancki staruszek się udał? Gdzie mieszkał? Maks nie umiał znaleźć odpowiedzi na te pytania. Po chwili wrócił na zakryty

w gąszczy pniak i znowu popadł w zamyślenie, nie mogąc się zdecydować, jaka wersja wydarzeń sprzed południa jest jego własną.



John zadzwonił przekazując czas i miejsce spotkania z Rosjaninem. Max odetchnął z ulgą. Nie dawało mu spokoju wspomnienie ponownej wizyty w zadymionym kantorku u tych szemranych typów w połączeniu z senną wizją tłuczonej wazy. Czuł, że wypłynął na niebezpieczne wody, odrzucając wszelkie rady i zdrowy rozsądek. I teraz nie będzie tak łatwo wrócić do stanu przed spotkaniem z antykwariuszem.

Chodził przez cały dzień jak nieprzytomny, czekając na nadejście zaanonsowanego terminu. „Byle przetrwać te kilkanaście godzin” – marzył.

– Kolejne pieniądze? Tylko za pisanie? Nieźle! – zdziwiła się Agata na wieść o wpłacie trzydziestu tysięcy. Maks, jak przytłaczająca większość mężczyzn na świecie, nie potrafił oprzeć się pokusie pochwalenia zdobytymi pieniędzmi. Reakcja małżonki była dla niego nie lada satysfakcją, odczuł w jej głosie lekką nutę podziwu, a nawet zdziwienia, że to, co uważała dotychczas za jakąś brewerię, bezproduktywne dziwactwo, zaczęło z dnia na dzień przynosić wymierne korzyści. – Chętnie zobaczę tę twoją pracownię. Przyjdziemy tam jutro z Basią.

– Nie, nie! To jedna z klauzul umowy z nimi, że nie przyprowadzamy obcych do firmy. W ogóle ta praca i dom mają być jak dwa odrębne byty! Całkowicie i zupełnie oddzielone – Maks niemal wrzeszczał, poruszony pomysłem Agaty.

To oczywiście była nieprawda. Nie było takiej klauzuli, ale dotychczas nie powiedział rodzinie o swojej roli prezesa fundacji, ani o niejasnym przeznaczeniu willi wraz z obsługą usłużnego, ale i oddanego jedynie wydawnictwu pana Czesia. Chciał, żeby to była tajemnica do momentu aż wszystkie sprawy się nie ułożą, nie wyjaśnią do końca. A kiedy to się stanie, wtedy chętnie się pochwali sukcesem. Na razie sam był mocno skonfundowany obecną, niejasną sytuacją. Powiedział o pieniądzach, ale na tym koniec. Największą obawą napełniała go jednak wizja konfrontacji żony z panią Hanią i jej córką Jagódką, które od poprzedniego ranka zagościły w posiadłości na dłużej. Jak Agata zareagowałaby na inną kobietę z dzieckiem, które otaczają jej męża i jego książkę niemal boskim uwielbieniem, a z którymi spędził od pierwszego spotkania dużo więcej czasu niż z nią samą? Wyobraźnia podpowiadała mu różne scenariusze, a żaden z nich nie był przyjemny.

– To idiotyczne! – zdenerwowała się Agata. – Przecież nie pracujesz w tajnym ośrodku badań jądrowych, tylko piszesz książki.

– Kochanie, błagam! Daj mi się ogarnąć w nowej sytuacji! – Maks grzmiał jak najtragiczniej umiał. – Pieniądze już płyną, tylko muszę... się ogarnąć.

– Zawodowy pisarz unika powtórzeń zdanie po zdaniu – zasyczała złośliwie Agata, w jej oczach zabłysnęły ogniki gniewu i podejrzliwości. – Jak nas tam nie chcesz, to proszę bardzo. Ogarniaj się sam w tym swoim zamczysku!

I znowu nastąpiły ciche godziny, przetykane jedynie wizytami Basi raz u jednego, raz u drugiego rodzica. Dziecko próbowało po raz n-ty zrozumieć otaczający je świat za pomocą łez matki i burknięć ojca. Jednakże tak opisywana rzeczywistość była dla niej

nie do przyjęcia. Dlatego nic dziwnego, że z czasem przy tego typu sytuacjach wykształcił się u niej nawyk tłumaczenia sobie, iż wszyscy zachorowali i bolą ich brzuchy. Po każdej kłótni rodziców Basia wyobrażała sobie, że kiedyś po takim ataku bólu brzucha natychmiast poda im jakieś lekarstwo, od którego te najważniejsze na świecie osoby poczną się znowu zdrowe i zadowolone. Jednak na razie nie miała pojęcia skąd zdobyć taki cudowny specyfik.

Maks wyszedł wieczorem. Sprawdzonego metoda uwalniania się od stresu po kłótni z małżonką poprzez długie marsze została i tym razem wcielona w czyn, z jedną fundamentalną różnicą. Dotychczas zawsze wracał do domu po kilku godzinach włóczenia się po mieście. Zmęczony fizycznie, po niekończących się wewnętrznych monologach udowadniających wyższość jego racji, z obolałymi nogami oraz z postanowieniem załagodzenia sytuacji, zazwyczaj jednał się z mniej lub bardziej urażoną połowicą. Dziś jednak ciekawość zaciągnęła go w okolice willi. Chciał zobaczyć jak to miejsce wygląda wieczorem. Dodatkowo, wiele zmian, które wprowadzono ostatnio w wystroju wnętrza było dla niego zaskoczeniem. Kilkukrotnie się zdarzyło, że zastawał w wyposażeniu biura coś nowego, a on nie był w stanie się dowiedzieć, kiedy rzeczona zmiana została wprowadzona, ani przez kogo. Pan Czesio każdego dnia niby czekał z utęsknieniem fajrantu i twierdził, że nie ma nic lepszego niż wieczór z dala od roboty. A jednocześnie Maks nie znał innego człowieka, który miałby tu dostęp i w ogóle nadawał się do tego typu prac. Tym samym rola jego pomocnika, w połączeniu z jego nie do końca wyjaśnionym udziałem w niedawnej bójce z panem Romanem, była co najmniej podejrzana.

Willi tonęła w zapadających wieczornych ciemnościach. Światło paliło się w jednym oknie na parterze. Maks przypomniał sobie, że właśnie tam pani Hanna i jej córka otrzymały swoje tymczasowe lokum. Podkradł się w okolice tego okna i stojąc w pewnej odległości od szyby zaczął wypatrywać, co się u nich dzieje. Jako typowy facet miał nadzieję, że może pani Hania chodzi po domu w negliżu i będzie mógł zawiesić przez chwilę oko na jej niebrzydkich krągłościach. Jednak nic takiego nie miało miejsca. Matka z córką siedziały przy stole i ta pierwsza czytała dziecku książkę. Jagódka słuchała przekazywanej opowieści, tuląc w objęciach lalkę. Maks westchnął. W tej scenie było dużo ciepła i spokoju, którego pragnie przecież każdy człowiek. Nagle zrozumiał jak bardzo mu tego brakuje – po prostu usiąść razem z rodziną, pogadać, pomilczeć, popatrzeć ukochanej osobie w oczy. I poczuł duży żal do siebie i Agaty za to, jak układają swoje życie. Też by tak mogli teraz siedzieć z Basią, jeść razem kolację, opowiadać wesołe historie albo czytać dobre książki. Przecież się kochają, więc dlaczego każda ich rozmowa kończy się sprzeczką?

Zamyślił się ponuro. Po chwili przysunął bliżej okna, aby zobaczyć, co tak ciekawi małą Jagodę. Zmarszczył brwi próbując rozszyfrować tytuł z okładki prześwitującej spomiędzy palców pani Hanny. Po sekundzie rozpoznał znajomą żółtą obwolotę. To jego książka! Ona naprawdę czyta tej dziewczynce jego ostatni kryminał jako lekturę. Po chwili stwierdził, że nazajutrz musi z nią porozmawiać. Przecież nie można dziecka karmić tekstami dla dorosłych, na dodatek niezbyt wysokich lotów. Nagle usłyszał w otaczającym go mroku trzaśnięcie gałązki. Oskoczył od okna jak oparzony. Nic za sobą nie widział, jasność światła z pokoju go oślepiła, zaczerniając gęsto resztę otoczenia, ale

był niemal pewny, że po trzaśnięciu doszedł go delikatny odgłos kroków po trawie. To by dopiero było, gdyby został przyłapany na podglądaniu tych dwóch przez pana Romana albo Czesia. Cofając się od okna, szybkim, nieostrożnym ruchem trącił jakiś kamień walający się na ścieżce, ten stuknął o inny kamień. Maks z przekleństwem uskoczył poza zasięg światła, lecz hałas doszedł do uszu i zaalarmował panią Hanię. Otworzyła okno, rozglądnęła się bacznie dookoła.

– Halo! Jest tu kto? – zawołała. – Wyłazić, bo zawołam policję!

Maks stwierdził, że nie będzie się dłużej ukrywać i wynurzył się z cienia.

– O, to pan, mistrzu! – zawołała. – Proszę, proszę. Zapraszamy na herbatę. Nie wiedziałam, że pan tu również zostaje na noc.

– Hm, tak – speszył się Maks. – Przechodziłem akurat niedaleko, więc, jako swego rodzaju opiekun tego obiektu, mhm, zaszedłem sprawdzić, czy wszystko w porządku, czy nikomu nic nie brakuje.

Urwał, czując, że wyjaśnienie było co najmniej idiotyczne, jednak zarówno matka, jak i córka przyjęły je bezkrytycznie, a nawet z radością.

– O dziękujemy, mistrzu, jest nam tu świetnie. Cudowne, bezpieczne miejsce i do tego można w twojej obecności czytać księgę – musnęła wzrokiem rozłożoną na stole książkę. – Czuję jak wraca mi spokój i wiara w ludzi.

Maks już otworzył usta, żeby ją napomnieć, że kryminał to nie najlepsza czytanka dla kilkuletniego dziecka, ale w ostatniej chwili dał spokój. Upił łyk podanej herbaty, zjadł kilka herbatników, które również pojawiły się na stole. Rozmowa zesłała na życie pani Hani i Jagódki, Maks chciał wiedzieć o nich coś więcej.

W ciemności, poza kręgiem światła bijącym z okna znowu ktoś znowu nadepnął suchą gałązkę, następnie zbliżył się do okna na tyle blisko, żeby móc obserwować ludzi w środku bez niebezpieczeństwa dekonspiracji. Po kilku minutach postać ciężko westchnęła, jakby żałując, że nie może siedzieć tam w środku i prowadzić wesołych rozmów lub po prostu być z kimś blisko. Być może oglądany obraz wywołał wspomnienia dawnych, szczęśliwych chwil, które przeżył w tym domu. W pewnym momencie odwrócił się i szybkim krokiem zagłębił się w ciemne zarośla. Maks nadal rozmawiał z panią Hanią i jej córką.



Biuro Johna ziało pustką. Wygniecione w wykładzinie podłogowej zarysy nóg mebli, zakurzone prostokąty na ścianach układające się w kształt stojącego tu wcześniej wyposażenia świadczyły wyraźnie, że pomieszczenie jeszcze niedawno było zajmowane. Tego typu ślady nadają pustym przestrzeniom nader ponury wygląd. Każdy odwiedzający je ma wrażenie, że znalazł się w złym miejscu o złe godzinie, trafiając na stan przejściowy. W przypadku Maxa nie można było na razie mówić o ponurym nastroju. On jeszcze nie wierzył swoim oczom, cały czas szukając w swojej wyobraźni faktów i przypuszczeń, tłumaczących logicznie to, co zastał. A nie zastał nic.

Zgłosił się o umówionej godzinie w siedzibie antykwariusza. Po kilkukrotnie powtarzanej próbie dodzwonienia się domofonem, udało mu się wśliznąć przez wejście główne za jednym z gości biurowca. Odnalazł znajome drzwi, które nie były zamknięte na klucz. Ale po przekroczeniu progu stanął jak oniemiały. W głowie jeszcze brzmiało echo entuzjastycznych myśli, że właśnie kończy się czas jego męki ślimaczącego się oczekiwania, że zaledwie godziny dzielą go od zdobycia dobrych pieniędzy i spokoju ducha. Ten dobry nastrój prysł jak bańka mydlana na widok opuszczonego gabinetu.

– Halo, proszę pana, gdzie wyprowadził się John, znaczy, najemca tego biura? – zagadnął jakiegoś człowieka wychodzącego z pomieszczenia sąsiadującego.

Tamten wzruszył ramionami i mruknął coś pod nosem, a następnie oddalił szybkim krokiem. Max zrozumiał, że w tym obiekcie panuje pełna dyskrecja. Są na świecie biznesmeni, którzy do swojej pracy, oprócz przestrzeni z biurkiem, telefonem i przyłączem komputerowym, potrzebują przede wszystkim spokoju i anonimowości. I to miejsce im to daje.

Max zbiegł po schodach skacząc co dwa stopnie. Musi tu przecież być jakiś administrator. Na parterze obok windy zobaczył drzwi z mosiężną tabliczką, na której wygrawerowano napis OFFICE. Pchnął je z impetem, by wpaść do małego pomieszczenia. Tam za biurkiem siedział grubas, który jedną ręką stukał w klawiaturę komputera, jedząc przy tej czynności orzeszki. Na widok dyszącego Maxa przestał uderzać w klawisze, a ręka z orzeszkiem zawisała w połowie drogi pomiędzy woreczkiem a ustami.

– Tak? – zapytał.

– Szukam najemcy spod 1004 – odpowiedział Max i wymienił nazwisko Johna.

– Niestety nigdy nie znałem, a tym bardziej, nie spotkałem człowieka – odpartł jegomość, a jego ręka ponownie ruszyła ku ustom z ładunkiem orzeszków.

– Ależ oczywiście, że pan znał i spotkał! – wrzasnął Max. – Jeszcze kilka dni temu tu urzędował pod numerem 1004. Nie kojarzy pan swoich klientów?

Rysy grubasa stężały na moment w gniewie, ale się opanował. Jedynie nieco bardziej nerwowo ruch ręki ku orzeszkom świadczył o jakimkolwiek wpływie impertynencji Maxa na tłustego administratora.

– Zobaczmy... – mruknął i zaczął stukać w klawisze. Po chwili jego twarz zajaśniała zadowoleniem z odnalezionej informacji. – Tak. 1004 zwolniło się wczoraj, ale zapłacili do końca miesiąca. Dobry klient. Jednak takiego nazwiska, jak pan podał, tutaj nie widzę.

– I gdzie teraz ich znajdę? – krzyknął Max, a administrator wzruszył ramionami w geście bezradności z lekką nutą obojętności wobec losów nerwowego petenta. – Pokaż pan te notatki!

Max rzucił się ku ekranowi, skąd zarządca budynku czerpał swoją wiedzę. Jednak tamten, pomimo tuszy, okazał się szybszy i zanim Max coś dojrzał, kliknął myszką, zamykając podgląd.

– Nie udzielamy informacji o klientach. Poufność i zaufanie! – huknął. A po chwili dodał nieco bardziej dobrodusznym tonem: – Zresztą, gdyby nawet, to nie polegałbym na nich zbyt wiele.

Mruknął do Maxa i zarechotał głośno, jakby powiedział coś bardzo śmiesznego.

– A może zostawiono jakąś wiadomość dla mnie? – Ton Maxa zmienił się z gniewnego w płaczliwy.

– A jak nazwisko szanownego pana? – zapytał administrator. Max powiedział. Jegomość spojrzał do jakiegoś zeszytu. – Tak. Jest pakunek do odbioru.

Grubas zanim wstał, wrzucił do ust kilka orzeszków, całkiem jakby musiał uzupełnić zapas na te chwile, kiedy jest odcięty od pokarmu. Podniósł się ze stękiem, by po kilkunastu sekundach wyciągnąć z kantorka obok pokoju kartonowe pudło.

– Pokwitować – rozkazał. Następnie usiadł za komputerem i rzucił się ponownie ku orzeszkom.

Maks na korytarzu nerwowymi ruchami rozdierał taśmę zaklejającą wieko pudła. Gdy rozwarł tekturowe skrzydełka i rozgarnął zmięte kłęby starych gazet, zobaczył szyjkę znajomej chińskiej wazy z przyczepioną karteczką.

– Na pamiątkę. John – odczytał zbielalymi ze stresu wargami. Wyszarpnął ceramiczny kształt i rozgarniał pozostałe pakuły, ale niczego więcej nie znalazł. Usiadł na podłodze obok windy trzymając w objęciach wazę i wpatrując się niewidzącym wzrokiem w naprzeciwległą ścianę. Złe przecucia przerodziły się w pewność. Został oszukany.

Maks obudził się zmarznięty. Po dłuższej chwili dotarło do niego, gdzie się znajduje. Po miłym wieczorze spędzonym z panią Hanną został w na noc w budynku. Oczywiście nie miało to nic wspólnego z tą kobietą. Po prostu nie miał ochoty wracać w nocy przez miasto, więc położył się na otomanie, która w równie tajemniczy sposób, jak wiele innych elementów wyposażenia, pojawiła się w jego gabinecie kilka dni wcześniej. Tak to sobie tłumaczył – zmęczenie, noc, mało czasu do porannej pobudki. Jednak podświadomie wiedział, że zatrzymało go co innego. Tutaj mógł wesoło i spokojnie pogadać, był szanowany, a nawet podziwiany, natomiast w domu wręcz odwrotnie. Dlatego chętnie skorzystał z okazji, żeby pokazać Agacie, jak bardzo niesprawiedliwie go traktuje. Proszę bardzo, nie chce go zaakceptować z jego życiem, on ma się gdzie podziać. Jednak to, co późnym wieczorem jest łatwe i oczywiste, rano nagle się gmatwa

i nie daje się łatwo wytłumaczyć. Dlaczego nie wrócił na noc do domu? Co to za kobieta, z którą spędza czas zamiast z rodziną? Te i podobne pytania nie były o porannej godzinie proste. Rzucił się do wyciszonego nocą telefonu, sprawdzając połączenia. Trzynaście nieodebranych od Agaty. Wiedział, że będzie trudno wytłumaczyć swój wielogodzinny brak reakcji. Oficjalnie nic złego nie zrobił. Po prostu zachował się jak typowy, zdenerwowany facet, który musi jakoś odreagować stresy życia rodzinnego. Jednak czuł, że tym pozostaniem w willi przekroczył jakąś granicę, odciął kolejną nitkę łączącą go ze swoim dotychczasowym życiem.

Już się zbierał, żeby oddzwonić, kiedy huknęły drzwi wejściowe. Maks usłyszał na korytarzu kroki wielu osób. Zbliżyły się do jego gabinetu. Zerwał się z kanapy. W tym momencie ktoś zapukał do drzwi i nie czekając na zaproszenie, nacisnął klamkę.

– Witaj, mistrzu! – Pan Roman nie był ani trochę zdziwiony, że zastał Maksa w gabinecie o tak wczesnej porze. Czyżby wiedział, że ten został na noc? – Mamy gości.

Za nim na korytarzu stali ludzie. Pan Roman machnął zapraszająco ręką i przed dopiero co obudzonym, rozczochranym i ziewającym Maksem ustawiła się grupa składająca się z kobiety i czterech mężczyzn, jednego starszego z wąsem i trzech gładkoliczych młodzieńców.

– Państwo Magurowie – przedstawił ich pan Roman. Maks mruknął pod nosem coś, co zawierało się pomiędzy *Witam, Co mnie to obchodzi?* a *Spadajcie*.

– Mistrzu! – odezwał się tubalnym basem pan Magura. – Rzuciliśmy wszystko, sprzedaliśmy dom i oto jesteśmy! Prosimy o przyjęcie.

Maks wpatrywał się w oblicze tego człowieka, usiłując wydedukować, o czym on mówi i kiedy sobie pójdzie. Jednak oblicza przybyłych steżały, wpatrując się w Maksa w pełnym napięcia oczekiwaniu.

Co on powiedział? Coś sprzedał, prosi o przyjęcie. Co to ma znaczyć? – Maks gorączkowo dociekał w myślach celu wizyty rodziny.

– Państwo Magurowie, podobnie jak pani Hania z córką, pragną oddać się pod twoją opiekę, mistrzu – tłumaczył pan Roman, widząc zdezorientowanie prezesa fundacji. – Twoje dzieło zmieniło ich całkowicie.

– Tak – potwierdził wąsaty pan Magura. – Nie chcemy starego życia. Jesteśmy gotowi poświęcić wszystko, aby pójść za tobą.

Mówił tylko on, ale po minach widać było, że cała rodzina jest tego samego zdania. Znowu zapadła cisza, pełna oczekiwania na odpowiedź Maksa. Ten w końcu oprzytomniał.

– Chodź pan na chwilę – zwrócił się do pana Romana i pociągnął go za rękę na korytarz. Zatrzasnął drzwi, aby przybyli nie słyszeli wymiany zdań, która zapowiadała się gorąco. – Co to za cyrk?! Kim jest ten wąsaty Piast Kołodziej z rodziną? Zwariowałeś pan? Rozumiem, że przygarniamy na jakiś czas kobietę z samotnym dzieckiem, ale ci kolejni przesiedleńcy to już przesada? Przecież...

– Tak – przerwał mu pan Roman. – Samotna, ładna kobieta to dobry nabytek, miłe towarzystwo na wspólne wieczory, sympatyczny przerywnik w niełatwej prozie małżeństwa. Ale oni się nie nadają – zmęczony życiem facet, podstarzała żona i trzech niedorostków w trudnym okresie dojrzwania. To się nie ma prawa podobać.

– Co mi pan sugerujesz? – wrzasnął Maks. – Nie chodzi o to, że ktoś jest lepszy lub gorszy. Po prostu nie rozumiem, co oni tu robią.

– Przecież już tłumaczyłem – zdenerwował się pan Roman. – Księga krąży i zbiera zniwo. Oni za nią zapłacili całym swoim majątkiem, są w stanie dać wszystko co mają. Mamy im powiedzieć, że nie chcemy tego? Mamy im powiedzieć, że ich nadzieje spełzną na niczym, bo mistrz woli młode, samotne kobiety?

– Ech, ty... – Maks postąpił krok naprzód z zaciśniętymi pięściami, ale się opanował. Nie chciał znowu doświadczyć bijatyki i ewentualnej tajemniczej odsieczy dla pana Romana.

– Mistrzu, powiem krótko – oni chcą ci oddać wszystko, siebie i swój majątek, tylko za możliwość studiowania twojej księgi i możliwość życia blisko siebie. I dodam, że takich ludzi jest już wielu. O tym marzą przecież wszyscy pisarze świata – napisać coś, co daje uwielbienie tłumów, władzę nad duszami i grube pieniądze. Ty już to masz, trzeba tylko się trochę zaangażować, a nie wybrzydzać.

– Czyli co miałbym zrobić? – uspokoił się Maks.

– Pobłogosławić im, opowiedzieć jakaś przypowieść związaną z księgą. Broń Boże, nie wyrzucać, ani nie zniechęcać – tłumaczył pan Roman. – Zresztą willa kosztuje, druk książki kosztuje. A pan, mistrzu, też dostaje swoje zaliczki. Ktoś przecież musi za to płacić. Nie wyrzuca się klienta z grubym portfelem za drzwi.

Maks westchnął. Miał poczucie, że z każdym kolejnym krokiem w swoich kontaktach z Wydawnictwem Z1 zapada się głębiej w niezrozumiałą sieć powiązań i zależności. Ludzie chcą go czytać i czcić za to, co napisał. Jednak ten fakt zamiast go cieszyć, zaczynał przerażać swoją wynaturzoną formą, jaką przybrała cała akcja promocyjna. Jednak z drugiej strony trzeba przyznać, że wydawnictwo propaguje jego książkę, a zobowiązania już zostały podjęte. Istnieją umowy, koszty rosną, a szkoda by było porzucić ten czas poświęcony na pisanie i związane z tym nadzieje. Właściwie pan Roman miał rację, skoro są klienci i ich pieniądze...

– Dobrze, niech zostaną – szepnął Maks i powłókł się w kierunku łazienki, żeby się umyć, doprowadzić włosy do ładu i w ogóle, żeby zacząć wyglądać jak mistrz, a nie jego zmęczony cień. Pan Roman podszedł do rodziny Magurów, aby zakomunikować im decyzję Maksa oraz wskazać pokój na piętrze. Akcja promocyjna książki trwała w najlepsze.



– Oszuści? – zamyślił się boss, wypuszczając z ust kółka cygarowego dymu. – No popatrz, Max. Wczoraj przyjaciele, dziś oszuści. Tak oto się kręci życiowa karuzela, a my jak pyłki na wietrze... eeee... wirujemy i znikamy.

Boss znajdował się niewątpliwie w nastroju filozoficznym, co wcale nie ułatwiało konwersacji. Szemrany typ, który klnie, grozi i wrzeszczy, to zrozumiały obraz. Natomiast gangster popadający w ton melancholijno-ironiczny brzmiał o wiele groźniej. Max oglądał „Ojca chrzestnego” oraz kilka innych gangsterskich filmów, z których jasno wynikało, że filozoficzne podejście do świata zazwyczaj charakteryzuje wyjątkowo okrutne jednostki.

– Na razie, jako zastaw, mogę pozostawić u panów to – Max postawił na stole chińską wazę, którą mu na pamiątkę pozostawił John. – To rzecz niezwykle stara i cenna. Gdy zdobędę pieniądze, odkupię ją. A jeżeli nie, to przejdzie na panów własność, sprzedacie i zrobicie świetny interes.

– Cóż za wspaniała propozycja – zachwycił się boss, kontynuując seans ironicznych uwag. – Chętnie skorzystam.

– Serio? – szczerze zdumiał się Max.

– Serio – odpowiedział boss. – Nie musisz już mi wracać tych pożyczonych dwudziestu tysięcy.

Zapadła cisza, nawet opanowany zazwyczaj Satrin zmarszczył brwi w reakcji na słowa szefa. Ten zaś kontynuował:

– Oczywiście, bo przyjąłem to piękne dzieło sztuki, i nie czekając na lepsze oferty, właśnie ci odsprzedam okazynnie za dwadzieścia pięć kawalków. Proszę, ta waza jest znowu twoja. Weź ją i zrób ten wspaniały interes, o którym wspomniałeś, a potem wróc tu z kasą. Powiedzmy... – boss uniósł brwi w zamyśleniu – za cztery dni.

Max po chwili znowu wylądował na ulicy tuląc w objęciach ceramiczny kształt. Jego dług, zgodnie z zasadami lichwiarskiego procentu z nielegalnych źródeł, powiększył się o pięć tysięcy. Ostatnie złudzenia opadły.

Agata nie dała się przekupić przeprosinami, kwiatami, wizją cudownego weekendu w górach, pomocą w kuchni, ani nawet obietnicą wycieczki do siedziby Maksa, czyli *de facto* spełnieniem jej prośby z dnia poprzedniego. Trzyście nieodebranych połączeń w nocy od kobiety, która martwi się o nieobecnego męża, wisiało nad nimi jak memento, które jasno dawało znać, że źle się tutaj dzieje.

Nie włączyłem dzwonka, nie spojrzałem na ekran telefonu, nie pomyślałem o żonie i córce przez te wszystkie godziny, mam was gdzieś – dla zdenerwowanej kobiety wszystkie wyjaśnienia wraz z ich interpretacjami układały się w jeden obraz, który mówił jasno, że mąż jej nie kocha i najprawdopodobniej ją zdradza. A Maks obiecał sobie, że prędzej umrze, niż przyzna się, że przesiedział kilka godzin u innej kobiety i było mu u niej tak dobrze, że nawet nie spojrzał w telefon. Jednak omijanie w rozmowie

jakiegoś faktu powoduje, że cała historia staje się niewiarygodna. Nawet, jeżeli wszystkie opowiedziane zdarzenia są prawdziwe i logicznie powiązane, to mowa ciała, urwane zdania oraz silący się na szczerość wyraz twarzy, pozostawiają niezmywalny cień wątpliwości. Innymi słowy Max nie zdołał, swoim zwyczajem, miękko wylądować w ramionach wybaczącej wszystko żony. I to było dla niego przykrym zaskoczeniem.

Następnego dnia pojawił się w willi wcześniej z solennym postanowieniem wznowienia pracy pisarza. Od kilkunastu dni niczego nie napisał i bardzo źle się z tym czuł, bo pisanie było dla niego zawsze tak ważne jak sen lub jedzenie, może nawet ważniejsze. A przecież piękny gabinet prezesa fundacji stwarzał ku temu teoretycznie o niebo lepsze warunki, niż jego dotychczasowa ciemna klitka w mieszkaniu na osiedlu z wielkiej płyty. Jednakże ilość wydarzeń oraz bodźców w ciągu ostatnich dni tak go wytrąciły z równowagi, że pierwszy rozdział nowej książki, będącej w zamierzeniu kontynuacją losów bohaterów opowieści o Maxie z Nowego Jorku, rozpoczęty niedługo po nawiązaniu kontaktów z Wydawnictwem Z1, zawierał na razie jedynie kilka tysięcy znaków. Dodatkowo, napisany tekst zupełnie się Maksowi nie podobał. Miał poczucie, że wszystko jest tam do wykreślenia. Jednak na razie nie przychodził mu żaden inny literacki pomysł do głowy, więc nie ruszał tego, co wyprodukował, aby zachować dla siebie i otoczenia iluzję pisarza zatopionego w tworzeniu nowej, wspianiałej książki.

Wchodząc do budynku był dobrej myśli. Wyglądało na to, że wreszcie będzie mógł w spokoju zasiąść do pracy. Pokonawszy szybkim krokiem hall, stanął przed drzwiami gabinetu i prawie nacisnął klamkę, gdy z pokoju obok wyszła pani Hania z Jagódką. Podeszły do niego i ukłoniły się.

– Mistrzu, czy zaszczyisz nas dzisiaj swoją obecnością na obiedzie? Przeczytałyśmy wczoraj wieczorem rozdział o wizycie Maxa w pustym biurze Johna i wręczeniu mu wazy przez administratora. Mamy kilka pytań i wątpliwości odnośnie interpretacji tego tekstu – dopytywała się kobieta, a dziecko jej potakiwało.

– Nie, nie, dzisiaj nie – zareagował trochę zbyt stanowczo Maks. Gdy spostrzegł jaką przykrość im sprawiła jego gwałtowna odpowiedź, zaczął się usprawiedliwiać: – Znaczy, dziś jest dzień twórczy, odpowiem chętnie na wasze pytania później, powiedzmy pojutrze.

Termin wydawał się bezpiecznie odległy, a dzięki tej odpowiedzi na ich twarze powrócił uśmiech. Maks wszedł do gabinetu, otworzył okno i zapatrzył w zieleń. Kontemplując widok utwierdził się w przekonaniu, że właśnie nadszedł doskonały dzień na twórczość. Usiadł w fotelu, włączył komputer. Następnie przeszedł w edytowanym szkicu nowej książki do ostatnio zapisanych wierszy tekstu. Jednak nie zamierzał go czytać. Wiedział, że jest słaby i obiecał sobie, że i tak gruntownie go zmieni. A od tego momentu wprowadzi do kontynuacji dotychczasowej historii nieco odmiany w stylu i sposobie konstruowania akcji. Tyle, jeżeli chodzi o szczytne zamiary. W praktyce przesiedział kilkanaście minut, gapiąc się w ekran jak sroka w kość i nie umiając sklecić porządnie ani jednego zdania. Dodatkowo wszystko go denerwowało: pasek spodni cisnął, swędziało pod łopatką i co rusz musiał pocierać plecami o oparcie fotela, szum wentylatora komputerowego zdawał się rosnać i potężnieć z każdą chwilą, zagłuszając jakąkolwiek kreatywną myśl. Czuł się jak bohater filmu *Dzień świra*, który latami nie może dokończyć rozpoczętego wiersza, bo zawsze ktoś mu przerywa lub on

sam nie może się odpowiednio ułożyć podczas pisania. Szum potężniał z każdą sekundą, jednak w pewnym momencie Maks zrozumiał, że to nie wentylator. Na taras pod jego oknami wkroczyła kilkusobowa ekipa zamiatając energicznie podłogę. Maks ich poznał – to ich nowi lokatorzy, Magurowie. Wąsaty ojciec i jego trzech synów machało rytmicznie miotłami, co rusz wymieniając chrapliwe okrzyki, które miały na celu ustawienie ich w optymalnym szyku oraz wzajemne zagrzewanie się do wytężonej pracy.

– Ja pierdołę – jęknął Maks, widząc źródło hałasu za szybą oraz mając na kogo zwalić winę za swoją twórczą impotencję. Podbiegł do okna, otworzył je szerzej niż dotychczas i wrzasnął: – Spokój! Już mi stąd!

Czwórka mężczyzn zastygła, słysząc niespodziewanie głos ze strony budynku. Wszyscy, jak za pociągnięciem sznurka, odwrócili się ku Maksowi i zastygli w pozie pełnej szacunku. Pan Magura podszedł z ukłonem do okna i zaczął tłumaczyć:

– Przepraszamy, mistrzu, ale pan Czesław kazał. Możemy później, mistrzu. Oczywiście, przyjdziemy później... – mamrotał. Magura w tym usprawiedliwianiu się bardzo przypominał dziewiętnastowiecznego chłopca pańszczyźnianego, który zapytany przez dziedzica, odpowiada, co rusz się kłaniając. A w tej odpowiedzi jaka się i gubi, cały czas bojąc się, że dostanie od pana szpicrutą przez twarz za gapowatość i prezentowane chamstwo gminu. Po chwili cała czwórka sobie poszła. Znowu zapanował spokój, można było wrócić do porzuconej, choć właściwie jeszcze nierozpoczętej pracy, ale Maks zaczął już podejrzewać, że nie uda mu się tu nic napisać. I na nic wygodny fotel, cisza za oknem i w pomieszczeniu, ani długie godziny wolnego czasu. Trzeba pogodzić się z Agatą, spędzić trochę czasu z Basią, spróbować wyjaśnić sytuację, uspokoić myśli. I może wtedy będzie miał wolną głowę do tworzenia kolejnych przygód Maxa z Nowego Jorku. A na razie...

– Dzień dobry – na taras od strony krzaków wszedł starzec, którego Maks wcześniej spotkał w gęstwinie.

No, pięknie. Dlaczego miałbym mieć choć chwilę spokoju? Przecież to tylko prywatna posiadłość z wielkim, zamkniętym ogrodem, więc normalnym jest, że pałętają się tu tłumy hałaśliwych gapiów – pomyślał ironicznie zmęczony twórca, ale nie zdenerwował się na nieoczekiwanego przybysza tak, jak na dopiero co wypędzonych Magurów. Być może sprawiła to chęć zaspokojenia ciekawość odnośnie tożsamości i miejsca zamieszkania staruszka.

– Dobry – mruknął. – Co nowego sąsiedzie?

– A, stara bida – elegancki starzec podtrzymał konwersację polskim zwyczajem. – A jak się panu pisze, prezesie-literacie?

– E, bywało lepiej – odpowiedział w równie polskim stylu Maks.

Po tak obiecującym początku zapadła cisza.

– Może pan wejdzie? – Maks uchylił drzwi na taras.

– Co? Nie, dziękuję. Nie, nie. Tam na pewno nie – starzec odskoczył nerwowo, całkiem jakby rozwarło przed nim wrota piekieł. Maks wzruszył ramionami.

– Tak naprawdę to nie umiem tu pisać. Za dużo miejsca, za elegancko i jakoś tak... – nie dokończył zdania Maks, nie wiedząc jak opisać fatalną atmosferę twórczą tego

miejsca. Szurania moteł Magurów znowu zabrzmiały, tym razem za budynkiem.

– Tak. Ci scenarzyści też narzekali na tutejszą słabą aurę. Tylko alkohol dobrze wchodził – westchnął starzec, a następnie usiadł na murku i wyciągnął papierośnicę. Po chwili otoczyły go klęby sinego dymu.

– Papieroska? – wyciągnął pudełko zachęcającym gestem.

– A niech tam! Zapalę – zdecydował się Maks, choć ostatniego papierosa wypalił kilkanaście lat temu i generalnie nie miał dobrych wspomnień związanych z tytoniem. Po chwili zaciągnął się dymem i zaczął kaszleć.

– Pan, widzę, coś strapiony? – starzec zagadał w przerwie pomiędzy kanonadami kaszlu. – Nerwowy i smutny, całkiem jak ci scenarzyści. Zresztą prezes hurtowni też się wiecznie czymś martwił.

– Naprawdę? – zdziwił się Maks.

– To pewnie takie miejsce – wyjaśnił staruszek. – A ja miałbym do pana sprawę...

– Słucham – Maks odrzucił z ulgą długi niedopałek na płytce tarasu i zaczął zastanawiać się, jak zmyć z ust i gardła ohydny posmak spalonych liści tytoniu. Nie miał pojęcia jak niektórzy mogą skazywać się na takie coś przez całe życie. I jeszcze słono za to płacić.

– Podczas wczorajszej rozmowy nabrałem przekonania, że jest pan porządnym człowiekiem i można na panu polegać – oświadczył prostolinijnie staruszek. – Dlatego miałbym prośbę. Jakby pan coś zauważył w tym domu w nocy kogoś obcego, kto chodzi i tak jakoś inaczej wygląda... Jakby pan posłuchał, co on... co ona mówi... Wiem, że to się czasem zdarza, bo ci scenarzyści i prezes... No, ale teraz jesteś pan. A wiem, że i w nocy pan tutaj...

– Skąd pan wie, że tu jestem w nocy? – zdenerwował się nie na żarty Maks, czując się inwigilowany. – Pan mnie śledzi? Kim pan w ogóle jest? Bo w żadnego sąsiada nie wierzę. Musiałby pan mieszkać w dziupli na drzewie nad tym stawem z łabędziami.

– Ja... – zaczął się tłumaczyć staruszek, ale w tym momencie usłyszeli szybkie kroki i zza rogu wychynał pan Roman, za nim postępowała para – młoda kobieta i mężczyzna w podobnym do niej wieku, dźwigając na plecach ciężkie plecaki. Wyglądali jak turyści z bogatego kraju, którzy zdecydowali się na dzikie wakacje, ale posiadany sprzęt i ubrania jasno mówiły, że w każdej chwili stać ich na dobry hotel lub powrót samolotem do domu, jeżeli znudziłaby im się włóczęga.

– Dzień dobry, mistrzu – pan Roman skłonił się, za jego przykładem poszli młodzi. Marketingowiec pociągnął nosem, czując swąd papierosów. Potoczył po tarasie podejrzliwym spojrzeniem, ponieważ wiedział, że Maks nie pali. Jednak starca nigdzie nie było widać, rozpląnął się w pobliskich krzakach wprawnie jak Indianin, zanim go ktokolwiek zauważył. Maks rozglądał się równie zaskoczony. Po chwili uśmiechnął się złośliwie i zwrócił do pana Romana:

– Jakież nowe wieści wiceprezesie?

Pan Roman skrzywił się na dźwięk oficjalnej nazwy swojej funkcji. Następnie wskazał na towarzyszących mu ludzi.

– Ci państwo przybyli do nas aż ze Szwajcarii, żeby móc tu być i czytać księgę. To Petra i Wolfgang.

- Grüss Gott (*niem.: Szczęść Boże – zwyczajowa forma powitania używana w Szwajcarii, Austrii i Południowych Niemczech*) – Szwajcarzy dygnęli z szacunkiem, a Maks znowu pomyślał, że napisanie czegokolwiek w takich warunkach graniczyłoby z cudem.



Waza nie znalazła uznania w oczach handlarza. Wycenił ją na pięć dolarów, ale odmówił zakupu twierdząc, że nikt nigdy nie zechce mieć w domu takiego „badziewia”, a moda na chińszczyznę minęła dobrych kilka lat temu. Gdyby ten człowiek znał sytuację Maxa, może użyłby delikatniejszego określenia, aby oszczędzić mu mąk poniżenia i lęku związanych z byciem ofiarą oszustwa. Może. Jednak rzecz działa się w Nowym Jorku, a tu nie przebiera się w słowach, kiedy można komuś pokazać swoją pozycję i udowodnić, że ten jest kretyńcem oraz frajerem wyższego rzędu. Max został z podróbką chińskiej wazy oraz terminem trzech dni i dwudziestu godzin na załatwienie dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Był załamany.

– Tato, czemu jesteś smutny? – Cindy przytuliła się do Maxa, kiedy ten wrócił do domu.

– Schrzanilem jedną sprawę – wymamrotał Max.

– Naprawisz – pocieszyła go córka i jeszcze mocniej przytuliła się do ojca.

– Muszę, bo inaczej... – szepnął Max, lecz nie dokończył zdania. Wizja bossa egzekwującego wraz ze swoimi oprychami zwrot długu była dotychczas jedynie obrazkiem z gangsterskich filmów. Jednak ciepło przytulonego dziecka uświadomiło mu z przeraźliwą jasnością, że ma kogo chronić oraz na jakie niebezpieczeństwo naraził siebie, ale przede wszystkim swoich bliskich. Przecież on tak naprawdę nie ma pojęcia co to za typy i jakie mają metody.

– ...bo będziesz smutny? – domyśliło się dziecko. – Nie martw się, tatusiu. Wtedy cię rozśmieszę.

Max przytulił ją jeszcze mocniej i pomyślał, że musi zdobyć te pieniądze.

Maks nadal siedział w swoim gabinecie patrząc tępo na ścianę zieloności ogrodu. *Boże. Jeżeli to zgodne z twoim planem, to daj mi znak* – myśl o wystawieniu Opatrzności na kolejną próbę krążyła mu po głowie od kilku godzin. Nie liczył już na możliwość spokojnego pisania powieści, nawet echo sprzeczki z żoną nieco ucichło w obliczu napływu kolejnych wyznawców jego książki. Maks musiał sam przed sobą przyznać, że sytuacja go przerasta, dlatego ponownie zwracał się o pomoc do Boga. Czego ci ludzie chcą? Jak zdobyli jego tekst, szczególnie ci Szwajcarzy? A najważniejsze – co on ma w tej sytuacji robić? Należy przy tym wspomnieć, że monolog wewnętrzny Maksa był dosyć gniewny i mniej przypominał pokorne dopraszanie się łaski, a bardziej coś w rodzaju połajanki dla sprawcy całego nieszczęścia. Bo przecież on, Maks, dotąd szedł jedynie za głosem z niebios. I teraz, wobec kłopotów, on nie wyobraża sobie, żeby Bóg mu nie pomógł. Tego się po prostu nie robi, bo byłoby to zwykłe, choć boskie, świństwo.

Innymi słowy, swoim ludzkim zwyczajem zwałił wszelkie winy oraz obraził się o wszystko na innych. Co jednak nie zmieniało obrotu sprawy. Miał pod wspólnym dachem całkiem już sporą grupę ludzi, którzy są tu tylko dla niego, a właściwie jego książki. Oni liczą na niego i coś trzeba z tym zrobić.

– To jak będzie, mistrzu? Mogą już zamiatać? – Pan Czesio niespodziewanie pojawił się od strony tarasu przy oknie i czekał na decyzję Maksa z tym swoim przyklejonym na stałe uśmiechem.

– Moga, moga – westchnął Maks. Pan Czesio machnął ręką i na taras ponownie wkroczyła grupa miotlarzy. Tym razem powiększona o młodych Szwajcarów. Praca jednak nie szła już tak sprawnie jak rankiem, ponieważ co rusz któryś z młodych Magurów rzucał łapczywe spojrzenie na zamiatającą wspólnie z nimi dziewczynę i tym samym tracił rytm, tak równy, gdy pracowali tylko chłopcy wraz z ojcem.

– Tych Szkopów też zagoniłem. Niech się na coś przydadzą, jak się już tu u nas zjawili – pochwalił się inicjatywą pan Czesio, nie przejmując się faktem, że myli narodowości i używa potocznych, wręcz pogardliwych określeń. Następnie uśmiechnął się nieco bardziej niż standardowo. Maks pokiwał głową, ni to z uznaniem, ni to ze zdziwieniem, że tak sobie tamten radzi z cudzoziemcami.

W tle, za pracującymi przebiegła mała Jagódka, buszując w zielonych zaroślach ogrodu. Maks z ulgą stwierdził, że dziewczynka ma jeszcze inne, bardziej dziecięce rozrywki poza studiowaniem losów Maxa z Nowego Jorku. Zaczął zastanawiać się, w jakim ona jest wieku, i czy nie powinna iść do szkoły. Jednak po chwili sam się zganił za takie myśli. Co go to obchodzi? Dziecko ma matkę i to ona jest odpowiedzialna za jej edukację i rozwój.

Nadzorujący pracujących pan Czesio palił papierosa, bezceremonialnie strzepując popiół na świeżo zamiecioną podłogę. Maks obserwował go przez szybę i zauważył przy tym kilka szczegółów, które mu dotąd umknęły. Pan Czesław z powodu ciepłej pogody podwinął rękawy i prezentował na przedramieniu sporej wielkości tatuaż przedstawiający nagą kobietę. Natomiast na szyi, na wysokości kołnierza widniała spora blizna po brzydko zarośniętej ranie. Pomimo, że tatuaże stały się ostatnio modne i niejeden szacowny obywatel świeci na plaży obrazkiem na obnażonych plecach lub kończynach, to akurat ten był *starego typu* z rozlanymi kształtami powstałymi z powodu prymitywnej metody nakłuwania oraz niewprawnej ręki twórcy. Prezentował typową dla dawnych tatuaży tematyką seksu. Również na dłoni miał kilka fioletowych kropek, które w wcześniej Maks brał za jakieś przebarwienia. Maksowi tego typu znamiona nieodmiennie kojarzyły się z kryminalistami. Kiedy obserwował pana Czesia, przyszło do głowy, że w ciągu kilku tygodni otoczył się ludźmi, których praktycznie nie zna, a jednocześnie z rozmów wynikało, że oni są dość dobrze o nim poinformowani. Pan Czesio, na przykład. Niby wszystko mu obojętne, niby interesuje go tylko wypłata i ilość godzin do zakończenia dniówki, ale podczas bójki to on uderzył Maksa. Chyba on, bo Maks niewiele pamiętał. A pan Roman? Nie lepszy. No i ten prezes. Jakże on się nazywa? Maks nadal nie był w stanie przywołać nazwiska.

– Niezła ta Niemka, co nie, mistrzu? – pan Czesio postanowił wdać się w męskie dyskusje. – A zawsze mi mówili, że tam baby brzydkie jak noc.

– To Szwajcarka – poprawił go Maks.

– Aha. Dla mnie jeden kit, za Odrą wszystkie jednakowe – podsumował pan Czesio ze swojego czysto polonocentrycznego punktu widzenia i pstryknął niedopałkiem w trawę. Następnie zwrócił się do zamiatających, również w językach obcych: – Już dobrze, koniec. Fajrant. Fertig (*niem.: gotowe*).

Następnie odwrócił się do Maksa i wskazując na grupę schodzącą z tarasu z miotłami w rękach zakomunikował konspiracyjnym tonem:

– To może nie moja sprawa, mistrzu, ale ludziska się nieco smućą.

– Dlaczego? – zdziwił się Maks.

– Są już u nas trochę, a ani jednej pogadanki nie było, ani jednej sensownej rozmowy. Myślą, że są ciebie niegodni, czy coś takiego... – tłumaczył pan Czesio.

Maksa zamurowało z zaskoczenia.

– Ale o co chodzi? – wydukał w końcu.

– Ludziska czytają, przejmują się, zmieniają swoje życie, ale muszą wiedzieć, że zrobili dobrze. Muszą zostać podtrzymani na duchu. Mieć nadzieję – pan Czesio tłumaczył, ni to Maksowi, ni to w przestrzeń za oknem. – A ci tu pokładają nadzieję w pana książce.

Jego ostatnie słowa zabrzmiały całkiem, jakby pan Czesio dziwił się naiwności przybyszów. Jednak nie powiedział tego wprost. Po prostu przekazał Maksowi informację i zapalił kolejnego papierosa.

– Podtrzymani na duchu, pan mówisz? – zadumał się mistrz. Zapadła cisza.

A mnie, kurwa, kto podtrzyma na duchu? – przyszło mu do głowy. I wtedy pomyślał, jak bardzo ciężką jest praca księdza albo przywódcy duchowego. Jak bardzo człowiek chce być od kogoś lub czegoś zależny, i jak trudno jest wziąć ciężar samodzielności i cudzych losów na swoje barki.

Boże, daj znak, bo... – znowu zwrócił się do tego, który go prowadził i wyręczał. Tym razem ton modlitwy przybrał niemal ostrość groźby. I wtedy Maks zauważył, że na ekranie jego komputera pojawił się obraz edytora tekstów. Nie otwierał żadnego pliku, a mimo to biała plama z literami zajaśniała przed jego oczyma. Przejechał oczyma po znanym tekście. Potem go przeczytał po cichu:

Boss znajdował się niewątpliwie w nastroju filozoficznym, co wcale nie ułatwiało konwersacji. Szemrany typ, który klnie, grozi i wrzeszczy, to zrozumiały obraz. Natomiast gangster popadający w ton melancholijno-ironiczny brzmiał o wiele groźniej. Max oglądał „Ojca chrzestnego” i wiedział, że filozoficzne podejście do świata zazwyczaj charakteryzuje wyjątkowo okrutne jednostki. – Na razie, jako zastaw, mogę pozostawić u panów to – Max postawił na stole chińską wazę, którą mu na pamiątkę pozostawił John. – To rzecz niezwykle stara i cenna. Gdy zdobędę pieniądze, odkupię ją. A jeżeli nie, to przejdzie na panów własność, sprzedacie i zrobicie świetny interes...

Zamyślił się, patrząc w ścianę zieloności za oknem. Tak. To był znak.

Godzinę później siedział przed grupą zasłuchanych ludzi, którzy po ciężkiej pracy przy willi odpoczywali, słuchając słów mistrza.

– I powiadam wam. Nie oszustem ten, co zamiary od razu ujawnia, ale ten, który w skrytości knuje. A twarz na co dzień przyodziewa w uśmiech kłamliwy – Maks skończył swoje nauki i podniósłszy się z fotela, wyszedł w milczeniu z sali. Na korytarzu stali pan Roman i pan Czesio, najwyraźniej podsłuchiwali przez szpary w drzwiach. Maks oczekiwał, że pan Roman swoim zwyczajem powie mu coś uszczypliwego, pan Czesio uśmiechnie się kpiąco tym przylepionym na stałe uśmiechem. Jednak z zaskoczeniem odnotował, że twarz wiceprezesa nie wyrażała niczego innego jak... podziw. Pan Roman

najwyraźniej był pod wrażeniem maksowej mowy i jedyne na co go było stać, to milcząca adoracja. Przeszedł obok nich sprężystym krokiem oraz z dumnie zmarszczonym czołem i zamknął z trzaskiem drzwi gabinetu. Po raz pierwszy w życiu poczuł się ważny i bardzo mu się to podobało.



Max postanowił przygotować przekręt z chińską wazą na własną rękę. Oczywiście nie szukał dotychczasowego „klienta”, gdyż rosyjski milioner był osobą podstawioną, tak jak i wcześniej Chińczyk oraz ten starszy jegomość sprzedający egipską szkatułę. Wszyscy należeli do jednej bandy oszustów, którzy po wszystkim wyparowali z jego życia jak kamfora. Tylko boss i jego ponurzy kumple byli realni i nie zamierzali dyskretnie zniknąć. Czekali na kasę, odliczając czas do momentu upłynięcia terminu ultimatum. Max w ciągu ostatnich kilku godzin przemyślał całą sytuację. Uświadomił sobie jasno, że stał się swego rodzaju „stupem”, osobą, która padła ofiarą oszustwa, firmując pożyczkę od bandziorów swoją twarzą. I teraz oni znają właśnie tylko jego, i od niego żądają zwrotu pieniędzy. Myśli galopowały po jego głowie w opętanczej pogoni za dobrym pomysłem, jak zdobyć te dwadzieścia pięć tysięcy i uwolnić się od bossa. Na legalny, uczciwy zarobek w kilka dni nie ma co liczyć. Tylko jakieś sprytnie działanie uratuje mu skórę. Jednak pustka dźwięcząca w jego głowie jasno świadczyła o tym, do czego się nadaje – do niczego. Wszelkie pomysły były naśladownictwem koncepcji Johna, który przecież zaplanował wszystko, aby oszukać właśnie jego i nikogo innego.

– Mam starą, chińską wazę. Istne cacuszko... – chodząc po ulicach ćwiczył argumenty dla potencjalnego frajera, który reflektowałby na starą, chińską ceramikę. Do terminu spłaty pozostało trzy doby i sześć godzin.

Kolejnego ranka Maks zastał w domu nowych przybyszów. Tym razem nikt nie konsultował z nim ich zakwaterowania. Pan Roman jedynie krótko zameldował, że w środku nocy przybyła kobieta prosząc o pomoc i możliwość pobytu w pobliżu autora książki. Przyjechała przez pół Polski z Podkarpacia. Maks nie dowiedział się, jak dotarła do tekstu w żółtej okładce, ani co ją tak w nim poruszyło. Podobno pojawiła się u pana Romana z jedną torbą i solennym postanowieniem porzucenia wszystkiego, aby tylko przebywać w pobliżu Maksa. Drugim nabytkiem willowej załogi był samotny ojciec z córką. Zostali zaanonsowani w podobny sposób co inni – spragnieni nowego życia wędrowcy, którzy przybyli tu jedynie z nadzieją i podtrzymującym ich na duchu opisem losów Maxa w torbie. Przedstawili się jako Henryk i Edyta. Jednak nie dało się ukryć, że różnili się od pozostałych. Czy sprawiały to wymieniane między panem Czesiem a nowym lokatorem porozumiewawcze spojrzenia, czy też jego nonszalancki styl bycia? A może rzucający się w oczy dosyć nieojcowski stosunek do córki, nastolatki o kuszących kształtach, lecz nadal emanującej dziewczęcym wdziękiem? Niezależnie od tego, co ich naprawdę łączyło, nie dało się nie zauważyć, że mężczyzna wodził za nią łapczywie oczyma, zachowując się wobec młodej dziewczyny nie jak ojciec, lecz bardziej niczym podstarzały playboy śliniący się na widok zgrabnej licealistki. Innymi słowy na terenie fundacji kręciło się już dość sporo różnych ludzi, których łączyło jedno – przybyli tu dla książki Maksa.

Pomimo napływu kolejnej grupy, Maks tym razem nie wybuchł wściekłością, ani nawet nie rozpoczął sprzeczki z panem Romanem. Poprzedniego dnia poprowadził

pierwszą pogadankę motywacyjną, zainspirowany nieoczekiwanie otwartym tekstem na ekranie jego komputera. Poszło mu tak dobrze, że po powrocie do gabinetu długo siedział wpatrzony w falującą na wietrze zieloność ogrodu. Podziwiał sam siebie. Wiedział już, że przytrafiło mu się coś wspaniałego, a konkretniej, że on jest wspaniały w tym co robi. Nie miał już ochoty na pisanie nowej powieści, nie strofował siebie, ani Boga za to, że mu to wcale nie wychodzi. Przez te kilkadziesiąt minut przeszedł jakby do innego wymiaru. Zrozumiał, że ma w sobie wielką siłę, którą wcześniej dostrzegli już inni. On rozumiał to dopiero wtedy, kiedy mówiąc słowa inspirowane powieścią, czuł, że zebrani ludzie naprawdę go słuchają. I nie są to zwykli odbiorcy prozy sensacyjnej, którzy traktują książkę jako czystą rozrywkę, niewartą głębszej refleksji. Ci tutaj byli dla niego i jego książki. Był dla nich prawdziwym mistrzem.

W takim stanie ducha wrócił wieczorem do domu i próbował to wszystko opowiedzieć swoim dziewczynom. Jednak przekaz o zasłuchanej grupce *wyznawców* w dużej sali starego domu nie interesował zbyt ani Agaty, ani Basi. Ta druga cały marudziła, że jakaś koleżanka ma nowe rolki, a ona jeszcze nie, a bardzo by chciała. Natomiast żona za mężowe wieści z pracy zrewanżowała się ploteczkami ze swojego biura oraz najnowszymi informacjami z życia klasy Basi. Tym samym moment kreacji Maksa jako prawdziwego, namaszczonego przez Boga mistrza, został w domu potraktowany na równi z zakupem nowej bluzki przez jedną z koleżanek Agaty, paplaniną o wymarzonych rolkach córki oraz informacją o odkryciu przypadków wszawicy w klasach młodszych szkoły podstawowej. Maks był w szoku. Oczywiście on dotychczas całe życie uważał, że robi rzeczy ważne. Jednak brak wpływów finansowych jasno unaoczniał, że waga duchowa jakiegoś dzieła nie zawsze idzie w parze z odpowiednią gratyfikacją. Dlatego nie dopominał się zbyt o należną chwałę. Jednak teraz nadszedł moment, aby nazwać rzeczy po imieniu. Potwierdzić, że sprawy ważne są naprawdę ważne, a tym ważniejsze, jeżeli do tego przynoszą dochód, bo pan Roman wspominał o kolejnej wpłacie na konto Maksa. O ile jednak Agata cieszyła się z sukcesu finansowego męża, o tyle nie mogła pojąć, za co on te pieniądze dostaje. Co może być tak interesującego w przygodach jakiegoś ponurego nowojorczyka, że ludzie chcą o tym rozmawiać i słuchać wyjaśnień autora? Innymi słowy Maks obraził się za brak podziwu ze strony domowniczek. A kładąc się spać, nie mógł doczekać momentu, kiedy znowu pójdzie do willi i opowie coś nowego tym zasłuchanym w jego słowa ludziom.

Następnego dnia od samego rana szperał w swojej powieści szukając odpowiedniego fragmentu oraz słów, których mógłby użyć objaśniając ludziom niesiony przez tekst sens dzieła. Wtem ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę! – krzyknął Maks. Weszła pani Hanna.

– Mistrzu, jemy śniadanie. Może by mistrz się przyłączył? Jeśli czas pozwala, oczywiście – przekazała informację.

– Dziękuję, ale... – zawahał się, czy przyjąć zaproszenie. Pomimo swojej złości na Agatę, nie zapomniał jeszcze wyrzutów sumienia z przedwczoraj, kiedy spędził u pani Hani cały wieczór, nie odbierając telefonów od żony. Miał zresztą kanapki z domu w torbie. Jednak pomimo to po sekundzie namysłu dokończył: – ... nawet chętnie.

Wyszli na korytarz, pani Hania wskazała na wejście do sali głównej. Maks przekroczył próg i tam zastygł z zaskoczenia. Wszyscy przybyli w ostatnich dniach

ludzie zebrali się tutaj przy długim stole nakrytym białym obrusem. Na talerzach piętrzyły się stosy różnorodnego jedzenia. Spojrzenie kilkunastu par oczu spoczęło na nim z szacunkiem. Miejsce u szczytu stołu było już dla niego przygotowane w postaci nieco większego krzesła. Maks stał dłuższą chwilę zastanawiając się co robić. Droga odwrotu była odcięta, wszyscy już go zauważyli i najwyraźniej byli ciekawi tego, jak się zachowa i co powie. Przelknął nerwowo ślinę, następnie ruszył szybkim krokiem ku przygotowanemu miejscu.

– Proszę, jedzcie – zachęcił zebranych siadając, a następnie biorąc kawałek chleba w rękę. Ludzie poszli jego śladem. Zaszurały krzesła i zadzwoniły sztućce.

Po południu spotkali się w tym samym pomieszczeniu. Pan Roman przyprowadził kolejnych słuchaczy. Jeden z nich, podobnie jak poprzednicy, przyjechał z odległego miasta, tym razem z Pomorza. Po raz kolejny dając Maksowi zagadkę, jak szeptana propaganda Wydawnictwa Z1 i strategia dystrybucji z *ręki do ręki* mogła dać efekt w postaci popularności żółtej księgi w odległym krańcu Polski. Drugi gość był jeszcze ciekawszym przypadkiem. Wkroczył na teren posesji z małym pieskiem na smyczy, prawdopodobnie kundlem z przewagą genów ratlera. Zaanonsował się u pana Czesława jako Walerian, miejscowy emeryt. Następnie stwierdził, że rozniosła się po okolicy wieść jakoby w starym dworku działy się interesujące rzeczy i on chce w tym uczestniczyć. Co ciekawsze, od samego momentu wejścia, bez jakichkolwiek wyjaśnień, zaczął tytułować Maksa mistrzem i prezesem, choć absolutnie nie kojarzył go jako autora książki o Maxie z Nowego Jorku. Czyżby tajemniczy staruszek z ogrodu rozpuścił wieści wśród swoich kolegów i miejscowi emeryci przysłali przedstawiciela na przeszeptanie? To pytanie jednak nie zaprzętało uwagi Maksa wobec większego wyzwania, które przed nim stało. Trzeba było omówić z grupą kolejny fragment tekstu. Tym razem nic się samo nie otworzyło, ani cudownie nie podpowiedziało, dlatego praca szła dość opornie. Klecił w głowie luźne strzępki myśli, których mógłby użyć oraz dorabiał znaczenie i głębszy sens do wydarzeń ze swojej książki tak, aby brzmiało to mądrze i przekonująco. Im dłużej nad tym myślał, tym bardziej się dziwił, jak łatwo jest podłożyć dowolną treść komentarza pod wybrany fragment pierwotnego tekstu. Ot, bierze się motyw przewodni i potem samo leci. Wystarczy mieć kwiecisty sposób wysławiania się, by zdania jakoś tak samoistnie gęsto oplatały wybraną myśl. Po południu był gotowy na spotkanie. Domyślał się, że już czekają na niego, ale się nie spieszył. Wiedział, że nikt go nie będzie poganiać. Późnym popołudniem ponownie wkroczył do pomieszczenia, w którym całkiem już spora grupka ludzi, zebranych w willi na przestrzeni ostatnich kilku dni, trwała w nadziei na kolejną pogadankę. Maks już nie był taki spięty jak poprzedniego razu. Zarówno ruchy, jak i język utrzymywał pod dużo większą kontrolą. Przygotowanie sprawiało, że mówił ze swadą i swobodą. Gruntowne przeciwiczenie treści przekazu pomogło w utrzymywaniu w ryzach tonu głosu i mowy ciała. Miał również czas na odbiór reakcji słuchaczy i dzięki temu zauważył, jak różnie się oni zachowują. Jedni byli skupieni na jego słowach, inni jedynie na sobie lub ładnej Szwajcarce. Ciągąc swoje nauki przed zebraniem audytorium coraz wyraźniej czuł, że mówiąc może na nich rzeczywiście wpływać, wprawiać w złość, smucić lub napawać otuchą. I bardzo go to bawiło.



Max miał właściwie dużo szczęścia, że nikt go nie pobił. Jedyne dwóch roślących „asystentów” potencjalnego kupca chińskiej kolekcji pokazało mu jasno, gdzie jego miejsce i nieco zbyt gwałtownie wypchnęli go za bramę posesji. To, że upadł, nie było skutkiem przemocy, a jedynie nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, w którym krawędź podeszwy buta zahaczyła o jakąś nierówność podłoża. Gorzej, że waza pękła – pięć dolców przepadło... znaczy potencjalne pięć dolarów, bo handlarz starzyzną odmówił przecież zakupu prezentowanej ceramiki. Odmówił również bogaty kolekcjoner, do którego jakimś cudem udało się dostać Maxowi z nadzieją powtórki numeru Johna – zaprezentowanie fragmentu kolekcji, skasowanie zaliczki oraz zniknięcie z oczu „frajera” na zawsze. Jednak „frajerowi” wystarczyło jedno spojrzenie na rzeczoną wazę, żeby zdemaskować oszusta. Widać było, że to wytrawny gracz, zaprawiony w handlu antykami ze szczególnym uwzględnieniem umiejętności wciskania klientowi stwierdzeń typu „niepowtarzalna okazja” lub „istny rarytas”. Dlatego nic dziwnego, że wszelkich oferentów traktował tak, jakby byli oszustami. I prawie zawsze miał rację. Właściwie niezdarne próby Maxa powinny być dla niego śmieszne. I byłyby, gdyby nie związana z tym strata czasu. Dlatego jego „asystenci” byli trochę zbyt nerwowi. Max właśnie poznawał dogłębnie sens pojęcia „Mieć nóż na gardle”. Czas mijał nadspodziewanie szybko i wiele dałby za to, żeby znaleźć magiczny sposób na zatrzymanie zegarka i kalendarza. Jednak te nie chciały się zlitować. Dwie doby i sześć godzin bez trzynastu minut dzieliły go od końca okresu ultimatum.

Minęło kilka dni od pierwszej pogadanki Maksa, a on czuł się, jakby przez całe życie nic innego nie robił. Przychodził do willi zaraz po przebudzeniu, cały dzień układał swoją mowę w oparciu o jedno zdanie lub frazę ze swojej książki. Potem spędzał z ludźmi kilka godzin na rozważaniach. Odpowiadał na pytania, rozwiewał wątpliwości, czasem ganił ich lub chwalił za słowa lub czyny. I właściwie to zabierało mu lwia część jego czasu. Wracał do domu późnym wieczorem i kładł się spać, by wraz z kolejnym dniem powtórzyć cały cykl. Dodatkowo, spędzając dużo czasu z innymi zaczynał się wczuwać w ich życie i zmartwienia. Zaprzętało go zapalenie korzonków pani Magurowej, co gryzie pana Waleriana z ratlerkowatym kundlem na smyczy lub jak młody Szwajcar odnajduje się w nowym środowisku po przeprowadzce do Polski. Największą troską otaczał jednak panią Hanię wraz z Jagódką, między innymi zapewniając im najlepszy pokój w domu oraz interesując się edukacją dziewczynki. Dawna posesja Wiśnickich zaroila się ludźmi. A nowi przybywali każdego dnia, zarówno z innych miast, jak i z najbliższej okolicy. Oprócz pana Waleriana pojawiło się na kilku pogadankach dwoje starsuszków z domów za parkiem. Jednak nie byli oni wdzięcznymi słuchaczami ze względu na ciągle zasypianie, nawet podczas ożywionej dyskusji. Wystarczyło miejsce siedzące i chwila nieuwagi, a już ich powieki zamykały się w starczej drzemce. Inni jednakże z uwagą słuchali jego słów. Krótko mówiąc, wokół Maksa kształtowała się

niewielka, zróżnicowana społeczność, która dorobiła się po kilkunastu wspólnych dniach własnych zwyczajów i rytuałów.

– Gratuluję! Gratuluję za całego serca, mistrzu. – Prezes wydawnictwa pojawił się po dłuższej nieobecności i z nieskrywaną radością rejestrował wszystkie zmiany, które zachodziły w fundacji i jej siedzibie. Maks, pomimo że się również cieszył z powodzenia fundacji, to sądził, że radość prezesa budziły przede wszystkim wpłaty, których dokonywali ludzie zauroczeni książką. Pojawienie się tej myśli odnotował z dumą, ponieważ uznał to za przejaw swojej prezesowskiej dojrzałości. Postrzegał się jako kogoś, kto nie jest już nuworyszem, który da się nabrać na gładkie słowa i pochwały faceta w eleganckim garniturze oraz o chytrym spojrzeniu. Maks już zrozumiał, że stał się częścią biznesu i zaczynał ten biznes rozumieć. Domyślał się również, że jeżeli on dostaje dziesiątki tysięcy, to oni dostają wielokrotnie więcej. Tylko, kim są naprawdę ci oni?

– Dziękuję – Maks odwzajemnił uścisk dłoni oraz uśmiech. Znowu dały o sobie znać wątpliwości związane z nazwiskiem prezesa. W papiery był wpisany jakiś Manuel Borca del San Estrada, ale ten człowiek z pewnością tak się nie nazywał. – Staramy się. Prawda, panie Romanie?

Wiceprezes uśmiechnął się, potwierdzając wspólny trud. Tak, starają się i to było widać.

– Świetnie, ale trzeba bardziej... – zadumał się prezes wydawnictwa. Nastąpiła chwila ciszy nerwowego oczekiwania na dalszy ciąg myśli. – Ludzie mają czas i chęci, więc dlaczego tego nie wykorzystać i nie wciągnąć ich bardziej?

– Co pan przez to rozumie, prezesie? – zachnął się Maks.

– Muszą widzieć, że to, w co wierzą spełnia się, zbliża, realizuje – odpowiedział prezes. – No, jeszcze nie dziś, ale za dwa, trzy tygodnie znudzą się słuchaniem twoich historyjek, mistrzu. I do tego czasu trzeba dać im nową pożywkę.

Że niby teraz jest nudno – Maks wzburzył się wewnętrznie i już miał odpowiedzieć jakąś błyskotliwą ripostą, ale prezes podał mu rękę na pożegnanie i oddalił się gawędząc z panem Romanem o sprawach wydawnictwa oraz zapewne również o innych, jednak odległość skutecznie zagłuszała ich słowa.

– Ważniak – skomentował przebieg spotkania pan Czesio, który był świadkiem rozmowy. Po tych słowach oparł się o ścianę i zapalił papierosa.

– Co on sobie myśli? – zdenerwował się Maks. – Dali kilka tysięcy i już myślą, że mnie kupili? Ten biznes beze mnie nie istnieje, więc trochę więcej szacunku!

Po wygłoszeniu tak ostrej tyrady do jednoosobowego audytorium Maks zatrzasnął drzwi w gabinecie obiecując sobie przegonić dziś każdego natręta, łącznie z prezesem wydawnictwa.

– Też ważniak – mruknął ponownie pan Czesio za odchodzącym Maksem, następnie dorzucił: – I do tego naiwniak.

Maks chwilowo stracił ochotę do przygotowań swojej codziennej mowy. Tym razem nie wyjdzie do nikogo. *Niech czekają cały wieczór. Dzisiaj nie chcę nikogo oglądać* – pomyślał o zgromadzonych w sali mieszkańcach willi i zapatrzył się ponuro w zieleni ogrodu.

– Dzień dobry – staruszek wychynał z krzaków jak zwykle, czyli bezszelestnie oraz niespodziewanie i zagadał przez otwarte okno. – Miły dziś dzionek prawda, panie prezesie?

– Taki sobie – mruknął Maks.

– O, zły humorek! – Przybysz zauważył od razu rozdrażnienie Maksa. Sam wyglądał na zadowolonego z życia, co najwyraźniej uwidaczniało się w nadużywaniu zdrobnień. Uśmiech i dobry nastrój wygładziły mu bruzdy zmarszczek. – Mogę jakoś pomóc?

– Nie, dziękuję. Mam nadzieję, że przejdzie samo – wymamrotał Maks.

Starzec zaglądnął ciekawie do pokoju przez okno, jednak zgodnie z zapowiedzią z poprzedniej wizyty, ani myślał wchodzić do środka.

– A jak tam moje prośba? Widziałeś pan coś? – zapytał i wbił w Maksa pytające spojrzenie.

– Co? Prośba? Jaka prośba? Aha, postać w nocy. Nie, nie. Nic nie było. Nie widziałem – Maks przypominał sobie z trudem, o co prosił go staruszek. Ktoś się miał pojawić, coś mówić.

– Chyba nigdy się nie doczekam – jęknął mężczyzna i odsunął się nieco od okna.

Wiadomość odebrała mu całą radość, wyglądał, jakby go ktoś przed chwilą uderzył lub powiedział coś niemiłego. Twarz znowu stała się pomarszczoną maską. Nagle stracił cały humor, zgarbił się i skurczył w swoim smutku. – Nigdy...

Przez chwilę milczeli, jak na dwóch smutnych panów przystało.

– Masz pan jeszcze te papierosy? – Maks przypomniał sobie ostatnią wizytę staruszka wraz z zadymieniem całego tarasu oraz wyrażany przez wielu pogład, że palenie tytoniu uspokaja. – Zapalimy, pogadamy...

Siedli na stopniu tarasu. Po pierwszym sztachnięciu Maks ponownie w swoim życiu uznał pomysł palenia za chybiony. Z grzeczności jednak od czasu do czasu pociągał nieco dymu, uważając, żeby nie dopuścić go do płuc ani do oczu. Postanowił przycisnąć nieco nieznanego odnośnie jego tożsamości.

– To pan jesteś tym Wiśnickim, który zabił tu żonę, prawda? – zapytał prosto z mostu.

Tym razem to starzec się zakrztusił dymem i zaczął kaszleć w niebogłosy. W końcu się uspokoił i wpił baczne spojrzenie w Maksa.

– A jeśli tak, to co? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Nic. Chciałbym tylko wiedzieć – wyjaśnił Maks. – Dla mnie to jedynie ciekawa historia. Sprawa pewnie i tak jest wobec prawa oraz sądów przedawniona. Może ją wykorzystam w następnej książce.

– Bo ja... – zaczął tłumaczyć staruszek, ale w tym momencie za nimi zgrzytnęły drzwi na taras. Obaj się odwrócili, sprawdzając źródło hałasu.

W progu stał pan Czesław uśmiechając się nieco słabiej niż zwykle. Maks ze zdumieniem odkrył, że starzec jakimś cudem zdążył odejść z pola widzenia przybyłego, a do tego zdołał wcisnąć Maksowi między palce tłącego się papierosa. Innymi słowy dla pana Czesia Maks siedział na stopniach tarasu, patrzył w dal i palił dwa papierosy.

– Uuuu, tyle nikotyny na raz? Szacunek, mistrzu! Też kiedyś ciągnąłem ostrzej, ale dziś zdrowie już nie to – zagadnął, po czym dodał: – Czekają.

– Niech czekają – buńczucznie odparł mistrz, po czym wsunął do ust oba papierosy i się zaciągnął. Cuchnący dym wypełnił mu płuca, przez chwilę nie mógł złapać tchu, a potem się rozkaszał jakby dogorywał w ostatnim stadium gruźlicy. Gdy tlen ponownie dotarł do jego wnętrzości, wychrypiął: – Pierdołę, dzisiaj nie jestem w nastroju.

– Ale oni czekają – pan Czesław nalegał.

– A ja mam dzisiaj kaprys, żeby przestać być na chwilę mistrzem i po prostu sobie tu posiedzieć – wyjaśnił Maks.

– Nie znam się na tym, ale tak się chyba nie da, mistrzu – odpowiedział pan Czesio. – Już nim jesteś na stałe. A to, co powiedział dziś prezes...

– Pieprzony waśniak! – warknął Maks.

– To, co powiedział ten pieprzony waśniak, to tylko dalszy ciąg akcji marketingowej książki. Historia z książki musi się spełniać. Jeśli mamy podtrzymać życie tej historii, to ludzie powinni widzieć, że zły Perez i Satrin działają, ale i ponoszą konsekwencje, że jest Margaret i Cindy oraz Max, który walczy ze światem i z samym sobą – tłumaczył z zapalem w głosie pan Czesław, który, jak się okazało, dość dobrze orientował się w postaciach z dzieła Maksa. – To musi być realne i potwierdzać im sens ich życiowego wyboru!

– Czyli, że co? – nie rozumiał Maks.

– Czyli, że muszą przeżyć coś, co ich utwierdzi w wierze – wyjaśnił pan Czesio, wycofując się już zarówno mimiką, jak i tonem głosu do stanu idealnej obojętności i zblazowania.

– Mam jeszcze odgrywać jakąś inscenizację? – zdumiał się Maks.

– Nie, ale wydarzenia mogą się potoczyć tak, że żadna inscenizacja nie będzie potrzebna – odparł zagadką pan Czesław.

Maks wpił w jego twarz soje spojrzenie próbując odgadnąć, o co chodzi temu człowiekowi. Jednak uśmiech godny sfinksa zakrywał wszystko.

– To jak? Mają nadal czekać, czy dziś dzień wagarowicza? – zapytał ponownie pan Czesław.

– Zaraz przyjdę – westchnął Maks.



Margaret zareagowała wyjątkowo spokojnie na relację o kłopotach Maxa ze zwrotem pożyczki. Całkiem jakby niegrzeczne dziecko przyznało się po raz kolejny w swoim życiu do popełnienia jakiegoś niegodnego uczynku, a zrezygnowana mama nawet już nie ma siły, żeby je ukarać lub przynajmniej prawić kazań na temat szkodliwości jego zachowania. Margaret wzruszyła jedynie ramionami i mruknęła:

– Zdobądź tę kasę, oddaj i już.

Max spodziewał się kolejnej tyrady o nieodpowiedzialnych „wiecznych chłopcach” oraz długiej rodzinnej dyskusji, jak zdobyć brakujące kilkadziesiąt tysięcy dolarów, więc ta reakcja go całkowicie zaskoczyła, a następnie przestraszyła.

– Czy ty nie rozumiesz, że to bandyci?! – wrzasnął – Że mogą nie tylko się domagać, ale i zrobić mnie... nam coś złego?!

– Max, czego ty ode mnie oczekujesz? – jęknęła Margaret. – Rozrabiasz, a potem oczekujesz, że cię ktoś wyciągnie z kabaty za uszy. Zawsze to samo...

Max zrozumiał, że wiadomość o pożyczce była tym wybrykiem, który przelał dla niej czarę goryczy. W ich małżeństwie nie działa się dobrze od wielu lat, jednak wszelkie kryzysy przyspieszają rozwój akcji. Tak było i teraz. Wiedział, że Margaret nie jest mu w stanie realnie pomóc. Jednak ona nie tylko nie mogła, ale i nie chciała już mu pomagać. I to go zabolalo najbardziej. Został sam ze swoim kłopotem, który go przytłaczał z każdą upływającą minutą coraz bardziej. Do terminu zwrotu pozostał dzień i dwadzieścia jeden godzin.

Następnego dnia w siedzibie fundacji pojawił się niespodziewany gość.

– Staszek? – zdziwił się Maks, widząc przybyłego w progu gabinetu.

– Hej! Jak się masz, Maks? – Staszek wyciągnął rękę na przywitanie. – Ho, ho, ho! Gratulacje. Piękny gabinet, i w ogóle, cała siedziba firmy. Planowałem cię odwiedzić od kilkunastu dni, ale nie mogłem się dodzwonić pod stary numer, w domu też cię nie było. Agata podała mi ten adres.

Za plecami Staszka przeszły korytarzem młoda Szwajcarka wraz z Edytą, nastoletnią dziewczyną, która przybyła kilka dni temu do fundacji z domniemanym ojcem. Próbowały się dogadać w języku będącym mieszanką niemieckiego, angielskiego i polskiego. Mijając drzwi, ukłoniły się z szacunkiem w kierunku Maksa i podażyły w kierunku wyjścia. Staszek oglądnał się za nimi, następnie gwizdnął z uznaniem.

– No, stary! Nie tylko siedziba ci się udała, ale i personel. Mucha nie siada! Młody i do tego międzynarodowy – zachwycił się.

– Wejdz, wejdz – Maks wciągnął go do gabinetu i starannie zamknął drzwi, uprzednio rozglądając się, jakby sprawdzając, czy nikt się nie czai na korytarzu.

– Pan prezes i autor w jednej osobie. Pogratulować! I pomyśleć, że jeszcze kilkanaście tygodni temu...

- Tak, tak. Udało się niejedno zmienić - Maks uciął te zachwyty. - Z czym przychodzisz?

Przez twarz Staszka przebiegł cień. Widział, że jego kolega nie wita go z dawną serdecznością.

- Na początku chciałem tylko pogadać, zobaczyć co nowego u ciebie. Jednak odwiedziłem Agatę i ona mi powiedziała, właściwie wyplakała, że jesteście pokłóceni. Podobno to nowe zajęcie tak cię absorbuje, że wieszcznie nie ma cię w domu. I Basia taka smutna... - Staszek popatrzył na twarz przyjaciela, być może oczekując wyjaśnień, ale Maks nie kwapił się do nich.

- Babskie fochy - mruknął jedynie. - Siedzę bezproduktywnie w domu - źle, zarabiam i wspinam się po szczeblach kariery - też źle. Coś trzeba przecież wybrać.

- Jasne, jasne. Też to przechodziłem. - Staszek był rozwodnikiem i wiedział niejedno o koncepcji *idealnego mężczyzny*, która tkwi w głowach kobiet. Skazując je oraz ich partnerów na wieczny stan frustracji oraz niespełnienia we wszystkich fazach związków. - Tylko, że... ona cię kocha. Cierpi nie dlatego, że tobie jest lepiej. Mam wrażenie, że ona nie może pojąć, co się między wami dzieje. Potrzebuje wyjaśnień, zrozumienia, no i choć trochę czasu na bycie razem. Tak myślę, chociaż zupełnie się na tym nie znam. Zresztą, znasz moje kwalifikacje do małżeństwa i babskich rozważań.

Obaj zaśmiali się wymuszenie z tego niby-dowcipu. Następnie zapadła dłuższa, ocierająca się o niezręczność cisza.

- Tak - przerwał ją Maks. - To może ci pokażę budynek i ogród.

- Super! - zachwycił się Staszek.

Humory im powróciły, gdy tylko zeszli na bezpieczny grunt rozmów o rzeczach materialnych. Gdy mężczyzna zaczyna z mężczyzną rozmawiać o uczuciach, wtedy zazwyczaj czują się bardzo niepewnie. A oglądanie budynku było jak koło ratunkowe rzucone na oceanie ckliwych, niemęskich rozważań.

Wyszli przez drzwi na taras, następnie zeszli na trawnik.

- Ogród - Maks wskazał ręką zieleń. - A w ogrodzie buszuje sfrustrowany starzec-zabójca, czekając na pojawienie się ducha zamordowanej przez niego żony.

Znowu się zaśmiali. Maks ze swojej absurdalnej sytuacji, gdzie spotyka się z kaszlącym stulatkiem mordercą, natomiast Staszek z surrealistycznego dowcipu kolegi.

- A wiesz, że zacząłem czytać twoją książkę? - poinformował go niespodziewanie Staszek. Maks zastygł na ułamek sekundy w zdumieniu. Przyjaciel dotychczas niczego z jego literatury nie przeczytał. Dlaczego musiał wpaść na ten pomysł akurat przy ostatniej książce?

- Serio? I co? - odpowiedział Maks, a Staszek z wyraźnym zdumieniem stwierdził, że w głosie przyjaciela zdrzła nutka strachu. Niby mężczyźni nie znają się na uczuciach, ale wyjątkiem są strach, radość oraz złość, czyli te reakcje wewnętrzne, które są potrzebne i używane w kontaktach z innymi samcami.

- Jest całkiem niezła. Przeszedłem dopiero kilkanaście stron - odpowiedział Staszek. - Zresztą byłem już trochę uprzedzony po tym, jak mi opowiadałeś, więc nie ma efektu zaskoczenia.

- A jak ją zdobyłeś? Bo przecież nie ode mnie - drażył Maks.

– Kolega z pracy wspomniał o niej, a ja się przyznałem, że cię znam. No, to podesłał mi plik... Chyba nie masz mi za złe, że wydrukowałem *pirata*? – Staszek zreflektował się, że przyznał się do posiadania kopii, której nie kupił.

– Nie, nie. Daj spokój. Czytaj na zdrowie – uspokoił go Maks. – A ten kolega skąd ją ma?

– Nie wiem. To raczej sknera, więc pewnie też mu ktoś dał – odpowiedział niepewnym głosem Staszek, czując się po swoim wyznaniu trochę jak członek gangu okradającego bezbronnych pisarzy. Ale Maks nie zważał na informacje finansowe. Zdziwiło go, że książka została rozpuszczona tak szeroko i dociera w najbardziej nieoczekiwane miejsca.

Wędrowali dalej po ogrodzie. Maks opowiadał historię Wiśnickich oraz dzieje willi wraz ze sfrustrowanymi scenarzystami, jak również o prezesie hurtowni zabawek. Po chwili doszli na drugą stronę budynku. W tym momencie zza rogu wyłonił się pan Magura z trzema synami, Szwajcarem oraz panem Henrykiem. Wszyscy mieli ponure, zacięte miny. Magura dzierżył w rękę solidny kij.

– Mistrzu, mamy go przepędzić? – bardziej stwierdził niż spytał stary Magura i stuknął trzymanym drągiem w ziemię.

– Ależ panowie, jestem przyjacielem pana prezesa. Co wam przyszło do głowy? – zaczął się bronić Staszek, jednak Magura bezceremonialnie mu przerwał:

– Wiemy kim jesteś, bandyto. Mistrzu, mamy go złoic i wypędzić gdzie pieprz rośnie? – odezwał się ponownie do Maksa.

Maks milczał dłuższą chwilę, ale nie było to milczenie pełne zaskoczenia lub strachu, lecz bardziej spokój właściciela trzymającego swoje ujadające ogary na smyczy. W każdej chwili może je spuścić, a wtedy...

– Maks. Powiedz im, że się znamy od dawna, że jestem twoim kumplem. Przecież ty tu chyba rządysz? – Staszek zwrócił się ze zdezorientowaną miną w stronę Maksa. Ten jednak nadal milczał. – Co jest, zapomniałeś języka w gębie?

– Tak, tak, oczywiście – Maks sprawiał wrażenie, jakby dopiero teraz zrozumiał sytuację i się zreflektował, że powinien stanąć w obronie kolegi. – Odejdźcie ludzie, odejdźcie. Sytuacja jest pod kontrolą. Pokój wam.

– Pokój ci, mistrzu – ukłonili się i wycofali za róg domu, co rusz rzucając za siebie wrogie spojrzenia.

– Co tu się wyprawia?! – wrzasnął Staszek, gdy tylko napastnicy zniknęli im z oczu. – Co to za typy? To twoi ludzie? Czemu im nie wyjaśniłeś, że jestem dla was gościem, tylko jakies *pokój wam*? Oni mnie z kimś mylą, czy jak?

– Słuchaj. Chyba lepiej, żebyś poszedł. Pogadam z nimi, uspokoję i jeszcze się kiedyś spotkamy. Postaram się mieć włączoną komórkę i spikniemy się telefonicznie. Zresztą, jakby co, to zazwyczaj wieczorami jestem w domu – Maks tłumaczył przyjacielowi, odprowadzając jednocześnie do furtki. Wiedział, że obserwuje ich wiele par oczu. Nie mógł powiedzieć ani jednego fałszywego słowa.

Staszek słuchał tego zdumiony. W końcu dał się wyprowadzić, podał rękę Maksowi, odwrócił się na pięcie i odszedł szybkim krokiem nie mogąc wyjść z podziwu nad tym co

go właśnie spotkało. Maks stał przy wjeździe na teren posesji i patrzył za oddalającym się przyjacielem.

– Może i tak lepiej – mruknął w końcu.

– Mistrzu, nic panu nie jest – pani Hania i Edyta podeszły do niego i wpatrywały w swojego mistrza z troską w spojrzeniu. Za chwilę pojawili się również mężczyźni.

– Nie, nic – mruknął pod nosem Maks. Jednak po chwili podniósł wzrok i donośnym głosem objaśnił: – Trzeba wejść nieraz między nieprzyjaciół, aby sprawiedliwości doświadczyć. Pokój wam.

– Pokój! – mruknął chór głosów. Ludzie grupami wracali do budynku. Jedyne Maks został przy furcie i patrzył na pustą ulicę. Staszek już poszedł, ale jeszcze można by go było dogonić, wytłumaczyć, pogadać. Jeszcze by było można.

– Może i tak lepiej – ponownie westchnął Maks i powrócił do budynku.



Godziny mijały, a Max w gorączce poszukiwał jakiegokolwiek źródła gotówki miotał się pomiędzy różnorodnymi pomysłami. Ich wspólnym mianownikiem był brak realnego planu działania oraz ocena sytuacji, która całkowicie nie przystawała do rzeczywistości. Spróbował szczęścia z pożyczką w oficjalnej instytucji finansowej, ale tam odpadł już w pierwszym etapie oceny kredytowej. Następnie zaczął przypominać sobie wszelkich napotkanych w życiu ludzi, którzy skłonni by byli wspomóc go finansowo. Lista była tragicznie krótka, a po weryfikacji w oparciu o stopień łączącej ich zażyłości i zaufania, skurczyła się do jednej pozycji – Stan. Jednak wspomnienie starego przyjaciela zaciągnęło czoło Maxa determinacją, żeby obyć się bez tego źródła pomocy. Kiedyś już pożyczył od niego pieniądze i nie skończyło się to dobrze.

Do upływu terminu ultimatum pozostawała tylko doba.

Od wizyty Staszka upłynęło kilka dni. Maks nie uczynił od tego momentu nic, co by pozwoliło wyjaśnić przyjacielowi dziwne zajście. Co więcej, Maks postanowił się z nim więcej nie kontaktować, żeby nie prowokować kolejnych tego typu wydarzeń. W domu opowiedział o wizycie, pomijając oczywiście jej ostatnią fazę i ich pospieszne pożegnanie. Agata nie pytała o szczegóły. Ich kontakty od momentu pamiętnej nocy z trzynastoma nieodebranymi połączeniami stały się napięte. Rozładowaniu emocji nie sprzyjała również nikła ilość czasu spędzanego przez Maksa w domu. Kiedyś siedział zamknięty długie godziny w swojej pracowni, a teraz wychodził na całe dni do pracy. W obu przypadkach był nieobecny w życiu rodzinnym, jednak z dwójga złego Agata wolała go za ścianą, niż w tym dziwnym dworku. Bo trzeba nadmienić, że pomimo braku oficjalnych odwiedzin w miejscu pracy, nie omieszkała sprawdzić, gdzie jej mąż przebywa i co daje mu zajęcie na tyle godzin. Widziała kręcących się na terenie posiadłości ludzi, również kobiety, o których Maks nie wspomniał dotąd ani słowem. Innymi słowy niechęć Maksa do dzielenia się wrażeniami ze swojej działalności stworzyła wraz z uzyskanymi przez Agatę informacjami niepokojącą mieszaninę podejrzeń, wściekłości i żalu. Jednak trzeba uczciwie przyznać, że ich finansowa sytuacja uległa znacznej poprawie. Maks zainkasował już spore kwoty, a dostał informacje o następnych płynących tysiącach. Jednak niesprawdzone źródło dochodów zaczynało go bardzo niepokoić. *Jak to wszystko działa?* – ta myśl nie dawała mu spokoju od wielu dni, a podsyciła ją dodatkowo informacja od Staszka o dostępności książki kręgach, które można by skrótkowo określić jako kompletnie aliterackie. Maks surfował również ostatnio po internecie w poszukiwaniu możliwości nabycia swojej książki. Zgodnie z zapowiedzią prezesa, nie znalazł żadnej oferty w zwykłej księgarni, jednakże wpisując hasła powiązane z napisaną powieścią, natknął się na kilka linków sugerujących, że osobę wchodzącą na tę stronę czeka nowe, wspaniałe życie. Gdzieś padła nazwa jego fundacji. Natknął się również na parę opinii, że jego literatura odmieniła wielu ludziom spojrzenie na życie. System marketingu i promocji działał, tylko Maks nie wiedział, jak jest zorganizowany oraz w jakim stopniu on sam może ponosić odpowiedzialność w przypadku ewentualnych problemów prawnych. Coraz

mocniej dojrzewało w nim postanowienie przejęcia większej kontroli nad fundacją i jej działaniami. Tylko jak to zrobić? Był dotychczas jedynie bezwolnym figurantem.

– Basię boli brzuch – Agata przerwała jego wieczorne dywagacje.

– Coś poważnego? – Maks ocknął się z rozmyślań.

– Nie wiem. Dałam jej krople żołądkowe, ale... – rozmowę przerwał dźwięk telefonu wibrującego w kieszeni Maksa. Numer pana Romana.

– Tak? – Maks był zdumiony nieoczekiwaną rozmową, bo pan Roman rozmawiał z nim dotąd jedynie w willi, podczas godzin pracy.

– Mistrzu, jest problem – wydyszał mu w ucho wiceprezes. – Jagódka zachorowała.

– Hm, no cóż... – zasepił się Maks. – Co ja mogę zrobić? Lekarza wezwijcie.

– Pani Hanna mówi, że tylko tobie ufa, mistrzu. Ona wierzy, że możesz ją wyleczyć – zakomunikował poważnym tonem pan Roman.

– To jakiś nonsens! – zdenerwował się Maks. Następnie ściszył głos, żeby Agata go nie usłyszała. – Cieszę się, że pani Hania ma o mnie tak dobre mniemanie, ale ja nie jestem lekarzem.

– Ona chce tylko ciebie, mistrzu. A jeśli to coś poważnego? – nacisnął pan Roman.

– Ale co ja mogę? Jak coś poważnego, to i tak ją musimy zawieźć do szpitala – ciągnął Maks.

– Przyjeżdż, mistrzu. Prosimy! – prosił Roman, choć ton jego głosu sugerował, że nie da się odrzucić tej propozycji.

– No dobrze, będę – Maks zaczął się zbierać do wyjścia. Po chwili pożegnał oniemiałą ze zdziwienia Agatę. Jeszcze nigdy nie wyszedł do pracy wieczorem.

Przy chorym dziecku zebrało się już kilkoro ludzi. Otaczali łóżko dziewczynki nie zamieniając ze sobą ani słowa. Posępną ciszę potęgowały tylko ciche pojękiwania i szlochy Jagódki.

– Mistrzu, jesteś! – pani Hania rzuciła się ku Maksowi. – Ratuj dziecko.

– Ale... – chciał zaproponować Maks. Jechał tu z zamiarem wyjaśnienia, że nie jest lekarzem, a jego jedynym zaleceniem jest wezwanie prawdziwego medyka. Nie dali mu jednak dokończyć myśli. Grupa się rozstała i, chcąc nie chcąc, nie miał innej drogi niż ta w stronę łóżka.

– Jak się czujesz Jagódko? – spytał.

– Niezbyt dobrze – jęknęła dziewczynka. Wskazał żołądek. – Tu mnie boli.

– Będzie dobrze – pocieszył ją i chwycił za rękę. Dziewczynka zacisnęła swoją małą piąstkę na jego palcach i uśmiechnęła się.

– Już mi lepiej, kiedy tu jesteś – szepnęła.

Po kilkudziesięciu minutach bóle przeszły. Maks przez cały ten czas trzymał Jagódkę za rękę, modląc się, żeby to nie było nic poważnego, bo w przeciwnym wypadku będzie współwinny zaniedbania i braku pomocy lekarskiej. Jednak niespodziewany atak bóleści minął, a dziecko zasnęło szczęśliwe, choć wyczerpane walką z bólem. Wszyscy zebrani patrzyli na Maksa z podziwem.

– Dziękuję, że ją uzdrowiłeś – załkała pani Hanna i upadła do jego stóp.

– Przecież nic nie zrobiłem – tłumaczył Maks, ale ona wiedziała swoje. Nadal płakała z radości i wszystkim powtarzała, że są pod jednym dachem z uzdrowicielem. Ludzie

patrzyli na niego z podziwem. Nawet pan Roman porzucił swój kpiący wyraz twarzy i kiwał głową z uznaniem. Maks wiedział doskonale, że nikogo nie wyleczył. Po prostu dziecko się źle poczuło żołądkowo i wyzdrowiałoby bez niczyjej interwencji. Wiedział to, ale... jednocześnie był z siebie dumny. Nie umiał dokładnie określić z czego, jednak czuł się jakby czegoś dokonał.

Kiedy sięgnął po telefon wyciszony na czas spotkania z Jagódką zobaczył, że ma wiele nieodebranych połączeń od Agaty. Również poczta głosowa zgłaszała kilka nagrań. Przyłożył telefon do ucha i aż podskoczył na dźwięk informacji wykrzyczanych historycznie przez Agatę. Basia została odwieziona do szpitala.

– Dlaczego nie odbierałeś? Dlaczego nas zostawiłeś? – wrzasnęła mu w twarz na szpitalnym korytarzu. – Jak można wyjść z domu w takiej chwili i nawet się nie zainteresować co z dzieckiem?

– Ależ Agatko, ja tylko... – zaczął się tłumaczyć. Po wyrazie jej twarzy poznał jednak, że to bezcelowe. Nie zainteresowała go informacja o złym samopoczuciu córki, opuścił rodzinę w potrzebie, nie odbierał alarmujących telefonów, więc teraz może się tłumaczyć do samej śmierci. Nie na wiele się to zda. Cóż zresztą miałby powiedzieć? Że uzdrawiał inną dziewczynkę? Albo, że chętniej poszedł tam, gdzie go szanują i kochają, zamiast zostać z rodziną?

Basia miała atak wyrostka robaczkowego i kiedy Maks przyjechał do szpitala, trwał już zabieg. Podobno łatwy i rutynowy. Po nerwowej wymianie zdań oboje rodzice zasiedli pod wejściem na oddział chirurgiczny w oczekiwaniu na wynik operacji. Agata cały czas płakała, rzucając od czasu do czasu oskarżycielskie spojrzenia na Maksa. Natomiast jemu po kilku minutach wstydu przyszły do głowy inne myśli. Zaczynał nabierać pewności, że w ten sposób znowu dostał znak od Boga. Jego kroki skierowano w godzinie próby tam, gdzie trzeba. I może to nie wygląda teraz dobrze, wręcz haniebnie, jednak święcie wierzył, że nie bez powodu był z Jagódką oraz innymi ludźmi w willi, a nie z Agatą i Basią. Potem przyszło mu na myśl, że one też nie są bez winy. Przecież napisał tę książkę, opisał wszystko i dokładnie wie jakie są. Oczywiście to się jeszcze nie stało, jeszcze nie odkryły kart, udając biedne i pokrzywdzone, ale on wiedział swoje.



Zrozumiał, że teraz musi dotrzeć do Johna. Ostatnich kilka godzin uświadomiło mu jak trudno zdobyć bezpieczne pieniądze, czyli takie, za które nikt go nie będzie ścigał, groził śmiercią lub więzieniem. Coraz wyraźniej docierało do niego, że to, co go teraz spotyka, jest swego rodzaju miernikiem jego życiowych dokonań. Przez wiele lat izolował się od problemów innych ludzi, a teraz nie miał się do kogo zwrócić ze swoimi. Tak, musi znaleźć Johna i wyrwać mu te pieniądze, choćby i miał go zabić. Taka myśl kielkowała w głowie Maxa od wczoraj, czyli od momentu, gdy zdał sobie ostatecznie sprawę, że nie uda mu się „wykombinować” brakujących dwudziestu pięciu tysięcy. Licznik upływających minut do końca ultimatum cykał coraz natarczywiej. Jedyńm punktem gdzie miał nadzieję trafić na trop antykwariusza była chińska jadłodajnia, przy której zauważył przechodzących ludzi z pierwszego przekrętu – Chińczyka oraz starszego, smutnego pana. Postanowił się tam zacząć i liczyć na spotkanie z nimi. Jeżeli byli w znowie, to on już wydusi z nich miejsce pobytu byłego kolegi.

Operacja się udała. Basia miała zostać kilka dni w szpitalu. Atmosfera w domu się uspokoiła. Maks wytłumaczył jakoś swój brak reakcji na telefony ze szpitala, Agata przyznała, że trochę przesadziła z oskarżeniami. Jednak procesy myślowe raz puszczane w ruch nie zatrzymują się tak łatwo. Maks oficjalnie przepędził z głowy złe myśli o swojej żonie i córce, ale nie mógł oprzeć się wrażeniu, że obrót spraw przyjął już pewien kierunek. I on ten kierunek znał. Opisał go w swojej książce. A skoro wielu ludzi wierzy w tę książkę jako źródło wiedzy nadprzyrodzonej, to czemu i on nie miałby ufać jej choć trochę?

Basię w szpitalu odwiedził również Staszek. Przyniósł zabawkę i czekoladę. Słodcyce były chwilowo zabronione, więc zostały schowane na później, ale pluszowy słoń bardzo się dziewczynce spodobał. Natomiast Maksowi się ta wizyta wcale nie spodobała. Pomimo, że przywitali się równie serdecznie jak kiedyś, to można było wyczuć powiew chłodu w ich relacjach. Staszek pamiętał jeszcze finał wizyty w siedzibie fundacji kilka dni wcześniej. A Maks, widząc uśmiechy i prezenty, stwierdził w myślach, że jego przyjaciel pragnie się wkraść w łaski Agaty i Basi. Jednak nie miał oficjalnie żadnego powodu, żeby cokolwiek zarzucić koledze. Wszak nie zrobił on nic złego.

– Jeszcze nic nie zrobił– dodawał po cichu Maks, by zaraz potem skarcić samego siebie za te słowa i nieuzasadnione podejrzenia.

Tymczasem jego pozycja w willi wzrosła niepomieranie. O ile był wcześniej dla pani Hani niekwestionowanym autorytetem, o tyle teraz, po uzdrowieniu jej córki, uznała go za pomazańca boskiego. Przy każdej okazji mówiła o jego niezwykłej mocy i zbawiennym wpływie na cały świat. Mieszkająca w willi grupa ludzi skwapliwie podchwyciła tę tezę – znaleźli się pod jednym dachem ze świętym mężem. Maks próbował przez chwilę tłumaczyć, że nie miał żadnego wpływu na samopoczucie Jagódki, ale dał spokój widząc, że nie przyjmują tego do wiadomości. Poza tym słowa wypowiedziane wiele razy mają właściwość samospełniającej się przepowiedni. Skoro ktoś twierdzi, że drugi ma

moc uzdrawiania i wszyscy to potwierdzają, to znaczy, że może tamten ją rzeczywiście posiada. A jedynie skromność i brak wiary w siebie nie pozwalają mu tego dostrzec. W wyniku tej interakcji mistrza z otoczeniem została nakręcona spirala dziwnych sądów i opinii, całkowicie oderwanych od rzeczywistości. Jednak w efekcie opisanych wydarzeń grupa stała się bardziej zwarta i skupiona wokół niego.

– I o to chodzi, mistrzu! – pochwalił go prezes wydawnictwa podczas kolejnych odwiedzin w willi. – Nie tylko słowa, ale i czyny. Ludzie to kupują. To się nazywa promocja!

Zachwył prezesa był poparty przelewem kolejnych kilkudziesięciu tysięcy na konto Maksa. Można było stwierdzić już z dużym prawdopodobieństwem, że stał się on jednym z najlepiej zarabiających pisarzy w kraju. Zaledwie w kilka tygodni od wydania książki na jego konto trafiło prawie dwieście tysięcy złotych. A przecież tak naprawdę nadal był nieznaną w księgarniach i bibliotekach. Plik kartek w żółtej oprawie krążył po kraju i poza jego granicami, przekazywany z rąk do rąk powiększał grupę ludzi, którzy zauroczeni historią Maxa z Nowego Jorku planowali zmienić coś w swoim życiu, a czasem całe życie. Codzienne popołudniowe spotkania stały się żelaznym punktem dnia, na którym pojawiała się coraz więcej ludzi. Oprócz przebywających w siedzibie fundacji na stałe w ostatnich dniach zaczęły tam bywać regularnie osoby z zewnątrz. Nieznajomi przychodzili, zadawali pytania, notowali co cenniejsze sentencje, a nawet nagrywali na dyktafon jego wynurzenia. Często na końcu robili sobie z nim wspólne zdjęcie. Maks odnosił wrażenie, że w wielu przypadkach są to ludzie przysłani przez wydawnictwo, żeby go sprawdzać lub nauczyć się propagować jego idee dalej. A cóż to były za idee? Przez ostatnich kilka tygodni nauczył się wręcz perfekcyjnie omawiać swój tekst. Wyciągał z całej książki jakiś fragment, skupiał się w nim na jednym zdaniu, co najwyżej na akapicie. A następnie rozwijał zawartą tam myśl. Im krótsza sentencja, tym łatwiej o jej interpretację. Maks miał coraz silniejsze wrażenie, że może zgromadzonym przy nim ludziom powiedzieć wszystko. Wszystko da się przedstawić w dowolnym świetle. A oni i tak będą słuchać i wierzyć, że jego słowa są święte. Bo zarówno nabożne skupienie słuchaczy, jak i niedawne uzdrowienie Jagódki wraz z postawą pani Hani utwierdzały go w silnym przekonaniu, że cokolwiek napisze lub powie jest niemal prawdą objawioną.

Pokoje w willi zostały już w pełni zasiedlone przybyszami. Działała wspólna kuchnia, pan Czesław zorganizował dyżury wraz z obowiązującym rygorystycznie grafikiem i nawet młoda Szwajcarka wraz z Edytą zostały bezceremonialnie zagonione do sprzątania, obierania ziemniaków i gotowania wspólnych posiłków. Zresztą nie miały z tym najmniejszego kłopotu, bo młodzi Magurowie chętnie sami daliby się obrać ze skóry i ugotować, byle być blisko willowych piękności. Tym samym chłopcy wykonywali wszelkie prace za swoje koleżanki, ku wyraźnemu niezadowoleniu starego Magury, który prezentował tradycyjny pogląd na podział ról według płci. Dziewczyny w podzięce za pomoc śmiały się z grubiańskich dowcipów młodzieńców i dawały im cię nadziei na coś więcej niż tylko wspólne kucharzenie.

Zwiększenie ilości ludzi na metr kwadratowy nie dotyczyło Maksa. On nadal miał swój rozległy gabinet z tarasem wychodzącym na gęstwinę ogrodu. W swoim azylu ciężko pracował nad nowymi dziełami oraz przygotowywaniem kolejnych filozoficznych

pogadankę. Tak przynajmniej się działo według głoszonej wobec siebie i innych propagandy, która co prawda nie miała z prawdą wiele wspólnego. Jednak zgodnie z dobrymi, goebbelsowskimi wzorcami kształtowania rzeczywistości, była rozsiewana wśród domowników Willi bez mrugnienia okiem.

– Dzień dobry panie prezesie – staruszek tradycyjnie pojawił się *znikąd*, zupełnie jakby nie obowiązywały go prawa fizyki oraz standardowa prędkość poruszania się seniorów po nierównym terenie zielonym. – Widzę, że interes się rozrasta jak na drożdżach. Nawet za najlepszych lat domu pracy twórczej dla scenarzystów nie kręciło się tu tylu ludzi. A do tego mnóstwo młodzieży. Gratuluję serdecznie!

– Dziękuję, choć powiem szczerze, że ten sukces przyszedł dość niespodziewanie – odparł Maks.

– Tak, jak jest biednie, to człowiek przynajmniej wie co robić. I spokojnie ponarzekać można. A jak się polepszy, to i kłopoty przychodzą, zazdrość ludzka, i nawet zwalić winy nie ma na kogo, bo się ma to, o co się wcześniej prosiło.

Wiekowy gość sprawiał wrażenie osoby, która zna się na rzeczy i przemawia z pozycji doświadczonego życiowo wyjadacza.

– Czyli lepiej nie odnieść sukcesu? – zaciekawiał się Maks. Starzec wzruszył ramionami dając do zrozumienia, że w historii ludzkości dotychczas nie znalazł się taki mądry, który by odpowiedział na to pytanie ze stuprocentową pewnością.

– A moja prośba. Zaobserwował pan coś? Widział ją pan może? – przybysz zmienił temat.

– Hm, no... tak – Maks przypomniał sobie o obiecanej gościowi czujności wobec wszelkich zjaw i pojawiających się nieoczekiwanie wewnątrz budynku postaci. Postanowił powiedzieć coś na odczepnego. Nie będzie przecież polować na jakieś duchy o północy. Dlatego dodał dużo pewniejszym tonem: – Tak, ktoś się tu pojawia, ale nie przemówił jeszcze.

Staruszek wlepił w Maksa wzrok pełen napięcia, wręcz niedowierzania.

– Ale... jest, przychodzi? Tak? – upewniał się.

– Tak, oczywiście – zapewniał Maks już z całkowitą swobodą, której się nauczył podczas ostatnich tygodni bycia mesjaszem. – Piękna, zwiewna i płochliwa. Znika przy najlżejszym szmerze.

Zapadła długa cisza. W końcu przybysz z ogrodu opadł na płyty tarasu i jęknął:

– Boże, tyle lat czekałem. Jak to dobrze, że pana tu spotkałem. – Następnie odwrócił się do Maksa, zmarszczył brwi i odezwał się stanowczym tonem: – Obiecuj mi pan, że jak tylko coś powie lub da jakiś znak, to mi pan powiesz.

– Obiecuję – przyrzekł Maks.

– Dziękuję, z całego serca dziękuję – mruknął starzec wyraźnie wzruszony, po czym wstał i zniknął w krzakach.

Maks patrzył na gałęzie kołyszące się jeszcze za gościem, który tak niespodziewanie uciał swój pobyt na tarasie u prezesa. Miał przeczucie, że stało się coś ważnego, ale nie był w stanie określić co. Może uderzyła go informacja, że to, co powiedział ot tak, od niechcenia, było dla staruszka tak ważne, iż odnosi się wrażenie, jakby ten człowiek czekał na jego słowa całe życie. Z drugiej strony Maks niemal się zachwycił swoją

zadziwiająco łatwością kłamania. Ktoś coś chce usłyszeć, więc trzeba mu to powiedzieć i już. Kiedyś, jeszcze całkiem niedawno, ogarnęłyby go rozterki, być może pobiegłby w krzaki za Wiśnickim wyjaśniać całą sytuację. Teraz nawet przez myśl mu to nie przeszło. Maks czuł, że przez ostatnie tygodnie stał się innym człowiekiem.

– Mistrzu, spotkanie dziś o zwykłej porze? – pan Czesio zagadał pilnując ustalonego grafiku aktywności.

– Tak, oczywiście – potwierdził Maks. – Wszystko już przygotowałem.

To również nie była prawda, bo nawet nie wybrał motywu przewodniego swojego wystąpienia. Jednak jak już wspomniano, Maks stał się coraz wprawniejszy w mówieniu nieprawdy lub przynajmniej niecałej prawdy i odkrywał w całej rozciągłości korzyści, jakie daje taka postawa życiowa.



Dwa razy wydawało mu się, że widzi na ulicy Chińczyka grającego w oszustwie rolę milionera. Jednak, gdy tylko go doganiał, orientował się, że to obca osoba. Niestety, ani w przeszłości, ani obecnie nie miał skośnookich znajomych, więc nie był wyczulony na różnice w rysach twarzy ludzi pochodzących z Azji. Podobno Chińczyk, Japończyk i Wietnamczyk są od siebie tak różni, jak w Europie Hiszpan, Turek i Norweg. Niestety Max tych różnic nie wyczuwał i teraz sterczał w brudnym zaułku koło chińskiego baru, gdzie kilka dni temu wydawało mu się, że widzi ludzi z pierwszego oszustwa. Stał tam zdenerwowany, próbując wyłuskać z przelewającego się tłumem znajomą twarz. Gryzł wargi aż do krwi z bezsilnej wściekłości. Jak można się tak dać załatwić? Jak można było być takim frajerem? – pytania przetaczały mu się przez głowę jak gradowa burza – głośnie i niszczycielskie. Niszczyły nie tylko jego spokój i dobre mniemanie o sobie, ale również umiejętność logicznego myślenia. A to było mu bardzo potrzebne, bo przecież znalezienie świadków pierwszego numeru to jedynie jeden z wielu kroków prowadzących do odzyskania pieniędzy. Co robi, kiedy zobaczy któregoś z nich? Trzeba się opanować i spokojnie wykorzystać szansę na wykaraskanie z tarapatów, być może ostatnią. Nagle od stóp do głowy przeszył go lodowaty dreszcz emocji. Jest! Ulicą szedł starszy jegomość, którego poznał jakiś czas temu jako zmartwionego sprzedawcę staroegipskiej szkatuły. Max wyszedł z bramy i poszedł kilka metrów za zauważonym przechodniem. Wiedział, że nie może go stracić z oczu. Plan zdobycia informacji o kulisach organizacji oszustwa przez Johna powoli się krystalizował.

Maks spędzał coraz więcej czasu poza domem. Wiązało się to oczywiście z jego obowiązkami i pozycją wśród mieszkańców willi. Jednak nie mniej ważnym powodem była dość ponura atmosfera panująca w rodzinie. Agata nie wracała do sprawy operacji, ale jej wymowne spojrzenia oraz mowa ciała dawały do zrozumienia, że nadal ma do Maksa pretensje za jego zachowanie. Dodatkowo było widać, że jest nieco zagubiona w nowej sytuacji. Maks wcześniej był ciężarem dla rodziny, swego rodzaju słodkim nieudacznikiem, który co prawda nie zarabiał, ale i zbyt nie rozrabiał, dając się łatwo kochać taki, jaki jest – niezaradny i zagubiony w nowoczesnym świecie, wiecznie zaabsorbowany właśnie tworzona oraz nikomu niepotrzebna do szczęścia powieścią. W obecnej sytuacji nie dało się ukryć, że jego pozycja się zmieniła – w ostatnich miesiącach stał się dobrze zarabiającym, samodzielnym mężczyzną, który jednakże znika na całe dni z domu. Co prawda, przynosił niemałe pieniądze, ale właściwie nie było wiadomo co w czasie tej nieobecności robi. A to męczyło Agatę dużo mocniej niż poprzedni stan. Z coraz większą mocą przekonywała się, że bogactwo to nie wszystko. Dotychczas to ona dawała mu oparcie i w zamian za to знаła na wylot jego nudne życie, jak również mogła liczyć ze strony Maksa na ciepło i lojalność. Ze strony Maksa również pojawiało się mnóstwo nowych, dotychczas nieznanych uczuć. Po pierwsze posmakował sukcesu i władzy, więc wracając w domowe pielesze coraz trudniej przychodziło mu wejście w dawną rolę rozkojarzonego męża-pisarzyny. Poza domem tłumy słuchały go z

zapartym tchem, był wielbiony i do tego dobrze opłacany. Po przekroczeniu progu swojego mieszkania przywdziewał nadal strój dawnego Maksa, który z dnia na dzień stawał się coraz ciasniejszy. Był zmuszany do tego, co wcześniej zdawało się naturalnym życiem rodzinnym – do wysłuchiwania miałych plotek o rodzinie lub biurowych koleżankach Agaty oraz ciągłych uwag o konieczności posiadania solidnego zawodu, który dawałby im pewność egzystencji. Teraz strasznie go to wkurzało. Zarobił ostatnio mnóstwo pieniędzy na historii Maxa z Nowego Jorku, został prezesem i mistrzem, a teoretycznie najbliższa osoba ciągle widzi go jako kogoś, kto sobie nie radzi. Decyzja o zatajeniu swojej funkcji prezesa fundacji *Zmień swoje życie*, początkowo wydająca się logiczną, stała się w chwili obecnej dużym balastem, ponieważ w sprawie fundacji nic się nie wyjaśniało. Jego rola była nadal niezdefiniowana, a postanowienie *ogarnięcia się*, zdobycia informacji oraz kontroli pozostało niespełnione. Dlatego czuł się on coraz gorzej trwając w postanowieniu wyjawienia całej prawdy o swojej pracy w terminie późniejszym.

Do tego wszystkiego dochodził Staszek. Maks wracając do domu wielokrotnie słyszał, że ten ich odwiedził lub telefonował. Co prawda zawsze padało sakramentalne stwierdzenie, że *pytał się o ciebie i obiecał jeszcze zadzwonić*. Jednak Maks nie mógł pozbyć się wrażenia, że przyjaciel chce być z Agatą i Basią, traktując kontakt ze swoim kolegą tylko jako pretekst. Zresztą natrętna myśl, która naszła go w szpitalnej poczekalni nie chciała zniknąć. Mówiła ona wyraźnie, że Maks zna prawdziwe intencje Staszka, opisał je już w książce, a teraz powinien się przed nimi bronić. W obliczu opisanych faktów nie można się dziwić, że pożycie intymne pomiędzy Agatą a Maksem wygasło niemal zupełnie. Kiedyś regułą było, że Maks kładł się spać późno w nocy, a Agata, mimo to, często na niego czekała. Teraz kładli się spać o podobnej godzinie i trwali tak przed zaśnięciem obok siebie w ponurej, nocnej ciszy.

Maks coraz więcej czasu poświęcał na rozmyślenia nad sposobem dojścia do wiedzy, kto tak naprawdę rządzi w Wydawnictwie Z1, a tym samym i w jego fundacji. Manuel Borca del San Estrada – prezes wpisany w oficjalne dokumenty, byłby się stał może jakimś na poły legendarnym, na poły komicznym symbolem obecnej dziwnej sytuacji, gdyby nie to, że od rozwiązania tej zagadki zależało prawdopodobnie dalsze powodzenie, a może i całe życie Maksa. Pan Roman zapytany o kwestię obco brzmiącego nazwiska roześmiał się tak, jakby ktoś zadał mu nedorzeczne pytanie, a następnie z wymuszoną serdecznością zapewnił Maksa, że prezesem jest wspomniany przez niego człowiek, dodał również, iż Maks przecież spotkał się kilkukrotnie z prezesem. Jednak w tej scenie nie dało się nie zauważyć kilku niepokojących znaków. Po pierwsze, reakcja wiceprezesa fundacji była tyleż serdeczna, co nerwowa i przekaz niewerbalny wcale nie uspokajał, a wręcz przeciwnie, niepokoił. Po drugie pan Roman jak ognia wystrzegał się jasnego stwierdzenia, że Maks spotkał Manuela Borca del San Estrada. Każde jego zdanie z osobna było prawdziwe. Jednak wypowiedź złożona w całość traciła swą ostrość. Po trzecie, wysłannik Wydawnictwa Z1 nie umiał ukryć zaniepokojenia dociekliwością Maksa, a ten z łatwością to odczuwał. Jedynym pozytywnym pokłosiem rozmowy było odkrycie przez Maksa, że poznał już na tyle swojego współpracownika, że może wnikać w jego odczucia. Wcześniej Maks nie zagłębiał się w ludzką psychikę zbyt głęboko. Miał siebie i swoje problemy, więc nie trudził się, by szukać ich dalej. Teraz,

jako mistrz, prezes i powiernik skrytych nadziei wielu ludzi, odkrył w sobie żyłkę psychologa. Uświadomił sobie, że nie tylko słowa, ale i wszystko wokół nich ma znaczenie. To była dla niego nowość.

Następnego dnia po przekazaniu tajemniczemu staruszkowi informacji o zjawie Maks pojawił się w willi w wyjątkowo złym nastroju. Nie mógł w nocy zasnąć, a gdy już mu się to udało, doświadczył całej serii koszmarów sennych, w których ktoś go gonił, zabijał i pożerał. Potem on kogoś gonił, zabijał i pożerał. W końcu gonitwa i konsumpcja stały się tak wszechobecne w jego sennym świecie, że nie dawało się jasno stwierdzić kto kogo goni i pożera, a kto jest pożerany. Nic więc dziwnego, że otworzywszy oczy o szarym świtaniu podziękował Bogu, że był to jedynie koszmar, a gdy tylko Agata i Basia wyszły do pracy oraz szkoły, on z ulgą wyskoczył z pościeli i popędził do fundacji.

W ostatnich tygodniach rzadko zwracał się do Boga. Co prawda, zgodnie z typowo maksową oceną sytuacji, właśnie wpływ niebios był w dużej mierze odpowiedzialny za jego obecnie nienajlepsze relacje z żoną. Jednak poza tym pomógł mu w wypromowaniu książki, zdobyciu posady mistrza i prezesa oraz w interpretacji tekstów dla słuchaczy z willi, dlatego bilans na linii Bóg-Mistrz Maksymilian wydawał się być na razie korzystny dla tego drugiego. A, jak powszechnie wiadomo, kiedy jest dobrze, człowiek nie odwołuje się zbyt często do Opatrzności. Głównym problemem, który męczył w tej chwili Maksa było rozszyfrowanie sił zarządzających wydawnictwem i fundacją. Na razie jednak liczył, że uda mu się to zrobić samodzielnie, bez odwoływania się do Stwórcy.

Dzień był szary i sprzyjał snuciu rozważań o jego mocodawcach, przetykanych wspomnieniami rozmowy ze starcem z dnia poprzedniego oraz przygotowaniami do popołudniowej pogadanki, kiedy ktoś nieśmiało zapukał do drzwi gabinetu.

– Wejść! – burknął po prezesowsku.

W odpowiedzi klamka opadła i drzwi delikatnie się uchyliły. Do gabinetu wsunęła się Edyta. Przybyła do willi wraz ze swoim ojcem Henrykiem kilka tygodni temu. Maks od samego początku był sceptyczny wobec informacji, że są to ojciec i córka. Zachowanie starszego pana, a szczególnie jego wzrok, nieomal rozbierający dziewczynę, dawały sporo do myślenia. Edyta twierdziła, że jest już pełnoletnia, jednak jej ciało nie nabrało jeszcze w pełni kobiecych kształtów. Dodatkowo emanowała niepoślednią urodą. Śliczna twarz kojarzyła się Maksowi z mruczącym, psotnym kotem, który tylko czeka, żeby go głaskać po sprężystym grzbiecie. Nic dziwnego, że przyciągała wzrok wszystkich mężczyzn w willi, począwszy od młodych Magurów, a kończąc na panu Walerianie, który mijając ją prostował się i przeczesywał swoje siwe, rzadkie włosy.

– Przepraszam mistrzu, ale... – stała w progu nie śmiać postąpić dalej.

– Proszę, proszę. Wejdz do środka – Maks również nie był zbyt odporny na wdzięki młodej kobiety. Gdyby naszedł go któryś z Magurów albo ten młody chłopak z Pomorza, którego imienia Maks nawet nie pamiętał, to kazałby im przyjść później lub przynajmniej poczekać na korytarzu. Jednak w przypadku nastoletnich, ładnych dziewczyn obowiązywały inne reguły. Zachęcona Edyta zrobiła kilka kroków do środka. Maks wskazał jej krzesło, sam rozparł się władczo na fotelu naprzeciwko. Nastolatka usiadła na wskazanym miejscu, prezentując mistrzowi zgrabne nogi spod krótkiej spódniczki.

– W czym mogę ci pomóc, Edyto? – zagaił Maks protekcyjnym tonem oraz zmuszając się, żeby patrzeć jej w oczy, a nie poniżej. Zniknął gdzieś zły, poranny humor. W jego pokoju siedziała ładna dziewczyna, która coś od niego chciała. I on był gotów jej pomóc, na ile potrafił.

– Bo ja czytałam jeden fragment o tym jak Max szukał Margaret, ale ona... – dziewczyna nerwowo zaczęła kartkować dzieło w żółtej okładce szukając wspomnianego tekstu. Jednak strony tak się ułożyły w jej dłoniach, że początkowo równy stos kartek stracił swój uporządkowany kształt, a następnie rozsypał się chmurą białych prostokątów na podłogę.

– O rany, ale ze mnie niezłoda – jęknęła Edyta i rzuciła się do zbierania papierów.

Maks również klęknął przy niej zgarniając najbliższe kartki. Po chwili znowu usiedli. Edyta porządkowała papierowy bałagan. Natomiast Maks poczuł się nagle, jakby zaczęła trawić go gorączka. Klęcząc na podłodze i zbierając rozrzucone strony swojej powieści przez krótką chwilę miał możliwość oglądania obszaru powyżej uda Edyty i odniósł wrażenie, że ta nie ma na sobie bielizny. Trwało to zaledwie ułamek sekundy i niczego nie był pewien, ale zestawiał to w swojej głowie z obrazem jej obcisłej bluzki, podkreślającej mały, jednak wyraźnie zarysowany biust. Dodał do tego ładny zapach perfum i nienaturalnie mocną czerwień ust. Krótko mówiąc, coś mu mówiło, że dziewczyna przysłała tu nie dla tekstu, ale tylko i wyłącznie do niego.

– Dobrze, Edyto, nie potrzebujemy tekstu. Przecież możesz mi powiedzieć własnymi słowami, o który fragment chodzi – Maks uspokajał jej gorączkowe wertowanie przemieszanych stron. Ta uśmiechnęła się delikatnie, jakby dziękując za uwolnienie od żmudnych poszukiwań i odłożyła kartki na podłogę. Przy tym ruchu Maksowi ponownie wydawało się, że dziewczyna nie ma nic pod spódniczką. Jednak trwało to tak krótko, że było to jedynie przypuszczenie wzmocnione jego podnieceniem.

– Tylko, że ja nie umiem tak ładnie jak mistrz... – zaczęła się tłumaczyć z przeproszającym wyrazem twarzy. – Bo jak mistrz mówi albo pisze, to się wszystko tak ładnie układa. Kończy i zaczyna z sensem. A jak człowiek chce to opowiedzieć... – zafasowała się nagle swoją językową nieporadnością. Opuściła głowę, oczy zaszkliły się smutkiem.

O ile wcześniej wydawała się Maksowi jedynie bardzo ładna, to teraz wszystko w nim aż krzyczało, że ta młoda kobieta jest cudowna. Nie dość, że piękna, to chętnie czyta jego teksty. I co więcej, zachwyca się nimi, ale nie umie o nich mówić. Wiedział, że jego obowiązkiem jest jej pomóc.

– Powiedz tylko, o którą scenę chodzi? – dopytywał się.

– Wtedy, jak Max jest taki zrozpaczony, a nie dostaje od Margaret wsparcia... bo ja... ja czuję, że mistrz jest również czasem smutny. A wtedy mnie serce boli. O, tu! – dotknęła się poniżej biustu, który dzięki temu stał się jeszcze wyraźniej i ładniej zarysowany pod bluzką. Maks zauważył przy tym ruchu, że jej piersi nie są osłonięte biustonoszem, a sutki dość dobrze widoczne przez cienką tkaninę. – Ja bym wszystko zrobiła, wszystko oddała, żeby zabrać te smutki. Wszystko...

Niespodziewanie przypadła do niego na klęczkach, głowę położyła na jego kolanach. Z bliska była jeszcze piękniejsza i zachwycająca. Czuł wyraźnie ciepło jej ciała i zapach włosów.

– No, no, już dobrze. Wstań, proszę! – Maks siedział na fotelu jak rażony piorunem. W końcu chwycił ją za ręce. Dziewczyna uniosła smutne oczy ku niemu, potem wstała z klęczek. Drżała jak w febrze, łzy leciały jej z oczu strumieniami. Stała tak blisko, że głowa siedzącego na fotelu Maksa była kilkanaście centymetrów od jej brzucha. Nadal trzymali się za ręce.

– Kocham cię, mistrzu – wyszeptala i przyciągnęła go lekko ku sobie.

Kilkanaście minut później Maks był znowu sam w gabinecie. Przeżycia ostatnich chwil były tak silne, że cały czas czuł się niczym ktoś zawieszony w stanie nieważkości, do tego z lekkimi zawrotami głowy. Jednego był pewien – było cudownie. Cudownie było dotykać jej gładkiej skóry, oddychać zapachem młodego ciała, cudownie było widzieć z bliska w jej kocie oczy. Jednak po dalszych kilkunastu minutach błogostan wyraźnie osłabł, za to do głosu zaczęły dochodzić inne, dużo bardziej ponure myśli. Czy ona jest pełnoletnia? Czy to było fair wobec niej, wobec siebie, a szczególnie wobec Agaty? Ta ostatnia wątpliwość stawiała się silniejsza z minuty na minutę i odpowiedź wydawała się raczej oczywista. Dotychczas nigdy nie zdradził żony i miał w tej materii czyste sumienie, pomimo wielu kłótni oraz złych chwil. Teraz to się zmieniło. Oczywiście, to był tylko szybki seks, żaden romans, ale fakt pozostawał faktem. A ona, Edyta? Co ich teraz łączy? Jak ma się do niej odnosić? Przecież to tylko jedna z wyznawczyń Maxa, nikt więcej. Niczym czarne, kraczące kruki pojawiły się w jego myślach oskarżenia pod jej adresem, które miały go choć trochę usprawiedliwić. Tłumaczył przed sobą, że udało jej się go omamić, bo była wyzywająco ubrana, miała kuszący makijaż, zachowywała się nieskromnie i dotykała go. Nie była również dziewicą. To wszystko były kiełkujące załączki wyjaśnień dla tego, co uczynił. Nadal uważał, że było z nią cudownie, ale już ochłonął z burzy hormonów i rozumiał, że zrobił źle, dlatego próbował zracjonalizować swoje zachowanie tysiącem uwarunkowań zewnętrznych, które pchnęły go do takiego czynu. Rozpaczliwie szukał kogoś lub czegoś, aby obarczyć winą. I znalazł. Oziębła oraz kłótniwa żona, zepsuta i rozpustna dziewczyna oraz pozwalający na to wszystko Bóg – taki trójkąt winowajców powoli się krystalizował. Maks po dłuższej chwili paniki zdołał opracować usprawiedliwienie na wszystko. Poznał winnych, wiedział już jak się wytłumaczyć, a przy okazji jeszcze kogoś oskarżyć. Mógł znowu spokojnie powrócić myślami do tego pięknego momentu, kiedy on i ta mała nierządnic...



Max siedział zapatrzony w zmasakrowane zwłoki. „Jezu Chryste, co ja zrobiłem?” – pomyślałby, gdyby w jego skolatannej głowie było jeszcze miejsce na cokolwiek innego niż strach przed swoim losem za kilka godzin, kiedy upłynie ultimatum. Mężczyzna rzeczywiście był tym, który udawał sprzedawcę szkatuły i został zatrudniony za kilkaset dolarów przez Johna vel Willy’ego, bo pod takim imieniem go poznał. Zdradził Maxowi, że Chińczyk o imieniu Liu został również najęty do numeru za podobną sumę. Mężczyzna znał go z jeszcze jednego przekrętu i wiedział, że Azjatę można często spotkać w jednym z lokali w chińskiej dzielnicy, podał nawet nazwę knajpy. Jednak na tym kończyły się konkretne informacje, a Max musiał dowiedzieć się więcej. Szczególnie, jak dostać się do Johna. Dlatego nie ustawał w biciu i torturach. Ale to, co się wydaje proste w filmach sensacyjnych, w rzeczywistości stwarza niewprawnej osobie duże problemy. Max nie miał pojęcia w co powinien uderzyć, żeby zadać ból, ale i nie uciszyć klienta na stałe. Męczony mężczyzna wył z bóleści, a potem zaczął zmyślać jakieś nieprawdopodobne historie, byle oprawca już go nie bił, ani nie przypalał. Jednak Max nie ustawał w swojej wściekłości i determinacji. W końcu tamten zamilkł, a po kilkunastu minutach cucenia okazało się, że zmarł. Być może serce nie wytrzymało napięcia związanego z przesłuchaniem. Max został sam na sam ze skrepowanym plastikową taśmą transportową ciałem i patrząc tępo w brudną ścianę opuszczonego magazynu. Zastanawiał się gorączkowo, co dalej począć.

Maks kończył swój codzienny wykład. Jednak w odróżnieniu od kilkunastu poprzednich wystąpień nie był to finał tryumfalny. Gubił się, tracił wątek, zgrabne podsumowanie myśli wiodącej nijak nie chciało się skryształizować. A może po prostu nie było żadnej myśli wiodącej. Cóż z tego, że jego elokwencja, mądra mina i ręce złożone w wieżyczkę nadal były mistrzowskie, skoro nie prowadziło to do konkretnego przesłania. Najwyraźniej nie był to jego dzień i Maks czuł rosnące rozczarowanie słuchaczy. Jednak on nie mógł się odpowiednio rozluźnić i skupić na dzisiejszym przekazie. Nie dość, że wytraçała go z równowagi poranna wizyta Edyty oraz późniejsze wyrzuty sumienia, to dodatkowo nie mógł jej teraz odnaleźć wzrokiem w grupie zebranych. Przez cały wykład gubił się w domysłach, dlaczego nie przyszła i czy jest to związane z ich porannym tete-a-tete. Dodatkowo wydawało mu się, że kilka razy złowił kpiący uśmieszek Henryka, domniemanego ojca dziewczyny. A przecież gdyby on wiedział, to... Maks wolał nie myśleć, co by się stało, gdyby jego seksualne wyczyny wyszły na jaw. Równie ironiczny wydał mu się uśmiech pana Czesia, który tego dnia też uczestniczył w spotkaniu, lecz tu ciężko było jednoznacznie orzec ciężar emocjonalny przekazu ze względu na naturalną mimikę opiekuna willi. Maks po dramatycznie słabym finale swojej pogadanki poszedł do gabinetu, unikając jakichkolwiek rozmów i pytań. Tam usadowił się w fotelu i zapatrzył ponuro w zielen ogrodu. Przez chwile wydawało mu się, że ktoś stoi za krzewami i go obserwuje. Czyżby znowu znajomy staruszek? Już szykował się na kolejną pogawędkę z Wiśnickim, ale ostatecznie nikt się

nie wyłonił zza krzewów. Każda kolejna chwila samotnych rozmyślań powodowała, że pojawiały się dręczące myśli o porannym incydencie z Edytą, o Agacie i ich chyłącym się ku upadkowi małżeństwie. Myślał również o Basi, która nie dostaje dostatecznego wsparcia od ojca, w którego zastępstwie pojawił się Staszek, ten niby-przyjaciel. Bóg również się pojawił w tym korowodzie bliskich, ale i wrogich postaci, jako ktoś, kto zachęca do czynów, trochę pomaga, a potem zostawia na łaskę losu. Po ponad godzinie walki wewnętrznej połączonej z solidną dawką użalania się nad sobą poczuł, że powoli zbliża się do szaleństwa, więc postanowił zrobić coś produktywnego. Działaniem wypędzić demony z własnej głowy.

Od kilku dni zastanawiał się nad metodą dojścia do informacji o tożsamości i zamiarach ludzi z Z1. Doszedł do wniosku, że najlepszym dojściem będzie Jadwiga, pani redaktor, która odkryła go jako autora powieści sensacyjnej wpływającej na życie innych. Co prawda wydawała się być jedynie szeregowym pracownikiem firmy, który nie zna motywów działań zarządu. Jednak w tym momencie była jego jedyną szansą dotarcia do zakulisowych informacji o wydawnictwie. Jeszcze przy pierwszym spotkaniu przekazała mu swój numer telefonu komórkowego. Maks po dłuższej chwili szperania odnalazł skrawek papieru z zapisanym kontaktem w portfelu wciśnięty pomiędzy dowód osobisty a kartę lojalnościową dużej sieci handlowej. Było późne popołudnie, więc spodziewał się, że zastanie ją poza firmą. Wystukał numer.

– Halo? – zachrobotał w słuchawce znajomy damski głos. Maks się przedstawił i po reakcji poznał, że pani redaktor pamięta go doskonale. Od razu również zaczęła go tytułować mistrzem.

– Chciałbym porozmawiać trochę o kulisach wydania mojej książki, o tym kto jest za co odpowiedzialny – tłumaczył. – Czy możemy się spotkać? Obiecuję, że nie zabiorę pani zbyt wiele czasu.

Po dłuższej chwili milczenia odpowiedziała:

– Niestety, mistrzu. Proszę we wszelkich sprawach związanych z pana książką, i ogólnie działaniami marketingowymi, zwracać się do pana prezesa, ewentualnie do pana Romana. Nie mogę panu służyć żadną informacją.

Brzmiało to niczym suche oświadczenie rzecznika prasowego jakiegoś niepopularnego polityka w obliczu oskarżeń o korupcję.

– Ależ pani Jadwigo! Chociaż na chwilę. Mam tylko kilka pytań – Maks desperacko próbował ugrać cokolwiek.

– Niestety, nie mogę... – westchnęła pani Jadwiga i się rozłączyła.

Maks wpatrywał się przez dłuższą chwilę w gasnący ekran telefonu. Dlaczego ona się tak bała? – to pytanie pojawiło się wręcz spontanicznie. Ton głosu pani redaktor oraz szybkie ucięcie dalszych wynurzeń przywodziły na myśl spotkania z ofiarami lub byłymi współpracownikami mafiosów, którzy pomimo swojej wiedzy milczą, wiedząc, jak długie ręce mają prześladowające ich ciemne typy. Maks opadł z ciężkim westchnieniem na fotel i zaklął głośno. Czuł, że wokół niego działo się coś złego, zaciskała jakaś pętla, w którą w końcu zostanie złapany. Na razie jedynie kilka faktów wyglądało niepokojąco: kłótnie i zdrada w małżeństwie, jego niejasna rola w fundacji i pełen obaw głos pani Jadwigi. Ale to wystarczało, aby w Maksie rosły niepokój oraz poczucie winy.



Wiedział, że z Chińczykiem musi być ostrożniejszy i działać z rozmysłem. Śmierć kolejnego człowieka przybliży go jedynie do katastrofy, a nie do rozwiązania palącego problemu. Do końca ultimatum czas odliczany był już w pojedynczych godzinach. W jego kieszeni zabrzączał kilka razy telefon. Margaret dzwoniła, prawdopodobnie próbowała się dowiedzieć, dlaczego nie wrócił na noc.

– Trochę się chyba o mnie martwi... ta suka – mruknął patrząc na ekran. Następnie wyłączył aparat, chcąc uniknąć dalszych prób kontaktu. Uśmiechnął się pod nosem. Jeszcze nigdy tak o swojej żonie nie powiedział, ani nawet nie pomyślał. Był dotychczas jedynie łagodnym, nieudacznym Maxem, który co prawda nie przynosi wielkiego pożytku, ale i nikogo nie krzywdzi. Jednak teraz to się skończyło. Teraz powstał z kolan i stał się wojownikiem, który zwycięża albo ginie. Przynajmniej tak sobie tłumaczył obecną sytuację. Poza tym nie był w stanie spokojnie rozmawiać. Załatwi sprawę, rozliczy się z bandziorami i wtedy wróci do domu albo... Nie umiał przewidzieć tego drugiego scenariusza, skutków nieznaleszenia Johna i wyegzekwowania brakującej sumy. Miał przeczucie, że żarty definitywnie się skończyły. A on sam przelał granicę, zabijając w okrutny sposób tego starszego mężczyznę. Cały czas miał przed oczyma jego umęczoną twarz i wrzaski pełne bólu. Jednak nie odczuwał jakichkolwiek wyrzutów sumienia. Tamten był przecież jednym z pionków w grze Johna przeciwko niemu. A poza tym... to było nawet przyjemne – zadawać ból i patrzeć na cierpienia drugiego. Nigdy by siebie o to nie podejrzewał. A teraz czuł się podekscytowany niczym młody chłopak po pierwszej wizycie w burdelu. W takim nastroju wkroczył do chińskiego baru i podszedł do kontuaru.

– Jest Liu? – zagadnął skośnookiego barmana.

– A kto pyta? – odparł tamten niewzruszonym tonem.

– Kolega z pracy – warknął Max i szybkim ruchem chwycił żółtoskórego za kołnierz. Przyciągnął go ku sobie tak blisko, że ich twarze niemal się stykały i syknął: – Mam ważną sprawę do niego. Dodam jeszcze, że ostatnio zrobiłem się bardzo niecierpliwy i polubiłem prac innych po gębie, jeżeli nie odpowiadają na pytania.

Tamten wskazał wzrokiem w stronę wejścia na zaplecze.

– Dzięki – warknął Max i pchnął tamtego na regał z butelkami, które pod wpływem uderzenia spadały całymi szeregami roztrzaskując się na podłodze oraz na głowie barmana. Max pchnął drzwi. Za nimi było biuro, jakiś skośnooki prezydent przemawiał bardzo szybko na ekranie włączonego telewizora, w popielniczce dymił niezduşzony papieros. Liu uciekł. Max zaklął i pobiegł dalej. Po sekundzie upadł do kuchni, gdzie znał kotłów i dużych woków unosiły się kłęby pary i zapachów przygotowanych potraw. Wahadłowe drzwi po drugiej stronie pomieszczenia jeszcze się ruszały. Max wrzasnął i ruszył przez kuchnię, co rusz zrzucając na podłogę garnek lub patelnię z jedzeniem. Pierwsza sztuka spadła naprawdę przez przypadek, ale następne lądowały

na ziemi popychane szerzej rozstawionymi rękoma przebiegającego Maxa. Wyglądało to niczym pełna złośliwości zabawa w niszczenie cudzej pracy. Wypadł przez tylne wyjście na podwórze goniony krzykami wściekłych kucharzy. Mały, brudny dziedziniec z rzędem śmietników ział pustką. Po Liu nie było ni śladu.

Maks postanowił wrócić dziś wcześniej do domu, przeprosić Agatę za ostatnie złe tygodnie, pobawić się z Basią, po prostu pobyc z rodziną. To podobno naturalne zachowanie dla mężczyzn po zdradzie małżeńskiej. Uspokajają swoje sumienie grając dobrego i troskliwego męża, tym samym starając się umniejszać znaczenie swoich kontaktów z tą drugą kobietą. *To tylko chwilowe i nieważne* – przekonują sami siebie, choć jednocześnie często dążą do tego, aby takie chwile powtarzały się jak najczęściej. Maks obiecał sobie, że wybryk z Edytą był naprawdę jednorazowy, a on przeprosi Agatę i powróci mentalnie na łono rodziny. Już miał na sobie kurtkę, kiedy zauważył ruch w ogrodowych krzewach. Starzec kuśtykał w jego stronę. Maks wyszedł na powitanie.

– Dzień dobry, prezesie – zaskrzeczał dziadek i usiadł na stopniach tarasu.

– Dzień dobry, jak zwykle przychodzi pan znienacka – przywitał się Maks.

– Staram się być słabo zauważalny. Taki nawyk – potwierdził staruszek. – Nie chciałbym, żeby mnie ktokolwiek niepowołany obserwował.

– Nadal się pan ukrywa? – Maks nawiązał do ucieczki Wiśnickiego przed karą śmierci z więzienia.

– W jakimś sensie tak – gość nie wyjaśniał niczego konkretnie. Następnie spytał ściszym głosem: – Widział ją pan?

Maks spodziewał się tego pytania. Ostatnio opowiedział mu bajkę o duchu kobiety, zamordowanej pani Wiśnickiej, który rzekomo wałęsa się nocami po willi. Starzec sprawiał wrażenie, jakby oczekiwał czegoś, jakiejś formy kontaktu z zamordowaną żoną, może okazji do wyjaśnienia swojego postępowania albo słów przebaczenia. Maks długo zastanawiał się, co dalej z tym począć. Rzekomy Wiśnicki z niewiadomych powodów wiązał duże nadzieje z Maksem i jego pośrednictwem w kontaktach z pozaziemskimi formami istnienia. Być może uważał, że pisarze są nieco *nie z tego świata* i jako tacy nadają się do roli medium. Domniemane medium jednak postanowiło, że przy najbliższym spotkaniu przyzna się do kłamstwa. Maks nie chciał pograżać się w zakłamaniu w kolejnym obszarze życia, więc zamierzał odwołać wszystko, co dotychczas powiedział o duchu z willi. Ale teraz, gdy zobaczył pełną nadziei twarz starca, zrobiło mu się go żal. W ostatniej chwili zrejterował.

– Tak, przeszła raz po schodach. Smutna taka, jakby nie wiedziała co robić – zaczął snuć kolejną historię ze zjawą w roli głównej. – Potem do mnie podeszła i usłyszałem jedno, jedyne słowo.

– Jakie to słowo? – wyszeptał stary mężczyzna wpatrując się natarczywie w Maksa. Ten w panice szukał w głowie dobrej puenty dla swojej bajeczki.

– Miłość – wydusił w końcu z siebie pisarz. – A potem skinęła w moją stronę. Czulem się jak gdyby przekazała mi to słowo do przekazania.

Zapadła cisza.

– I to wszystko? – upewniał się Wiśnicki.

– Wszystko – Maks nie zamierzał dalej brnąć w grzędawisku kłamstwa. Ten pomysł z posłannictwem zamordowanej żony przyszedł mu do głowy spontanicznie. Sądził, że Wiśnickiego męczyły przez całe życie wyrzuty sumienia w związku z popełnionym czynem, więc przebaczenie w imię miłości ze strony zamordowanej żony pasowało mu do tej sytuacji. Staruszek westchnął, następnie odszedł zamyślony, nawet nie podziękowawszy. Może tak mocno przeżywał informację od żony, a może czuł, że ktoś go tu oszukuje. Maks stwierdził w duchu, że chyba powinien jednak powiedzieć mu prawdę. Jednak było już za późno, po przybyszu pozostały jedynie kołyszące się gałązki krzewów na jego drodze.

Maks zadumał się dłuższą chwilę nad starym jak świat dylematem – lepsze miłe kłamstwo, czy też smutna prawda. Potem zasepiony wyszedł z budynku i powlókł się aleją w kierunku furtki. Wbrew deklarowanym przez całe dotychczasowe życie szczytnym wartościom, teraz miłe kłamstwo w każdej sytuacji wydawało się lepsze i bezpieczniejsze.

Przeszedł kilkadziesiąt metrów i wtedy ją zobaczył.

– Mistrzu – postać pod dębem machała do niego ręką, jednocześnie rozglądając się badawczo.

– Pani Jadwiga? – zdziwił się, bo przecież nie dalej jak trzy godziny temu jasno dała mu do zrozumienia, że nie zamierza się z nim kontaktować.

Kobieta gdy tylko zobaczyła, że Maks ją poznał, narzuciła kaptur na głowę i machnęła ręką, dając sygnał, aby szedł za nią. Maks poczuł się jak w tandetnym filmie płaszczka i szpady, gdzie tajemniczy wysłannik z ocienioną twarzą przekazuje szeptem w ciemnej bramie informację dla dzielnego muszkietera od uwięzionej księżnej. Pomimo tych skojarzeń poddał się konspiracyjnej atmosferze i podreptał za panią redaktor. Kilkaset metrów dalej znaleźli się w zaułku przylegającym do parku ze stawem. Pani Jadwiga usiadła na ławce i wskazała miejsce obok siebie.

– Mówiła pani przez telefon, że się nie spotyka... – zaczął Maks.

– Od pewnego czasu unikam wszelkich konkretów przez telefon, a szczególnie, jeśli dzwoni ktoś z wydawnictwa – tłumaczyła, choć słowa niczego w zasadzie nie wyjaśniały.

– Czy oni coś ci grożą, mistrzu?

Zapadła cisza.

– Kto? – wydukał w końcu Maks.

– No, martwię się trochę, bo to ja pierwsza czytałam książkę i czuję się odpowiedzialna. A jeśli chodzi o kontakty z szefostwem... – zawiesiła głos, jakby przez gardło nie chciało jej przejść złe słowo na prezesa i jego pomocników.

– Pani Jadwigo, proszę powiedzieć mi otwarcie, czy coś złego się dzieje w wydawnictwie. Na przykład ja znalazłem informację, że prezes Wydawnictwa Z1 nazywa się Manuel Borca del San Estrada, jednak nie wydaje mi się, żebym z kimś takim rozmawiał. Może mi pani powiedzieć, kto u was rządzi i czy ogólnie wszystko jest jak trzeba? – uzewnętrznił swoje obawy.

– Nikt nie wie kim on jest. Kilka miesięcy temu temu zostaliśmy sprzedani. Stary właściciel zniknął nagle, niemal z dnia na dzień. Nawet się z nami nie pożegnał – Jadwiga zaczęła snuć opowieść. – A potem pojawił się on. Jakoś się tam przedstawił, znaczy chyba się przedstawił, ale w ferworze zmian nikt tego nie zapamiętał. Był zamęt,

nikt niczego nie wiedział, ludzie snuli najbardziej fantastyczne przypuszczenia odnośnie naszej firmy, że jest do likwidacji albo restrukturyzacji. Od plotek aż huczało. Jednak z tym nazwiskiem prezesa to każdemu umknęło, a potem głupio było zapytać, więc każdy mówił tylko *panie prezesie...*

– To tak jak ja – potwierdził Maks.

– Roman od razu wyczuł sytuację i wkradł się w łaski nowego szefa. Wcześniej był moim podwładnym, raczej słabym w redakcji tekstów, ale jak widać niezłym w innych dziedzinach. Pojawił się też pan Czesio...

– To on nie jest długoletnim pracownikiem u was? – zdziwił się Maks, któremu wечно uśmiechnięty pomocnik raczej kojarzył się z zasiedziałym od lat, znudzonym wyrobnikiem.

– Nie, zatrudnił się niedawno – zaprzeczyła. – I najwyraźniej ma jakieś chody na górze, bo zawsze może zajrzeć do szefa. Często się słyszy jak rozmawiają w gabinecie.

– Serio? – nie dowierzał Maks, przy którym prezes zawsze pokazowo ignorował swojego oddelegowanego do willi pracownika.

– A tego Manuela Borca coś tam del coś tam, to każdy z nas też wyszukał w papierach sądowych. Nawet sobie żartowali niektórzy, że mamy wymyślonego szefa, że niby mafia z Sycylii nas przejęła, jako pralnię pieniędzy. Ale potem żarty się skończyły.

– Dlaczego? – zaciekał się Maks.

– Jeden z najbardziej zażartych żartownisiów pośliznął się w łazience na mokrej podłodze i tak nieszczęśliwie uderzył głową w umywalkę, że nie przeżył.

– No cóż, nieszczęśliwe wypadki się zdarzają – mruknął Maks.

– A w kieszeni marynarki miał karteczkę z napisem *Śmiech to zdrowie? Nie zawsze* – dokończyła pani Jadwiga.

Zapadła cisza.

– Potem zaczęły się dziwne biznesy. W naszej ofercie pojawili się całkiem nowi i nieznani autorzy, dla których rezerwowano olbrzymie budżety. Wydawnictwo jako takie podupadło, ale brak sprzedaży księgarskiej łączył się z ogromnymi przepływami na koncie firmy. A do tego strach wśród pracowników...

– Czego się boją?

– Oprócz wypadku w łazience, mieliśmy porażenie prądem jednego zbyt dociekliwego, a główna księgowa zwolniła się w trybie nagłym i ślad po niej zaginął – głos pani Jadwigi trząsł się nerwowo.

– Może się przeprowadziła? – dociekał Maks.

– Nie, odwiedziłam jej męża. Opowiedział mi, że kiedy rzuciła naszą pracę dopadły ją nagle choroba, jakby zatrucie. Potem niespodziewana śmierć. Dodał do tego, że w ostatnich miesiącach pracy w Z1 była bardzo przybita, a przeddzień zwolnienia powiedział mu, że nasza firma to jeden wielki przekręt i nie warto tam zostawać – Jadwiga niemal płakała.

– To jeszcze o niczym nie świadczy – stwierdził dobitnie.

– Oczywiście, że nie, ale u nas wszyscy się boją. Nie wiedzą, co mają robić, bo jak widać odejście z firmy też niczego nie gwarantuje. Co prawda dobrze płacą, ale... –

zamilkła na chwilę, otarła łzy z kącików oczu. Następnie zwróciła się do Maksa: – Mistrzu, proszę cię, uważaj na siebie. Ci ludzie mają nieczyste intencje.

W tym momencie ktoś poruszył się za ścianą krzewów okalających przyparkowy zaułek. Pani Jadwiga aż podskoczyła widząc, że ktoś mógł ją tu zobaczyć. Zerwała się, narzuciła kaptur. Szepnęła powtórnie:

– Uważaj na siebie, mistrzu.

I oddaliła się szybkim krokiem, niemal biegiem, ku głównej ulicy. Maks został sam na ławce z chaosem ponurych myśli pod czaszką.



Dopadli go. Nie bolało zbytnio. Na pewno nie aż tak, jak się spodziewał. Ludzi najbardziej stresują myśli i oczekiwanie. Rzeczywistość, choćby ponura i spełniająca najgorsze scenariusze, nigdy nie jest tak straszna jak jej wyolbrzymione wyobrażenie. Kłuto go w żebrach, jakby miał coś złamane, fioletowy siniec niemal zakrywał oko, w kilku innych miejscach również odczuwał ból oraz stracił zęba. Jednak to nie było najgorsze. Najgorsze było poczucie, że stał się zwierzyną łowną, frajerem, który nie potrafi odzyskać własnych pieniędzy straconych w wyniku przekrętu, ani skutecznie schować się przed swoimi prześladowcami. Wtedy pomyślał o Stanie. To stary kumpel, ale taki prawdziwy, nie wymyślony na potrzeby chwili jak John-antykwariusz. Max co prawda obiecywał sobie, że więcej nie pożyczy od niego pieniędzy, ani nie uzależni się w inny sposób. Nienawidził tego. Związanie się z kimś wyżebranymi pieniędzmi, obrzydliwe uczucie, że znowu nie dał sobie rady – przechodził to wiele lat temu i jeszcze przed kilkoma dniami był przekonany, że jest na najlepszej drodze, żeby taka sytuacja nigdy nie powtórzyła. Ale wystarczyła niezapowiedziana wizyta Satrina z kilkoma silnymi kolegami, żeby znowu zaczął myśleć o Stanie i jego zasobach finansowych. W końcu się przełamał i odwiedził przyjaciela.

– Dlaczego dopiero teraz z tym przychodzisz? – burknął Stan. – Nie dam rady od razu. Za dwa dni dostanę pieniądze za mój ostatni projekt. Trzydzieści tysięcy. Mogę ci pożyczyć.

Przy składaniu tej oferty głos przyjaciela lekko zadrżał. Max doceniał wielkoduszność usłyszanej propozycji. Jak już wspomniano, kiedyś pożyczył od niego pieniądze, by następnie w nieskończoność przeciągać termin ich zwrotu. Zawsze pojawiały się nieoczekiwane wydatki, bardziej namolni wierzyciele lub nowe materialne pokusy nie do odparcia. Innymi słowy oddanie całej sumy trwało ponad trzy lata oraz kosztowało zerwaniem ich kontaktów na kolejne trzy. Ale Stan to prawdziwie dobry kumpel, który kiedy trzeba zapomina o urazach i ratuje Maxa z opresji. Zresztą, nie po raz pierwszy.

– Dzięki, może uda mi się doczekać w jednym kawałku – powiedział Max.

– Ty nie o siebie się martw. Takie typy często szantażują dłużników grożąc ich rodzinom. – Stan z niewiadomego źródła znał okropne maniery gangsterów. – Może lepiej je stąd wywieź, a sam się gdzieś zabunkruj.

– Dobry pomysł – mruknął Max, który właśnie zdał sobie sprawę, że beztróskim zachowaniem wpackował w matnię nie tylko siebie.

Maks biegł do domu z myślą, że musi Agacie opowiedzieć o wszystkim. Ona była zawsze taka rozsądna, doradzała mu we wszelkich decyzjach oraz pocieszała w problemach. Wiele razy zdjęła mu ciężar z barków, po prostu idąc do właściwych osób i rozmawiając w jego sprawach. Tak, Agata na pewno przebaczy mu ostatni nienajlepszy czas i zacznie pomagać. Krok po kroku, metodycznie, tak jak ona to umie, zada właściwe pytania i znajdzie właściwe odpowiedzi. Byle ją przeprosić i opowiedzieć co go

trapi. Ten prosty plan stawał się jednak coraz mniej prosty w miarę jak Max stawiał sam sobie pytania i udzielał na nie odpowiedzi. Czy przyzna, że postąpił głupio wchodząc w układ z wydawnictwem i nie słuchając jej życiowych rad? Nie, nigdy. Czy powie, że podpisał umowę na prowadzenie podejrzonej fundacji bez jakiegokolwiek rozeznania prawnego, a jedynie ufając w domniemane znaki od Boga w postaci plamy słonecznej? Pomyślał, że prędzej rzuci się do morza z kamieniem u szyi. A jak już spirala szczerości rozkręci się na dobre, czy przyzna się, że dopiero co uprawiał seks z ponętą nastolatką w swoim biurze?

– W życiu! – warknął pod nosem i zatrzymał się. Zrozumiał, że od momentu pierwszej decyzji o związaniu się z wydawnictwem wszystko się zmieniło. I teraz nic nie powie Agacie, już nie powróci do poprzedniej roli chłopca-niedojdy wiecznie pokrzywdzonego przez bliźnich i los. Wchodząc w układy z Z1 podjął ryzyko samodzielnego życia, popełniania błędów wraz z ponoszeniem za nie odpowiedzialności. I dlatego doprowadzi wszelkie sprawy do końca bez radzenia się żony, bez względu na to jaki będzie rezultat jego działania.

Wpadł do domu jak burza, z przesadnie wesołą miną ucałował żonę i córkę na przywitaniu. Dał Agacie kwiatka kupionego w osiedlowej kwiaciarni, a córce tabliczkę czekolady. Następnie zabrał się za przygotowanie kolacji.

– Cześć Maks. Co u ciebie nowego? – zapytała Agata, ciekawa powodu jego dobrego humoru, tak rzadkiego w ostatnim okresie. Ostatnio w ogóle niewiele rozmawiali.

– Wszystko super! – odpowiedział wesoło, jednak niczego nie tłumacząc.

– A pomożesz mi, tato, narysować krokodyła na jutrzejsze lekcje? – zapytała Basia.

– Oczywiście. Jestem mistrzem w krokodylich rysunkach – huknął Maks.

Obie panie spojrzały na siebie ze zdumieniem w oczach. Już dawno ich ojciec i mąż nie wrócił do domu w takim nastroju.

Następnego dnia pan Roman zapukał wcześniej rano do gabinetu Maksa. Miał grobową minę.

– Mistrzu, przynoszę bardzo smutną informację.

Maks odwrócił się ku niemu oczekując dalszych słów z niepokojem. Nigdy wcześniej nie widział go z takim wyrazem twarzy.

– Mistrzu, nasza koleżanka i mentorka, ta, która pierwsza cię doceniła i wykazała przed innymi wartość dzieła, pani Jadwiga... – wiceprezes pociągnął smutno nosem.

– Co: pani Jadwiga? No mówże pan! – zdenerwował się Maks.

– Pani Jadwiga miała nieszczęśliwy wypadek – dokończył pan Roman. – Wracając wieczorem do domu przechodziła przez nabrzeże rzeczne z obetonowaną skarżą. Musiał się o coś potknąć i spadła kilka metrów w dół na twardy beton tak nieszczęśliwie, że roztrzaskała głowę i skręciła kark. Mówię ci, mistrzu – szok. Jeszcze wczoraj rozmawiała z różnymi ludźmi, chodziła, cieszyła się życiem, a tu nagle bęc! Koniec i kropka. Całkiem niespodziewanie, niczym grom z jasnego nieba.

Zapadła cisza. Maks obserwował spode łba przedstawiciela Z1 i zastanawiał się, skąd on ma tak dokładne informacje o tragicznych wydarzeniach sprzed zaledwie kilku godzin oraz dlaczego pobiegł z tym od razu do niego. Pewnie chcą mu pokazać swoją siłę i bezwzględność. Rewelacje pani Jadwigi odnośnie złych zamiarów jej szefów oraz

metod ich realizacji potwierdzały się z przeraźliwą dokładnością oraz z fatalnym skutkiem dla niej samej. Czyżby chciano Maksa postraszyć zanim zrobi cokolwiek poza narzuconym scenariuszem? Pokazać mu, że wszyscy niepokorni zostaną usunięci szybko i bez wahania? Ktoś ich widział razem, podsłuchał lub domyślił się tematu rozmowy i natychmiast podjął decyzje o odwecie? Pan Roman trwał niemo, wpatrując się w mistrza. Wyglądało to, jakby sondował moc rażenia swojej informacji. Maks postanowił ze wszystkich sił udawać chłód i obojętność.

– To straszne. Nie znałem jej prawie, jednakże w jakimś sensie była mi bliska. Ale właściwie, dlaczego mi pan to mówi i skąd zna pan tyle szczegółów z, bądź co bądź, prywatnego wydarzenia życia tej pani Jadwigi? – burknął Maks.

Pan Roman wydawał się nieco zaskoczony spokojną reakcją.

– No, bo... mhm... myślałem, że pan chciałby wiedzieć, co stało się z kimś, kto jako pierwszy... mhm... Zresztą, racja, co to może pana obchodzić – zakończył niemal płaczliwie. Nie udało mu się składnie wytłumaczyć kierujących nim motywów. Przeszedł szybko do spraw bieżących. – Na dziś zapowiedział się u nas pan prezes. Chce omówić dalsze kroki w działalności fundacji.

– Pan prezes, czyli pan Manuel? – dopytywał się Maks, patrząc twardo w oczy rozmówcy.

– No tak, oczywiście. Pan prezes we własnej osobie – odparł pan Roman nie wytrzymując taksującego go spojrzenia i odwracając wzrok. Ponownie uniknął wymówienia imienia swojego zwierzchnika. Miną starał się dodatkowo wyrazić zdziwienie, że znowu poruszana jest kwestia personaliów. Po tych słowach wyszedł pośpiesznie, najwyraźniej chcąc uniknąć dalszego wypytywania o tożsamość prezesa lub człowieka, który się nim mienił.

Gdy tylko zastępca wyszedł, Maks opadł na kanapę. Zapatrzył się ponuro w zieloną ścianę drzew i krzewów za oknem. Pani Jadwiga nie żyła. Zginęła, bo pomimo zagrożenia zdecydowała się z nim spotkać i opowiedzieć nieco o trapiących ją wątpliwościach? To by potwierdzało przekazaną tezę, że wydawnictwo zostało przejęte i służy jakimś ciemnym typom do ich celów, pewnie jako pralnia brudnych pieniędzy. A fundacja, Maks ze swoją książką i niby-nauczaniem to jedynie przykrywka grubych interesów. To go najbardziej ubodło. Stało się jasne, że nie on był ważny, nie jego dzieło i jego słowa. To były jedynie instrumenty, a może nawet rodzaj kosztownej zasłony dymnej, przykrywki, potrzebnej, żeby realizować coś innego. Okłamali go! Powiedzieli, że jest mistrzem, że niesie ludziom nadzieję i dobrą zmianę. A tak naprawdę...

– Ech, ty! Jak mogłeś mi to zrobić? – zerwał się z kanapy i wpatrzył buńczucznie w szary nieboskłon za oknem. – To tak mi pomagasz? Tak się opiekujesz?

Nietrudno było się domyśleć, do kogo zwracał się Maks. Znowu powróciła na pełnych żaglach koncepcja Boga – winowajcy ludzkich nieszczęść. Teoretycznie wszechmocny, daje swoim owieczkom na tym łożu padole poznać czasem smak wolności i towarzyszącej jej porażki. A wtedy one żałośnie beczą i żałują, że zostały wpuszczone w taką sytuację, choć niewiele wcześniej cieszyły się, że są takie mądre i samodzielne.

– Kurwa, kurwa, kurwa! – wściekała się właśnie jedna z takich owieczek. – I co teraz? Co ja teraz mam robić, się pytam?

Nikt, ani nic nie odpowiedziało na te wrzaski. Szare chmury nadal spokojnie płynęły po nieboskłonie skutecznie izolując warczącego Maksa od sfer niebieskich. Wściekłość powoli przeistaczała się w smutek.

Jestem sam – pomyślał Maks. – Nie mam oparcia w rodzinie, ani u Boga. Muszę znaleźć wyjście z sytuacji bez niczyjej pomocy.

Postanowił walczyć, a przynajmniej powiedzieć tym bandytom w twarz, że są malwersantami, oszustami oraz mordercami. A on z mordercami nie pracuje. Zapowiadana wizyta prezesa jawiła się doskonałą okazją do wyrażenia protestu. Niech ten ciemny typ bez nazwiska dowie się, co o nim i jego kumplach się tu myśli. Najwyżej skończy się kariera Maksa jako prezesa fundacji z eleganckim gabinetem w zabytkowym pałacyku. Książkę można promować w innej oficynie, a był pewien, że czytelników znajdzie ona na pewno. Do tego na koncie pozostało jeszcze całkiem sporo z dotychczasowej prezesowskiej pensji. A jeśli zrezygnuje z obecnej pracy, to Agata na pewno spojrzy na niego łaskawszym okiem i wybaczy mu złe chwile. Tak, najważniejsze się nie ugiąć, zachować minimum zasad i przyzwoitości.

Gdyby Maks nie był tak nieuprzejmy przed chwilą dla Stwórcy, może ten by mu jakoś przekazał, że jego plan jest naiwny i niezwykle ciężki do zrealizowania. I buńczuczny pisarzyna zaraz się o tym przekona. Jednak właściwą odpowiedzią na brak uprzejmości jest brak uprzejmości i związane z tym wymowne milczenie sfer niebieskich, więc Maks nadal bezkarnie brnął w rozważaniach coraz bardziej oddalając się od rozsądnej i realistycznej oceny sytuacji. W swoich imaginacjach doszedł wręcz do scenariuszy mogących spokojnie być kanwą filmów sensacyjnych. Wyobrażał sobie jak publicznie demaskuje klikę z wydawnictwa. Wszyscy prawi ludzie świata biją mu brawo i wymieniają się entuzjastycznymi opiniami o jego postawie moralnej oraz o głębi nauk zawartych w książce o Maxie z Nowego Jorku. A w tym czasie on do nich przemawia z jakiegoś wzgórza, najlepiej skalistego, podobnego do tych widzianych w filmach o świętych mężach ze Starego Testamentu, jednocześnie komenderując akcją sił porządkowych skierowanych przeciw gangowi z Z1. W jego głowie zapanował typowo literacki groch z kapustą, rzeczywistość mieszała się z wyobrażeniami.

Podczas tego seansu wolnej wyobraźni na ekranie komputera pojawił się symbol nowej pozycji w poczcie mailowej. Pisarz przypadł do biurka, kliknął w otrzymaną wiadomość. Pochodziła ona od nieznanego nadawcy. W załączniku widniał plik z filmem. Wszyscy administratorzy systemów komputerowych apelują o ostrożność w otwieraniu tego typu wiadomości, lecz ich apele są w zazwyczaj lekceważone. Tak było i tym razem. Zachęcający link kusił, Maks włączył film z nieznanego źródła i... zobaczył wnętrze własnego gabinetu widziane od powały oraz siebie siedzącego na fotelu. Zamarł zaskoczony. Po chwili ujrzał jak wstaje, a następnie wraca w przestrzeń kadru w towarzystwie młodej dziewczyny.

– Edyta? – jęknął widząc się w roli amanta z dnia poprzedniego. Sceny rozgrywały się wedle znanego scenariusza, przypominając bezlitośnie wydarzenia z dnia poprzedniego. Rozmowa z przybyłą nastolatką, upuszczenie przez nią pliku kartek, dalsza rozmowa, zbliżenie się dziewczyny do siedzącego Maksa, potem jego ręce wjeżdżające drapieżnie pod bluzkę oraz podwijające spódniczkę. A kilka sekund później jego opuszczone spodnie i ruszający się rytmicznie zad. Maks musiał przyznać, że z tej perspektywy

wyglądał obrzydliwie. To co było dla niego przeżyciem wzniosłym i pięknym, choć zakazanym w obliczu przysięgi małżeńskiej, w oku kamery straciło jakikolwiek czar. Po prostu lekko otyły i łysiejący mężczyzna w średnim wieku wykorzystał swoją pozycję wobec niewinnej dziewczyny. I ta mu się oddała, choć nie wyglądała na zakochaną, ani nawet na specjalnie podnieconą. Taki przekaz bił dla postronnego obserwatora z oglądanych obrazków. Pozostawały pytania: skąd się to wzięło? Kto go tutaj nagrywa?

– Dosyć tego! – warknął Maks, czując, jak przekazane obrazki skutecznie obrzydają mu ekscytujące wspomnienia wczorajszego sam na sam z Edytą. Kliknął myszką w przycisk zatrzymujący odtwarzanie, następnie jeszcze raz, a potem nerwowymi, szybkimi ruchami kolejnych kilkanaście razy, ale nie dało to żadnego efektu. Film był w nieznanym Maksowi sposób zabezpieczony przed zatrzymaniem, a sam komputer również nie dawał się wyłączyć. Nie umiał nawet wstrzymać feralnej transmisji odłączając urządzenie z gniazdka elektrycznego, bo najprawdopodobniej działała bateria podtrzymująca zasilanie, a Maks ze swoim niskim poziomem wiedzy technicznej nie miał pojęcia jak ją wyciągnąć z obudowy.

– Co jest?! Zatrzymać to, do cholery! – jęknął, nerwowo klikając myszką i naciskając wszelkie dostępne przyciski. Bezskutecznie. Był chwilowo skazany na oglądanie swojego owłosionego tyłka kołyszącego się pomiędzy uniesionymi nogami dziewczyny oraz własnych rąk miętoszających młode, jędrne piersi sterczące z fałdów rozerwanej bluzki. – Ja pierdołę!

– Witam, mistrzu! – drzwi do gabinetu rozwarły gwałtownie i prezes wydawnictwa wszedł bez pukania. – Pozwoliłem sobie zajrzeć do pana, żeby pogadać, co mamy dalej w planach.

Maks zamarał w panice. Następnie odwrócił się do wchodzącego, jednak starał się stać na tyle blisko ekranu, żeby gość nie był w stanie dojrzeć rozgrywającej się tam akcji.

– Dzień dobry – odpowiedział Maks, myśląc gorączkowo jak uniemożliwić mu podgląd filmu. W końcu rzucił się do sprzętu, zaczął się z nim szarpać. Ostatecznie obrócił monitor w kierunku ściany, niemal wrywając kable podłączone z tyłu urządzenia. Nie wpadł wcześniej na pomysł odłączenia kabli do monitora, a teraz było już za późno na tego typu próby. Gdy tylko kompromitujące sceny zostały zasłonięte, Maks ponownie się odwrócił i przeproszającym tonem wyjaśnił: – Chciałem odkurzyć za komputerem, bo strasznie tam brudno.

– Tak, dużo brudu się wszędzie gromadzi – potwierdził prezes. Nie było jasne, czy nawiązuje do zakurzonego sprzętu, czy też do otaczającego go brudu moralnego, chwilowo zasłoniętego dzięki odwróceniu ekranu.

Maks domyślił się, że prezes ma coś wspólnego z uruchomionym przed chwilą nagraniem. A jego wejście dokładnie w tej chwili było ściśle zsynchronizowane z trwającym pokazem sierpniowego porno.

– Dranie, to wyście wysłali ten film! Czego ode mnie chcecie? I Jadwigę pewnie też wyście zabili! – warknął wściekle.

– O pani Jadwidze też już słyszałem. Co za strata dla firmy – jęknął prezes. – Nikt nie umiał tak doskonale poznać się na młodych lub uśpionych talentach. Zresztą pan to sam wie, mistrzu.

Zapadła cisza. Maks wpatrywał się wściekle w pełną smutku twarz szefa oficyny wydawniczej. Wyglądał na tak szczerze zmartwionego, że początkowa pewność odnośnie odpowiedzialności domniemanego gangu z Z1 za śmierć redaktorki zaczęła kruszeć.

– A co do filmu, to zobaczyłem jedynie jego małe fragmenty, którego nie udało się mistrzu zasłonić, kiedy wchodziłem. I mówiąc szczerze, wolałbym reszty nie oglądać. Młode dziewczęta są takie niewinne, że niekiedy nie wiedzą, gdzie są granice, których przekraczać nie wolno. A rolą nas, dorosłych, szczególnie tych z autorytetem, jest te granice wyznaczyć. No, ale trudno, każdemu może się zdarzyć chwila słabości.

Pochylił się ku Maksowi i pełnym poufałości tonem dodał:

– Przyznam ci się, mistrzu, że i ja mam pewne doświadczenia z małolatami. Takie młode mają swój urok, co nie?

Po chwili dodał z szelmowskim uśmiechem:

– Ale nigdy na wizji.

– To skandal! Bezprawie! Nagrywaliście mnie bez mojej zgody – Maks wiedział już, że wszystko było ukartowane. Nie tylko nagranie, ale i nasłanie Edyty. Zniknęła zaraz po tym wydarzeniu, a on powinien się domyśleć, że coś jest nie tak. Bo jej domniemany ojciec, Henryk, nawet słówkiem się nie zająknął w tej sprawie. Czy tak się zachowuje prawdziwy ojciec? Raczej sutener, który odda panienkę każdemu, byle ten zapłacił. Maks domyślał się, że to początek nowego etapu współpracy, dużo mniej eleganckiego. Teraz go będą szantażować.

– Kamery są potrzebne, ponieważ wielu ludzi czerpie inspiracje z waszych spotkań – wyjaśniał prezes. – Grupy wsparcia działają już w całym kraju, a nawet zagranicą. Ludzie dzielą się swoimi przemyśleniami, podejmują wyzwania, zmieniają życie w oparciu o twoje nauki, mistrzu. Przekaz wideo z życia waszej wspólnoty jest bardzo dobrym narzędziem.

– I oni to oglądali na żywo? – Maks zmartwił z przerażenia. Wiedział już wcześniej, że kilku ludzi krąży po innych regionach Polski, organizując podobne spotkania jak jego codzienna pogadanka w sali głównej i propagując koncepcje fundacji w oparciu o losy Maxa z Nowego Jorku.

– O nie, spokojnie. To kamera prywatna, nigdzie niepodłączona – łągał prezes. – Po prostu przypadkowo się uruchomiła. Będziesz miał, mistrzu, super pamiątkę na starość, kiedy już sił nie starczy na takie bara-bara.

Maks wiedział już, że ta kpina jest swego rodzaju preludium, przedsionkiem poniżenia przed czymś, co za chwilę ten człowiek mu rozkaże. I on to wykona, cokolwiek by to nie było. Na myśl, że jego rodzina zobaczy nagranie przechodziły mu ciarki. Pewnie Edyta nie będzie miała również najmniejszych oporów, żeby udać się na policję i wnieść skargę. Ile ona może mieć lat? Do jakiego wieku jego czyn byłby nazwany pedofilią? Nie miał pojęcia. Oddychał ciężko, czekając na dalsze słowa. Czyżby wyczuli, że zaczyna mieć wątpliwości i w ten sposób pokazali, kto tu naprawdę rządzi. Czego mogą chcieć, skoro dotychczas zrobił prawie wszystko po myśli mocodawców z Z1? Entuzjastyczne rozmyślenia sprzed kilkunastu minut o wygarnianiu prezesowi w oczy, że jest mordercą, dumne deklaracje odstąpienia od wszelkich mętnych układów i pełne pogardy myśli o ciemnych typach gdzieś zniknęły. Pozostał jedynie ten film z nim w roli głównej, wstyd i oczekiwanie na propozycje nie do odrzucenia.

– Historia Maxa napędza wyobraźnię wielu ludzi. Zmieniają się, szukają lepszego życia, pocieszenia i... płacą za to – rozmowa zesła na promocję książki. – Tekst i twoje codzienne przypowiadki, mistrzu, są świetne, ale trzeba wlać w to więcej autentyczności. Tu muszą się pojawić prawdziwi ludzie.

– A teraz jacy są? Sztuczni? – Maks nie pohamował się przed impertynencją, pomimo swej pożałowania godnej sytuacji.

– Nie, ale to powinni być ci właściwi ludzie, których oni już znają z lektury i opowieści. Postacie z krwi i kości odgrywające swoje role.

– Kogo ma pan na myśli? – zdziwił się Maks.

– Twoją żonę i córkę, może nawet tego Staszka – prezes dokończył swoją myśl.

Zapadła cisza. A więc o to chodziło? Bali się, że odmówi wciągnięcia w tę maskaradę swoich najbliższych. W sumie taka była od początku ich milcząca umowa. Maks jest mistrzem dla tutejszej społeczności, a wieczorami wraca na łono rodziny jako zupełnie prywatna osoba. Co prawda coraz trudniej mu to przychodziło, jednak oficjalnie odmawiał Agacie i Basi wszelkich informacji o jego obecnym zajęciu. A teraz chcieliby, żeby jego najbliżsi również się włączyli w odgrywanie ról ze świata Maxa z Nowego Jorku. Obrócony do ściany ekran rzucił na jej powierzchnię ruchome refleksy świetlne, dając jasno znać, że transmisja z wczorajszych ekscesów nadal trwa.

– Ależ panie prezesie, ja nie jestem tamtym Maxem, a tym bardziej moja żona i córka nie są Margaret i Cindy... – zaczął tłumaczyć Maks.

– Jednakże zdarzyło ci się, mistrzu, tak o nich myśleć – dopowiedział prezes.

Skąd on to wiedział? Maks rzeczywiście w opisanych postaciach rodziny swojego bohatera zawarł kilka obserwacji z własnego gniazda. Prawdą było również, że tak mocno się identyfikował z napisaną historią, iż czasem myślał o swoich dziewczynach angielskimi imionami z książki. Kilka razy nawet tak je naprawdę nazwał. Sprawę starał się obrócić w żart, ale niestety powtórzył tę pomyłkę parokrotnie. Na słowa prezesa przeszył go dreszcz przerażenia, że wszystkie jego tajemnice i mroczne rozmyślenia zostały już odkryte. I rozgrywająca się na odwróconym ekranie scena z Edytą nie była czymś najgorszym, co mogłoby ujrzyć światło dzienne. Przez chwilę pomyślał, że właściwie nadszedł świetny moment, żeby zabić prezesa. Tu i teraz, zanim narobi więcej szkód. Nikt się nie dowie. W końcu wszedł do niego chyłkiem, więc i wyjść mógł chyłkiem. Kamereę by się jakoś unieszkodliwiło, skoro już wiadomo gdzie ona jest. Ciało zakopałoby gdzieś w tych ogrodowych chaszczach. Po sekundzie przyszło jednak otrzeźwienie.

– Ja nie jestem tym Maxem z Ameryki! – powtórzył Maks. – I nie morduję, będąc przyściśnięty do muru sytuacją życiową, ani moja żona i córka nie są tamtymi kobietami. Zachowują się całkiem zwyczajnie. W ogóle, my jesteśmy zwyczajnymi ludźmi. Moja książka to fikcja, nie zapis prawdziwych wydarzeń, zrozumiano?

Ostatnie słowa prawie wykrzyczał.

– Tym łatwiej pójdzie – ucieszył się prezes. – Nie muszą tu siedzieć cały czas. Pojawia się na godzinkę lub dwie dziennie, byle ludzie je zobaczyli. Wieczorem pośmiejecie się podczas wspólnej, domowej kolacji z tych głupich występów i frajerów, którzy wierzą w historyjki Maxa z Nowego Jorku. A pieniądze na konto popłyną prawdziwe. Temu Staszкови też coś odpalisz, mistrzu, że się odważył tutaj przyjść. Będzie dobrze.

– A jeśli odmówię? – spytał Maks.

– Trudno. Wtedy sobie odpuścimy. Pójdziemy do domu, pooglądamy ulubione filmy – skinął znacząco głową w stronę odwróconego ekranu. – Co będzie, to będzie.

Maks pokiwał głową. Karty zostały odkryte. Przyszło mu na myśl, że tak może lepiej. Przynajmniej wyjaśnia się, kto ma jakie intencje.



Dług został oddany. Perez gangsterskim zwyczajem nie przeliczył pieniędzy. Mruczając jedynie swoje quasi-filozoficzne uwagi o braku szczęścia wynikającego z posiadania rzeczy materialnych oraz o niestałości fortuny w życiu człowieka, taksował Maxa badawczym spojrzeniem. Być może dziwił się, że ten jednak zdobył potrzebną sumę. Tezę o podziwiewie opryszka dla starań dłużnika potwierdzałyby również słowa wypowiedziane po długiej chwili milczenia.

– Byłeś już w tarapatach, ale ci się udało. Jestem pełen uznania. Mam nadzieję, że nie żywisz do chłopaków urazy za to – wskazał na widoczną opuchliznę pod okiem. Max zapewnił żarliwie, że nie żywi, a nawet się z niej cieszy, bo dzięki wizycie Satrina poznał ból istnienia, co się przydaje w wielu sytuacjach życiowych. Do tego stwierdził, że wybitny ząb był zżarty próchnicą, więc zaoszczędził na niechybnie potrzebnym dentyście. Kwieciste i również ocierające się o filozofię odpowiedzi ucieszyły Pereza, który najwyraźniej cenił sobie dżentelmeńskie dyskusje na wysokim poziomie. Dlatego po chwili dodał: – Chyba cię nie doceniałem, a szczególnie twojego uporu. Chciałbym ci jakoś zrekompensować straty. Domyślam się, że nie jest ci łatwo w obecnej sytuacji i chętnie pogadałbyś o przyczynie kłopotów ze swoimi dawnymi przyjaciółmi.

– Nogi z dupy bym powyrywał, gdybym spotkał któregoś – wydyszał wściekle Max.

– Ojoj, ależ słownictwo – skrzywił się Perez, widząc, że w emocjach poziom dyskusji się obniża. – No dobra, dziadka załatwiłeś, zresztą w bardzo paskudny sposób. U mnie nawet Gruby Manolo by się nie powstydzil takiej roboty. Tego Johna straciliśmy z oczu, ale Liu ciągle kręci się na mieście. Tylko teraz, proszę, nie demoluj żadnej kuchni. Niszczenie jedzenia to grzech.

Max obiecał nie marnotrawić więcej darów bożych, w zamian dostał namiary na skośnookiego współnika z pierwszego numeru. Pan Liu mógł się już zacząć martwić o jakość swojego połączenia odnóży z resztą ciała.

*Maks wracał do domu dużo później niż zwykle, a chętnie przesunąłby ten moment jeszcze bardziej. Przewidywał, że czeka go ciężka przeprawa z Agatą. Przez ostatnich kilkanaście tygodni odsuwał ją jak tylko mógł od swoich spraw. Współpraca z Wydawnictwem Z1 na specyficznych zasadach, stanowisko prezesa w fundacji, która bardziej przypominała sektę niż organizację dobroczynną, dziwni ludzie w otoczeniu. No i w końcu, wydarzenia dnia wczorajszego – ukrywał to wszystko, aby po osiągnięciu oczekiwanego sukcesu móc przedstawić jako ciąg sprytnie zaaranżowanych przez niego wydarzeń. Ale sukces nie nadchodził, przynajmniej nie taki, którego się spodziewał. A teraz sytuacja zmuszała go do dopuszczenia wiedzy do Agaty i Basi. Oczywiście przygotował już wersję rzeczywistości typu *light*, w której on jest nadal niewinnym pisarzem osaczonym przez niebezpiecznych ludzi. Bardzo obawiał się otwarcia tej puszkii Pandory. Jedna informacja pociągnie następną, fakty ułożą się w logiczny ciąg, ludzkie języki się rozwiążą i pełny przekaz gotowy. Jednak nie miał wyjścia. Wspomnienie nagrań własnego zadka kołyszącego się rytmicznie pomiędzy nogami*

Edyty było wystarczającym bodźcem, żeby poważnie potraktować prezesową prośbę nie do odrzucenia.

– I co? Miło ci, że się tak męczę? – Maks popatrzył z wyrzutem w wieczorne niebo nad głową. – Wpuściłeś mnie w maliny i teraz chichoczesz tam w chmurach!

Nikt w niebiosach nie chichotał, ani nigdzie indziej w najbliższej okolicy. Innymi słowy szyderczy, złowrogi śmiech rozlegał się jedynie w głowie Maksa. W połączeniu z zalewającą go paniką i niepewnością jutra dawało to mieszankę oddziałującą na jego psychikę w sposób wysoce destrukcyjny. Do tego dochodziły podejrzenia wobec Agaty podsycane treścią własnej książki. Podobno Staszek był u nich w tym tygodniu już dwa razy. Kiedyś, jak Maks siedział w dzień i noc w swojej pracowni, nie widywał swojego przyjaciela częściej niż raz w miesiącu. Ciekawe o ilu wizytach w minionych tygodniach nikt Maksowi nie wspomniał? Odnosił również ostatnio coraz silniejsze wrażenie, że wszyscy cieszą się, kiedy go nie ma, że tak im lepiej. Panowała swoboda bez pisarskiego marudy w pokoju obok, za to z pełnym kontem zapełnianym przez darowizny na rzecz rozwoju jego nauk zawartych w książce o Maxie z Nowego Jorku. W odpowiedzi na targające nim wątpliwości druga połówka Maksa zaczęła uspokajać tę pierwszą, bardziej zapalczywą. Tłumaczyła, że żona go kocha, a dziecko dałoby się pokroić za tatę. Dodawała jeszcze, że to, co stworzył, to tylko wymysł, zwykła książka, lekka literatura sensacyjna.

– Która jednak podobno zmienia ludzi – warknął pod nosem – więc i nas mogła zmienić. Tyle, że raczej nie na lepsze.

Trzeba nadmienić, że Maks nie miał na myśli zmian, jakie przyniosła przełomowa książka u niego samego. Czuł, że wiele się zmieniło, ale oskarżał wszystkich wkoło, choć nie dało się ukryć, że to właśnie on był kreatorem rosnącego zamieszania. Jego lepsza połówka nadal walczyła, podsuwając tej złej koncepcje potwierdzające szlachetność zamiarów Agaty, ale nie miała zbyt przekonujących argumentów. Po długiej drodze znalazł się pod domem. Z klatki schodowej wychynał sąsiad. Panowie wymienili zdawkowe powitania. Tamten schodząc po stopniach odwrócił się kilka razy, bacznie lustrując wchodzącego do budynku pisarza. Ostatnio skończyły się królujące wcześniej pobłażliwe uśmieszki i plotki sąsiadów na jego widok. Czyżby ludzie coś wiedzieli o sukcesie ostatniej książki, może nawet ktoś ją tutaj czytał i czuje jej wpływ? Być może, lecz bardziej prawdopodobnym powodem zmiany nastawienia ludzi w otoczeniu był fakt, że w wyniku pracy Maksa w fundacji lepiej im się powodzi i inni widząc to, przestają kpić z biedaczyny-pisarzyny? Jednak, szczerze powiedziawszy, Maks nie do końca rozgryzł, dlaczego ten facet i inni ludzie z otoczenia tak się w niego wpatrują ostatnimi czasy? Czuł się niczym cesarz z baśni Andersena, który już przeczuwa, że dzieje się coś niedobrego, ale jeszcze nie dociera do niego fakt, że jest nagi.

Pomysł odwiedzin Agaty i Basi w miejscu pracy Maksa przeszedł nadszpodziewanie gładko. Małżonka wręcz się ucieszyła.

– Wreszcie zobaczą ten twój pałacowy przepych – cieszyła się Agata.

Maks zdziwił się. Nie przypominał sobie, żeby opowiadał o swojej siedzibie z takimi szczegółami, które dawałyby możliwość rozeznania co do wielkości i stopnia luksusu

posiadłości, gdzie działała fundacja. Czyżby Agata go śledziła? Basia natomiast była markotna.

– Co się stało? Nie chcesz zobaczyć gdzie tata pracuje? – dopytywał się.

– Chcę, ale wolałabym, żebyś to ty wrócił do domu, a nie my do ciebie – odpowiedziało cicho dziecko.

Maks zdziwił się, nie po raz pierwszy, rezolucyjnością swojej córki. Pomimo młodego wieku, umiała ubrać trudne sprawy we właściwe słowa. On je wciągał w kłopoty, zamiast je rozwiązać i powrócić w spokój domowych pieleszy. Czuł, że zamiary gangsterów z Z1 nie ograniczają się do pokazywania ludziom, że mistrz ma rodzinę. Jednak nie umiał przewidzieć dalszego ciągu wydarzeń, choć domyślał się, że będzie to coś na kształt wizualizacji wydarzeń z książki. A przecież wiadomo jak tam się wszystko skończyło.

– Kochanie, to bardzo przyjemne miejsce – przy tych słowach mimowolnie przyszła mu na myśl perwersyjna akcja z Edytą leżącą pod nim na biurku. Musiał szybko powiedzieć coś, co starłoby to wspomnienie. – I jest otoczone pięknym ogrodem. A w tym ogrodzie mieszka dobry i pomocny czarownik.

A konkretnie emerytowany zabójca – dodał w myślach. Jednak cel został osiągnięty. Basia zainteresowała się ideą zabaw wśród zieleni, a Maks odgonił lubieżne wspomnienie.

– A zaprosimy tam też wujka Staszka? – zainteresowało się niespodziewanie dziecko. – Bardzo go lubię. Jest wesoły i umie świetnie opowiadać różne historie.

– Nie. Jego na razie nie – odparł sucho Maks. – Później, kiedy nadejdzie czas.

Kolejny dzień w willi przeszedł do południa bez większych perturbacji. Prezes się nie pojawił, choć Maks obserwowany przez zamontowane kamery czuł się cały czas jakby ten siedział i patrzył mu przez ramię na ręce oraz inne części ciała. Po dwunastej zaczął nerwowo chodzić z kąta w kąt czekając na Agatę i Basię. Właściwie nie miał pojęcia co one będą tu robić. Pokaże im dom i ogród, może wezmą udział w popołudniowej pogadance motywacyjnej. Basia będzie mogła się pobawić z Jagódką na dworze. I to wszystko. Zupełnie nie widział możliwości zaangażowania ich w jakiegokolwiek działania tutejszej społeczności, która generalnie skupia się na zgłębianiu nauk Maks'a i poszukiwaniu nowej drogi życia. Po pierwsze, one nie są tym zainteresowane. Agata czytała powieść i nawet nie zająknęła się, że bohaterzy dziełka przypominają ich rodzinę. Na nią ten tekst nie działał. Być może go nawet nie dokończyła, uznając go za nudy niewarte uwagi. Po drugie, Maks nie wiedział co planuje prezes i pan Roman, ale im więcej o tym myślał, tym coraz bardziej się tego obawiał. W ostatnich rozdziałach jego książki śmierć zbierała obfite żniwo. Jak zamierzają oni cokolwiek zwizualizować wyznawcom Max'a z Nowego Jorku? Czyżby miał tutaj ktoś zginąć? Zasepił się, kiedy tylko wybrzmiała ta myśl. Czuł, że zapada się coraz głębiej w bagno, a za sobą wciąga jeszcze bliskie osoby. Przestał być już pewny czegokolwiek, ostatnie wydarzenia jasno dawały do zrozumienia, że się nim tu bez skrupułów manipuluje i go zastrasza. Czy otaczający go w willi ludzie na pewno są tymi, za jakich się podają? Czas mijał nieubłaganie, nieuchronnie nadchodził moment zapowiedzianego przybycia rodziny.

– Witam mistrza i prezesa – znajomy dziadek zapukał w okno. Maks wyszedł na taras. – Co nowego?

– Sądny dzień, proszę pana – westchnął Maks.

– Zdarzają się i takie – potwierdził Wiśnicki głosem człowieka, który przeżył już niejedną sądny dzień i wie, że panika wobec nadchodzących wydarzeń zawsze jest przesadzona. – A potem się okazuje, że życie idzie dalej, choć zazwyczaj nieco kuleje.

– U pana też tak było? – zapytał Maks. Po minie staruszka widać było, że raczej nie opiera się na cudzych przeżyciach. – I tak przez wszystkie dni?

– No cóż, jak sobie kto pościele, tak się wyśpi. Dlatego raczej niewyspany chodzę.

– Współczuję – mruknął Maks.

– Ja to już stary jestem i niewiele mam do stracenia, ale pan lepiej niech uważa – staruszek tradycyjnie zapalił papierosa, tym razem nie częstując Maksa. Być może miał już dość konwersacji przerywanych kanonadami kaszlu niewprawnego palacza.

– O czym pan mówi? – dopytywał się mistrz.

– Ten dom jest trochę jak żywa istota, przynajmniej dla mnie. Zostawiłem tu swoje życie, wtedy... No, kiedy to zrobiłem. I gdy ma się tu coś wydarzyć, ja to czuję – tłumaczył pan Wiśnicki. Wskazał na pierś. – O, tu mnie kłuje i nie mogę się na niczym skupić. I teraz mnie tak kłuje.

Pociągnął solidny haust dymu. Maks pomyślał, że mocny tytoń nie jest dobry dla kogoś, kogo kłuje w piersiach, ale powstrzymał się od kaśliwych uwag.

– Jak pan tak czuje, czemu nie może z nią bezpośrednio się kontaktować? – odniósł się natomiast do prośby o relacje ze spotkań z domniemanym duchem zamordowanej żony.

– Czyściec – odpowiedział sucho starzec. – Kara, pokuta, może nawet wieczna. Mogę wiele, ale nie to, co dla mnie najważniejsze.

– Ale przecież pan jeszcze żyje – zdziwił się pisarz.

Staruszek skrzywił się z wyrazem niepewności na twarzy.

– Czy ja wiem – mruknął.

Nie pytał dziś o postać kobiety, którą rzekomo można tu spotkać. Być może domyślił się, że ostatnie opowieści o białej damie i jej wyznaniach były zmyślone. Maks aż zmartwił na myśl, że swoimi kłamstwami dokłada ciężarów umęczonej duszy pokutującej za zbrodnie życia.

– Wie pan coś konkretnego o najbliższej przyszłości? – drażył zaniepokojony Maks.

– Mam przecucie, że ktoś tu wkrótce ponownie zginie – szepnął starzec.

– Ale... – Maks chciał się dowiedzieć więcej, słysząc, że jego złe przecucia potwierdza ktoś jeszcze. Jednak po wieszczącej katastrofę postaci pozostała jedynie chmura papierosowego dymu i kołyszące się gałęzie krzaków, przez które się przedzierał. Swoim zwyczajem starzec bezszelestnie zniknął, gdy zobaczył, że ktoś wszedł do gabinetu za oknem. Maks się odwrócił.

– Cześć, tato! – Basia przebiegła przez pokój, wypadła na taras i przytuliła się do niego. Za nią pojawiła się Agata.

– Cześć, już jesteśmy. Jakaś Niemka nas tu przyprowadziła – wodziła zdziwionym spojrzeniem po gabinecie i wyjściu na ogród, pociągnęła również nosem. – Nie mówiłeś nic, że pracują tu Niemki, do tego ładne dziewczyny. Niezły gabinet ci przydzielili. Palisz papierosy?

Pociągnęła podejrzliwie nosem. W głosie czuć było zdziwienie i wyrzut o brak informacji o nowym nałogu męża.

– To Szwajcarka, nie Niemka – Maks przełknął nerwowo ślinę i rozpoczął wdrażanie długo przygotowywanego planu wprowadzenia żony i córki w swój świat, tłumacząc wszystko zgodnie z zasadą *łagodnie i nie do końca*. – I nie pracuje tutaj. To swego rodzaju wolontariuszka. Pomaga w wydawnictwie ucząc się polskiego, trochę też udziela się w fundacji.

– Jakiej fundacji? O tym też nie mówiłeś? – zdziwiła się Agata.

– Jak wydawnictwo opublikuje książkę, która wydaje się mieć duży wpływ na ludzi, pomaga im w życiu, wtedy stara się organizować swego rodzaju kursy i pogadanki. Po prostu chcą, żeby to nie była tylko książka, ale i cały styl życia wokół tego. Wtedy zajmuje się tym fundacja – Maks ciągnął swoje *okrągłe* wyjaśnienia.

– Aha, to oni też wydają takie lepsze książki? – upewniała się Agata. Maks poczuł nagły przypływ wściekłości, jak za dawnych *domowych* czasów, kiedy na każdym kroku odczuwał jej lekceważenie dla swojej pracy i żał, że nie zajmuje się czymś pożyteczniejszym.

– Owszem – z trudem opanował się i kontynuował wyjaśnienia. – Choć i moja książka trochę się do tej kategorii kwalifikuje, przynajmniej według niektórych. Chodźcie na zewnątrz.

Postanowił skupić się na konkretach.

– Ogród macie naprawdę ładny, ale to wewnątrz... Brr, okropne! – komentowała Agata. – Jakieś rzeźby, kotary, dziwaczne malowidła. Nigdy bym tu nie chciała mieszkać, ani nawet pracować.

Maks przyzwyczał się do wyposażenia willi i zasadniczo lubił ten styl, dlatego nie spodziewał się tak gwałtownej reakcji.

– Chodziło o to, żeby to nie było zwykłe miejsce. Ludzie przychodzą tu po coś nowego w życiu. Nie mogą zastać podłogi z lastryko, samodzielnie złożonej meblościanki i kanapy z IKEA – tłumaczył.

– Możliwe, ale ja od progu miałam wrażenie, że to straszne miejsce, jakby tu kiedyś kogoś zabili.

Spojrzał na żonę ze zdumieniem. Już druga osoba w krótkim czasie czuje tutaj śmierć. Naprawdę da się takie rzeczy odbierać? Dlaczego on jest w tej materii niczym ślepiec skoro inni podskórnie coś takiego łatwo wyczuwają?

– Gdzie ten czarodziej, tato? – Basia rozglądała się po zaroślach pomna zapowiedzi spotkania z tajemniczym mieszkańcem tutejszego gąszczu.

– Nie wychodzi na zawołanie. Pojawia się, kiedy mu się ktoś spodoba i wtedy zostaje się jego przyjacielem – tłumaczył Maks.

– A jak mu się nie spodobam? – martwiła się Basia.

– To niemożliwe. Kto by cię nie spotkał, jest tobą zachwycony. Ale na razie nie zwracajmy sobie głowy czarodziejem. Zawolałam jedną dziewczynkę. Jest w twoim wieku. Nazywa się Jagoda. Pobawicie się razem – zdecydował Maks.

– Skąd tutaj dzieci? – zainteresowała się Agata.

– Jedna z wolontariuszek przychodzi na zajęcia z dzieckiem.

– Dużo macie jeszcze tych wolontariuszek? – Agata denerwowała się coraz bardziej z każdą informacją o zakamuflowanych kobietach w otoczeniu męża.

Niezręczna rozmowa na szczęście dla Maksa została przerwana pojawieniem się grupy ludzi, którzy wychynęli zza rogu. Magurowie, Henryk, pani Hanna i kilku innych, z tyłu siedł pan Czesio z nieodłącznym uśmiechem i papierosem w ustach. Wyglądał trochę jak pasterz zaganiający owce do zagrody.

– To moi współ... – Maks zastanawiał się chwilę jak nazwać przybyszów. – Moi współpracownicy. Opracowujemy razem koncepcje nowej książki, wymieniamy się uwagami i spostrzeżeniami.

– Jacyś inni pisarze, czy redaktorzy? – Agata kompletnie zbaraniała na widok nadchodzącej grupy, która bardziej wyglądała na pielgrzymkę oazy rodzin do świętego obrazu niż zespół redakcyjny.

– Raczej świadomi odbiorcy literatury – wyjaśniał Maks.

Świadomi odbiorcy stanęli przed nimi półkolem i wpatrywali się z nieukrywaną, wręcz natarczywą ciekawością w Agatę i Basię. Tak musieli wyglądać Papuasi wlepiający zdumione spojrzenia w pierwszych lądujących na Nowej Gwinei białych. Ciekawość tubylców walczyła o dominację ze strachem przed nieznanymi przybyszami.

– Mistrzu, czy już wkrótce wypełni się pismo? – zapytał w końcu stary Magura nie odrywając wzroku od przybyłej kobiety z córką.

Zapadła cisza pełna oczekiwania. Wszyscy nadal patrzyli jak zahipnotyzowani na Agatę z dzieckiem, oczekując, że ich pojawienie zwiastuje zapowiadany zwrot w życiu tutejszej wspólnoty, zgodnie z opisem akcji zawartym w czczonej księdze o Maxie z Nowego Jorku.

– Pismo wypełni się o czasie – odpowiedział mistrz w identycznej konwencji. – Czekać, a doczekacie.

Wszyscy skłonili się z szacunkiem i odeszli za budynek, pozostawiając ponownie Maksa sam na sam z rodziną. Powiedzieć, że mina Agaty wyrażała konsternację, to zdecydowanie zbyt łagodne określenie. Stała przez moment jak sparaliżowana.

– Ty, a co oni tak? Jakies jasełka? – wyjąkała w końcu.

– Mówiłem ci, jestem dla nich mistrzem – Maks nie mógł się powstrzymać od zaznaczenia różnic w traktowaniu go w domu i w fundacji. – Uważają, że świetnie piszę. I sądzą, że moja książka zmieniła ich życie.

Agata spojrzała na męża, jakby był przybyszem z innej planety. Następnie mruknęła tylko:

– Aha.

Zapadła cisza pełna konsternacji. Maks zastanawiał się co dalej. W głowie dzwoniła mu tylko jedna myśl, że nie może dopuścić, żeby one po oglądnięciu ogrodu oraz zapoznaniu się z miejscowymi zwyczajami mieszkańców willi, po prostu wróciły do domu. Wtedy prezes może spełnić swoją groźbę. Jednak czuł, że odwiedziny zaczęły się niefortunnie. I mina żony wcale nie przepowiadała, że zanoszą się na polepszenie atmosfery.

– Maks, po co my ci tu jesteśmy? – szepnęła Agata.

– No, chciałem wam pokazać nowe miejsce pracy i w ogóle...

– A ja mam wrażenie, że ty nas chcesz tu po coś. Tylko nie wiem po co.

Maks przełknął nerwowo ślinę.

– Wiesz, ostatnio mało ze sobą jesteśmy, niewiele rozmawiamy. Chciałbym, żebyśmy się znowu zbliżyli do siebie. Jak za dawnych czasów – wyjaśniał.

– A ja mam wrażenie, że zawsze byliśmy blisko tylko fizycznie. Potrzebowałeś pokoju do pracy, jedzenia i kogoś, na kogo można narzekać i komu się wyżalić na niesprawiedliwość świata. Wtedy byłeś blisko. A jak się już usamodzielniałeś, to nie jesteśmy ci potrzebne. To się czuje w każdym słowie, spojrzeniu, każdego dnia, kiedy cię nie ma – Agata niemal wykrzyczała swoje żale z ostatniego okresu.

– Przecież ja chcę być z wami! – zdenerwował się Maks.

– Tak, ale tylko w przypadku, kiedy ci to pasuje i na twoich zasadach. Przez prawie trzy miesiące nie puściłeś pary z gęby o swojej pracy, aż tu nagle – bum! Zapraszam, przychodźcie, najlepiej jutro. A ja sądzę, nawet jestem pewna, że to jest ci do czegoś potrzebne. I nie ma nic wspólnego z pogodzeniem się – załkała.

– Ależ Agatko! – próbował oponować Maks usiłując ją przytulić, jednak ona machnęła ręką, jakby odganiała natrętą muchę.

– Basia, Basia! – Agata po chwili zawołała córkę, która zgodnie z radami Maksa zaczęła kilka minut wcześniej z Jagodą zabawę w chowanego. – Oglądaliśmy już pracę taty, musimy wracać. Masz na jutro dużo zadań domowych.

– Ależ ja dopiero zaczęłam się bawić. Tu jest super – zmartwiła się Basia. – Jagoda miała mi pokazać świetne kryjówki w ogrodzie. No, i ten czarodziej...

Pomimo protestów i płaczy Basia została niemal siłą zaciągnięta za rękę w kierunku wyjścia. Maks stał i patrzył za oddalającymi się żoną i córką. Nie miał pojęcia, co powinien robić. Biec za nimi, ściągnąć z powrotem, machnąć na to ręką? Czuł, że było wielu świadków tej sceny. Z pewnością go wszyscy podglądali, komentowali i wysnuwali wnioski. Wiedział, że to jest jakiś punkt przełomowy. Niektórzy aktorzy odmówili gry w spektaklu i nie było pewne jak akcja potoczy się dalej. Targały nim złe przeczucia.



Liu też nie wiedział, gdzie jest John. A jeśliby miał jakikolwiek pomysł, gdzie szukać prowodyra obu oszustw, na pewno by mu wyznał. Został złapany przez Maxa według wskazówek od Pereza i chętnie uchyliłby nieba swojemu prześladowcy, byle ten przestał się nad nim znęcać. Powszechna opinia o małomówności Azjatów nie potwierdziła się. Chińczyk mówił wszystko co wiedział, a nawet więcej. Jednak z każdą chwilą stawało się jasne, że miejsce pobytu Johna było dla niego nieznane. Jedynym nowym, wysoce zastanawiającym faktem, który wyszedł na jaw w zeznaniach Liu była informacja, że John najprawdopodobniej działał na czyjeś zlecenie. Nie powiedział im tego wprost. On tylko wynajmował ludzi do kolejnego skoku i nie miał zamiaru się przed nimi spowiadać, jednak Liu usłyszał przypadkiem to i owo, połączył fakty, dorzucił swoje przemyślenia. I teraz, bity oraz przypalany żywcem, chętnie i głośno podzielił się swoimi przypuszczeniami. Dawny kolega z klasy został nasłany. Zresztą Max coraz bardziej wątpił w to, czy John był naprawdę tym, za kogo się podawał. Znał trochę szczegółów z ich wspólnych lat szkolnych, to fakt, ale żadnej pewnej nici łączącej tę osobę z Johnem-uczniem sprzed ponad dwudziestu lat nie było. Kiedy Liu zaczął już jednoznacznie zmyślać i było oczywistym, że nic więcej wartościowego nie dorzuci, Max go po prostu zabił ciosem noża w serce. Jak w greckiej tragedii – tak sobie to przedstawiał. Podobnie do utworów Sofoklesa – akcja się gmatwa, okazuje się, że nikt nie jest tym, za kogo się podawał na początku i jedynym wyjściem staje się śmierć wszystkich bohaterów. Przy życiu pozostaje jedynie chór starców i postacie drugoplanowe, choć i te nie zawsze. Tyle imaginacja Maxa. Dla postronnego obserwatora zabójstwo na Liu wyglądałoby jak szlachtowanie wieprzka. Unieruchomiony i pobity człowiek zakończył swoje życie drobnego cwaniaczka i oszusta w opuszczonym portowym magazynie tylko dlatego, że zgodził się odgrywać kogoś innego za kilkaset dolarów.

Maks długo patrzył na drogę ku bramie wyjściowej, choć Agaty i Basi dawno tam już nie było. Odeszły – tak właśnie pomyślał. Nie poszły, zrezygnowały z odwiedzin lub coś podobnie słabego, odwracalnego, ale odeszły. Pomimo, że Agata nic więcej nie powiedziała, to czuł, że właśnie nadszedł jakiś koniec, że został bezapelacyjnie sam. W jego grze pod tytułem małżeństwo doszedł do najniższego poziomu, gdzie gracz kręci się już tylko w kółko, pozbawiony siły i możliwości wyrwania się dna, na którym wylądował. Po dłuższej chwili otrząsnął się z ponurych rozmyślań. Był pewien, że z budynku na pewno go obserwują, komentują i oceniają. Nie da im tej satysfakcji, że będzie smutny lub zrobi coś nagłego i głupiego. Odwrócił się i zdecydowanym, pełnym godności krokiem udał się w stronę gabinetu.

– Mistrzu! Cudownie! Doskonale to odegraliście! – Na jego fotelu siedział rozpostarty prezes wydawnictwa i od progu witał wchodzącego pisarza okrzykami zachwyty. – To naprawdę pomysł na szóstkę, żeby wszyscy zobaczyli jak trudną masz sytuację rodzinną i jak bardzo jesteś smutny.

Maks nic nie odpowiedział na pochwały niechcianego gościa, za to znowu pomyślał, że chętnie by go zabił. Nawet bez wyłączania kamery. Niech ta popieprzona, międzynarodowa wspólnota zwolenników Maxa z Nowego Jorku zobaczy, że ich przewodnik duchowy umie nie tylko gadać, ale i robić rzeczy pozytywne. Na przykład usuwać wrednych ludzi z tego świata.

– Ja wiem, ja wiem – kontynuował prezes siląc się na ton pełen udawanego współczucia. – To kosztuje dużo nerwów, ale nie ma dobrej sztuki bez emocji.

– Obawiam się, że to nie było odegrane – warknął Maks. – One naprawdę chcą mnie zostawić.

– To chwilowe, wszystko się jeszcze ułoży. Wyjaśnicie sobie nieporozumienia. Przecież sam wspomniałeś, mistrzu, że jesteście normalną, zwykłą i kochającą się rodziną. Rodzina się wspiera, wzajemnie wybacza. Bez obaw, będzie dobrze, a cel został osiągnięty. Historia Maxa rozgrywa się tu, na oczach i w sercach wszystkich.

– Nie jestem żadnym Maxem! To tylko postać fikcyjna. Jego problemy są nieprawdziwe, a ja mogłem równie dobrze inaczej to napisać, kazać mu tańczyć na jednej nodze i śpiewać wesołe piosenki – zawył Maks.

– Ale tego nie zrobiłeś. Coś przecież tobą kierowało przy stawianiu liter. Przypadek? Ślepy los? Może sam Bóg? – prezes grał ostro.

– A może szatan? – dodał Maks.

– Obojętne, byle działało. I działa! – zachwycił się prominentny przedstawiciel Z1. – No, a teraz kujmy żelazo póki gorące. Wszyscy są jeszcze w ferworze oglądanej sceny. Teraz trzeba im zapodać odpowiednią pogadankę motywacyjną.

Maks westchnął ciężko. Był jak bezwolny pyłek na wietrze. Gdzieś pędził, ale nie miał pojęcia dokąd. Być może zaraz ta wielka siła łupnie nim z zabójczą siłą o ścianę albo porzuci w jakimś zapomnianym przez wszystkich kącie. Jednak na pewno nie obejdzie się z nim łaskawie.

Popołudniowy wykład był z pozoru podobny do każdego z poprzednich. Maks omawiał wcześniej wybrany krótki fragment swojego utworu, tradycyjnie rozwijając zawarte w nim myśli. Choć lepiej byłoby to nazwać ich swobodną interpretacją, czyli podkładaniem pod tekst niemal dowolnego przekazu. Patrząc na atmosferę panującą w sali nie można było się oprzeć wrażeniu, że zebrani czegoś oczekują. Być może pojawienie się rodziny Maksa odczytywano tu jako początek jakiejś większej akcji. Prezes przecież zapowiadał, że wyznawcy Maxa z Nowego Jorku na coś czekają, że nie wystarczają im już tylko słowa. Na koniec spotkania pojawiły się nieoczekiwane pytania.

– Mistrzu, mówiłeś kiedyś, że należy się wyzwolić od złej przeszłości choćby na przekór wszystkiemu i wszystkim. Czy śmierć zadana wrogom w takim celu jest godna potępienia? – zapytał stary Magura.

– Każde zabójstwo jest godne potępienia – zaczął politycznie poprawnie Maks. – Ale niektóre są potrzebne i dające się wytłumaczyć. Szczególnie te wyzwalające z niewoli zła.

– To znaczy, że gdyby ktoś zabił złą osobę i umiał udowodnić dobroczynny charakter tej zbrodni, nie zasługiwałby na karę? – dopytywała się pani Hanna.

– Niekiedy wina i kara są poza ludzkim pojęciem. Sądzę jednak, że bywają takie sytuacje, że można uznać zabójstwo jednoznacznie za uzasadnione – kontynuował Maks w swoim tradycyjnie proroczym stylu.

Padło jeszcze kilka pytań w temacie morderstw w słusznej sprawie. Maks po kolejnych wyjaśnieniach miał dość. Cóż go obchodzą morderstwa w dobrej albo złej intencji? Niech się tym zajmują sądy. On pragnął jedynie czym prędzej zakończyć dzisiejszą sesję, udać się do domu, aby wyjaśnić sprawy i pogodzić się z Agatą. Z każdą chwilą upływającą od jej zniknięcia wzrastała w nim obawa, że zniszczył coś bezpowrotnie. Można rozwiewać moralne wątpliwości innych oraz naprawiać czyjeś życie, jedynie mając poukładane własne. W przeciwnym przypadku wszystkie dobre rady i decyzje są zatruwane przez jego wewnętrzny niepokój i brak pomysłu na własny los. Pytania urwały się w końcu. Mistrz pospiesznie pobłogosławił słuchających ruchem ręki i udał się do swojego gabinetu. Pragnął tylko wziąć stamtąd kurtkę i co tchu popędzić do domu z nadzieją rozwikłania trudnych spraw.

Prezes nadal siedział w jego fotelu. Odwrócony tyłem do drzwi wejściowych milcząco wpatrywał się w zieloną ścianę zarośli w ogrodzie. Maks wpadł do pomieszczenia, skrzywił się widząc, że natrętny gość cały czas bezczelnie okupuje gabinet prezesa fundacji. Chwycił szukane okrycie i bez jakichkolwiek słów pożegnania skierował się ku wyjściu. Prezes wydawnictwa nadal siedział w bezruchu i milczał. Maks w drzwiach odwrócił się. Głupio mu było opuszczać go *po angielsku*, bez jednego słowa. Minimum grzeczności należy zachować, nawet wobec nieprzyzwoitych gburów.

– Wychodzę. Niech pan zamknie za sobą drzwi. Nie wiem, czy jeszcze tu kiedykolwiek wrócę. Nawet, jeżeli pan ten film jej prześle, to ja i tak... – urwał zdanie w połowie, dziwiąc się sam sobie, że mógł coś takiego powiedzieć. Jeszcze przed południem drżał ze strachu przed ujawnieniem nagrań i w ogóle wszelkich tajemnic, a teraz przestał o to dbać. Zrozumiał, że w tej grze nie ma jasnych reguł i potulność przed niczym go nie uchroni. Prezes nadal milczał. Coś tu było nie w porządku. Maks zmarszczył brwi i podszedł do siedzącej postaci. Z każdym krokiem upewniał się, że wszystko jest w jak największym nieporządku. Zbliżając się do fotela najpierw zobaczył ręce, unieruchomione na poręczach fotela mocną taśmą techniczną. Wyglądały jak rozczapierzone szpony ptaka, który usiłował się bezskutecznie zerwać z uwięzi. Po dwóch kolejnych krokach zauważył, że i nogi są skrępowane. Zaszedł siedzącą postać od przodu. Usta zaklejone taśmą. Zastygłe oczy nadal emanowały bólem, którego ofiara doznała przed śmiercią. Rozerwana koszula odsłaniała mnóstwo ran i krwawych śladów. Ktoś go załatwił w naprawdę bestialski sposób. Kto? Kiedy? Przecież nie dalej jak dwie godziny temu rozmawiał z tym człowiekiem. A potem był kilka metrów stąd prowadząc wykład w dawnym salonie Wiśnickich. Maks z zaskoczenia i przerażenia nie mógł wykrztusić ni słowa. Stał dłuższą chwilę nad martwym prezesem osłupiony, nie umiejąc przedsięwziąć nic mądrego.

– Oto się zaczęło – szepnął ktoś od drzwi. – Prawdziwy Max nadchodzi.

Maks podniósł głowę i ze zdziwieniem skonstatował, że do pokoju po cichu weszło kilkoro jego uczniów i ustawiło się milcząco w półkole. Również na tarasie pojawili się gapie zerkający do środka. Wszyscy patrzyli w skupieniu na Maksa.

– Słuchajcie, to nie tak. Wszedłem do gabinetu i on już tu siedział. Ktoś go zabił, kiedy byliśmy razem na spotkaniu – tłumaczył, wodząc wzrokiem po zebranych.

– Zaczęło się – szepnął ponownie Magura, jednak na tyle głośno, że można było usłyszeć każde słowo nawet w najdalszym kącie pokoju. – Morderstwo ku wyzwoleniu. Tak jak przepowiedziałeś, mistrzu. Jesteśmy z tobą, też pragniemy być wolni.

– Ależ ludzie! Co wy? – Maks zdenerwował się nie na żarty. Powoli dochodziło do niego, że oni uważają go za zabójcę prezesa. Co więcej, pochwalają ten czyn, chcą w jakiś sposób w nim współuczestniczyć, odczuć jego skutki na sobie. Zrozumiał, że ktoś go wrabia w poważną kryminalną sprawę. To stąd te dopiero co zakończone pytania o morderstwo w słusznej sprawie! Ale kto? Dotychczasowa pewność odnośnie przywódczej roli prezesa pękła jak bańka mydlana. Zginał marnie, więc był jedynie pionkiem w oszustwie lub wręcz ofiarą manipulacji. Maks toczył wściekłym, a zarazem podejrzliwym spojrzeniem po zgromadzonych. – To nie ja go zabiłem.

– Ale pochwalasz słuszne morderstwa, mistrzu – wygarnął mu stary Magura. – A wszyscy słyszeli i widzieli, jak bardzo nienawidzisz prezesa. Przecież ci groził i ci szantażował. Zasłużył na śmierć.

Tłum zaszemrał potwierdzając swoje poparcie.

– Jak to: widzieli? – jęknął Maks. Po sekundzie zrozumiał, że wbrew zapewnieniom wszystkie kamery były publiczne. I nie tylko nadawały obraz z jego orgii seksualnych, ale i innych wydarzeń. W tym upokorzeń ze strony prezesa. Wszystko zostało zaplanowane jako medialne show dla wyznawców Maxa z nim w roli głównej. Sukces, problemy, radości, konflikty z rodziną, zakończone opuszczeniem i poniżeniem mistrza przez wszystkich, a w ostatecznym rozrachunku pozbycie się przez niego oprawców za pomocą *słusznych zabójstw*, które wcześniej publicznie zapowiedział. Taki przekaz płynął cały czas do ludzi zgromadzonych wokół jego księgi. Prezes pewnie by piał z zachwytu nad skutecznością tej akcji marketingowej, gdyby jeszcze żył. Niestety sam padł ofiarą wzmacniania siły marketingowego przekazu do wyznawców Maxa.

– Wszyscy wyjść! Won! – wrzasnął Maks widząc, że ma do czynienia ze ślepyimi i głuchymi na zdrowy rozsądek fanatykami. I nieważne było, że czcili właśnie jego, a właściwie swoje wyobrażenie, kim on i jego książka są. Zrozumiał, że stali się niebezpieczni i nie chciał mieć z nimi więcej nic wspólnego. – Kto mi będzie przeszkadzał, tego załatwię bez mrugnięcia okiem. Tak jak jego.

Wskazał na prezesa. Ludzie w milczeniu zaczęli się wycofywać z pokoju i z tarasu. Na ich twarzach było widać wielkie podniecenie zaistniałą sytuacją. Przepowiednia się powoli sprawdzała, wszystko rozgrywało się tak jak w książce. Mistrz ma kłopoty, jest opuszczony przez wszystkich i zabija, by się wyzwolić. Nie potrafili sobie wyobrazić lepszej wiadomości.

Kiedy wyszli Maks zaczął chodzić w zdenerwowaniu z kąta w kąt. Po chwili przypomniał sobie, że najprawdopodobniej nawet teraz ktoś go obserwuje przez kamerę. Trzeba ją zniszczyć, nie da robić ze swojego życia i zmartwień jakiegoś pieprzonego reality-show. Rozglądnał się nerwowo, ale żadnej kamery nie zauważył. Jednak nawet on, jako techniczny ignorant, był świadom możliwości nowoczesnego sprzętu. Prawdopodobnie urządzenie jest małe i zamontowane tak, żeby się nie rzucało w oczy.

Chodził po wszystkich kątach gabinetu wypatrując obiektywu. Na próżno. W końcu przypomniał sobie ujęcia pokazywanego mu filmu z Edytą.

– To musiało być gdzieś tu – mruzczał, lustrując kątem nad biblioteczką, zgodnie z zapamiętanym obrazem. – Jest!

Mikroskopijnych rozmiarów kamera została zakamuflowana w fantazyjnym szklanym wazonie z suszonymi kwiatami. Maks z wściekłością zerwał kable zasilające, rzucił video-pluskwę na podłogę i zdeptał obcasem.

– Koniec relacji na żywo, koniec podglądania ludzi, koniec robienia pośmiewiska z poważnych rzeczy – sapnął z pasją.

Prezes, jako osoba wyłączona już na stałe z jakiegokolwiek ziemskiej akcji, siedział na fotelu milcząc i wpatrując się zbolalymi oczyma w kołyszące się drzewa ogrodu. Gdyby nie zszedł przedwcześnie ze sceny historii o Maxie, pewnie byłby zachwycony jak bardzo główny aktor spektaklu angażuje się w odgrywaną rolę.



Mieszkanie było puste. Max chodził z kąta w kąt zdezorientowany. Margaret i Cindy zniknęły. Ich telefony nie reagowały, a bałagan panujący w pomieszczeniach świadczył o sporym zamieszaniu przy opuszczaniu mieszkania. Pierwsza myśl, która przysłała mu do głowy to podejrzenie porwania. Perez i jego kumple zapewne uwięzili żonę i córkę, żeby go nadal szantażować i wymuszać spłatę kolejnych rat nieistniejącego już przecież długu. Miotając się po mieszkaniu w poszukiwaniu jakichkolwiek tropów uświadamiał sobie jak bardzo oddalił się od swojej rodziny. Nie miał pojęcia, czym się ostatnio zajmowały, ani jak jego „nowe życie” na nie wpływało. Zajęty interesami z Johnem-antykwariuszem, a następnie usiłując spłacić bandyckie długi, właściwie wykreślił je całkowicie ze swojego otoczenia. Oficjalnie robił to wszystko dla nich, jednak w rzeczywistości jego cel był inny. Każdy z ostatnich dni upływał mu na udowadnianiu sobie, że nie jest życiowym zerem oraz na strachu przed zemstą bandytów. Wszystko inne stracił z oczu. Żył przez długi okres jak w amoku. Umowa z Johnem, odkrycie oszustwa, próby odzyskania pieniędzy, zastraszanie przez Pereza, nieludzka śmierć zadana kompanom z pierwszego skoku przy przesłuchaniach – to wszystko przebiegało przed jego oczami niczym obraz szaleńczej pogoni za czymś nieuchwytnym i niezdefiniowanym. Jeden czyn pociągał niemal automatycznie następny, a on za każdym kolejnym zastanawiał się coraz mniej po co to robi. A teraz, stojąc nad bałaganem w opuszczonych pomieszczeniach, które niegdyś mieniły się jego domem, zrozumiał, że stało się coś bardzo złego i musi walczyć. Musi je odzyskać, choćby dlatego, żeby nie mieć wyrzutów sumienia albo ponownie sobie i innym udowodnić, że jest coś wart. Po dłuższej chwili naszła go kolejna refleksja. Nie pomyślał, że robi to z miłości. Dlaczego? Max zastygł zaskoczony, kiedy dotarły do niego jego własne intencje. Nawet w tak beznadziejnej sytuacji nadal dbał jedynie o czubek własnego nosa? Pozostawało pytanie, czy to źle, jeżeli w ten sposób uda mu się je uratować. Odpowiedź nie była oczywista.

Maks po zniszczeniu kamery wpatrywał się dłuższą chwilę w skrępowane ciało prezesa. Powinien wezwać policję i zrzucić z siebie ciężar informacji o dokonanej tu przez nieznaną sprawców zbrodni. Jednak powstrzymał go przed tym irracjonalny strach, iż w toku dochodzenia okaże się, że to on jest w jakiś sposób winny tej śmierci. Brzmiało to nielogicznie, pokój poddawano przecież stałemu monitoringowi, a po opuszczeniu gabinetu przed wykładem był cały czas obserwowany przez innych, którzy mogliby mu zapewnić murowane alibi. Ale zaraz za tym stwierdzeniem pojawiała się wspomnienie kręgu zachwyconych twarzy wpatrujących się w swojego guru, który rzekomo łączy do wolności poprzez uzasadnione i etyczne morderstwa. Nie, oni wcale nie dają pewnego alibi. Wręcz odwrotnie, mogą go podczas przesłuchań pograżyć swoimi dziwnymi wypowiedziami, domysłami lub nawet cytatami z jego własnych wykładów. Jakże teraz żałował, że poruszył publicznie tyle kontrowersyjnych tematów w bardzo odważny, niekontrolowany sposób. Dowolna interpretacja tekstu mogła się

skończyć tym, że słuchacze rozumieją go w dowolny sposób. Odpowiedzialność za słowa okazała się nie być tylko czczym hasłem propagandowym. Jednak Maks zrozumiał to zbyt późno. A co nagrała i pokazała innym kamera w tym pomieszczeniu i kto ją kontrolował? Bóg jeden wie.

Bóg. Na jego wspomnienie przyszło mu na myśl, że cała historia to kolejny boski żart, po którym komuś, gdzieś tam wysoko w chmurach będzie wesoło, a jemu wcale. Ponownie rzucił okiem na martwego prezesa. Pierwszy szok po odkryciu ciała powoli mijał, natomiast on bał się coraz bardziej. Ktoś to wszystko zaplanował, a dotychczas główny podejrzany o rolę kierowniczą w całym przedsięwzięciu siedział przed nim martwy. Któż więc mógłby być prawdziwym szefem? Pan Roman, Czesław, Henryk, ktoś inny z willi, stary Wiśnicki, a może ów mityczny Manuel Borca del San Estrada? Maksowi w jego stanie rozdygotania nerwowego niemal każda z opcji wydawała się możliwa. W końcu postanowił bezzwłocznie opuścić to miejsce. Nie mógł znieść niepewności sytuacji i widoku umęczonego trupa. Trudno, co będzie, to będzie. A teraz trzeba wracać do domu, do Agaty i Basi. Wytlumaczyć się, przeprosić, może już tu nigdy dobrowolnie nie wrócić. Chwycił kurtkę i popędził ogrodową aleją do wyjścia. Zasłona na oknie na piętrze wychodzącym w stronę bramy głównej opadła. Postać odwróciła się i mruknęła:

– Zwiął. Można zaczynać kolejny etap.

Następnie człowiek ten uśmiechnął się pod nosem z zadowoleniem, choć w rzeczywistości jego twarz cały czas wyglądała jakby się uśmiechał.

Mieszkanie świeciło pustką. Nie tylko nie było tam Agaty i Basi, ale wiele znaków świadczyło o ich wyprowadzce. Część szaf było przynajmniej połowicznie opróżniona, również schowek na torby stał na wpół uchylony. Maks zajrzał do środka – brakowało ze dwóch lub trzech walizek. Po kilkunastu sekundach lustrowania każdego kąta mieszkania usiadł na łóżku w pokoju Basi, i zanurzył twarz w dłoniach. Dominujące od kilku godzin poczucie opuszczenia okazało się faktem. Każde kolejne odkrycie umacniało go w tym przekonaniu. Nie dręczył go jakiś wymaginowany smutek, tak częsty towarzysz pisarskiej doli. Teraz nadeszło realnie zimne i twarde jak szkło poczucie, że nie ma już nikogo na świecie. I sam jest temu winny. Jednak poddawał się temu odczuciu tylko krótką chwilę, po której zerwał się i warknął wściekle:

– Wiem czyja to sprawka, bydlaku! Podkradłeś mi je i zapłacisz za to, choćby i życiem!

Dotychczas wszystko rozwijało się podobnie do opisaney przez niego historii Maxa z Nowego Jorku, więc i teraz, widząc opuszczone mieszkanie, nie wątpił, że rozgrywa się kolejny etap nakreślonej w książce historii. Już on wie, kto mu żonę zbałamucił! Z hukiem wypadł na klatkę schodową i pędząc po trzy stopnie popędził do wyjścia. W drzwiach niemal zderzył się z wchodzącym z podwórza sąsiadem.

– Dzień dobry – wyjąkał lokator zamieszkujący piętro wyżej niż rodzina Maksa.

– Z drogi, bo zabiję! – warknął literat w biegu, omijając człowieka dosłownie o centymetry. Po sekundzie już go nie było. Sąsiad patrzył za nim ze zdezorientowanym wyrazem twarzy. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie biec za rozpędzonym Maksem i nie przekazać mu, że podczas nieobecności jego i Agaty ktoś buszował po mieszkaniu i nawet coś stamtąd wyniósł. On wraz z żoną słyszeli podejrzane odgłosy oraz

obserwowali przez firankę mężczyznę wychodzącego z domu. Nawet zastanawiali się nad zawiadomieniem policji, jednak potem doszli do wniosku, że u *takich dziwaków* jak rodzina Maksa wszystko jest możliwe, więc dali spokój. Stan pędzącego szalonym biegiem Maksa tylko wzmocnił postanowienie trzymania się jak najdalej od szaleństw literata i jego rodziny.

– Naczyta się taki Dostojewskich i Słowackich, a potem lata, jakby mu pieprzu w dupę nasypali – mruknął mężczyzna człapiąc po schodach w górę.

Maks tymczasem biegł pod znany adres. Kiedyś bywał tu częściej. W ogóle w latach młodości prowadził dużo bujniejsze życie towarzyskie, w którym zdawało mu się, że otaczają go tłumy przyjaciół. Początki literackiej twórczości mają często korzenie w kontaktach towarzyskich. Ludzie rozmawiają, opowiadają sobie historie, zwierają się, a potem niektórzy przenoszą swoje myśli na papier, próbując następnie zaprezentować to światu. Jego pierwszą publiką byli zazwyczaj znajomi. Rosnąca literacka popularność przyciągała kolejnych twórczych kumpli i w ten sposób machina kreowania pierwszych pisanych utworów zaczynała się kręcić. Obecnie rolę recenzentów tekstów i kreatorów opinii często przejmują odbiorcy w internecie. Jednak niezależnie od otoczenia, w którym inkubuje się twórcza myśl, człowiek zostaje w końcu ze swoją literaturą sam. I wtedy ważni są prawdziwi przyjaciele, którzy niekoniecznie znają się na słowie pisanim, ale potrafią pocieszyć, nadać sprawom właściwą wagę, czasem zganić za oderwanie od rzeczywistości. Takim przyjacielem zawsze był Staszek, który pomimo ostatnich tarć i złego klimatu między nimi, nadal znajdował się u Maksa na krótkiej, jednoosobowej liście ludzi, na których można jako tako polegać. Do dziś. Teraz Maks wiedział, że jego lista jest pusta. Przewidział to w swojej książce. Jeżeli inne rzeczy z niej się sprawdziły, to czemu i nie ta?

Dobiegł pod jego dom, ale zastał drzwi zamknięte na głucho. Dzwonił, walił pięściami i krzyczał. Jedynym efektem tych akustycznych brewerii było wywabienie na balkon w budynku naprzeciwko człowieka, który pałac papierosa obserwował z zaciekawieniem wściekłość Maksa. Po dłuższej chwili Maks dał sobie spokój. Bał się, że jeszcze ktoś wezwie policję. A policja to, jak wiadomo, kłopoty: spisywanie danych personalnych i pytania. Powrócił myślami do oczekującego w jego gabinecie zamordowanego prezesa oraz do obawy, że ktoś mógłby go połączyć z tym czynem. Właściwie należałoby się dyskretnie pozbyć ciała, żeby najmniejszy trop nie prowadził do niego. W odpowiedzi natychmiast naszło go wspomnienie jego wyznawców, których zostawił w stanie euforii z powodu *ślusznego zabójstwa*. No tak, na dyskrecję nie ma już co liczyć. Właściwie na nic, ani na nikogo nie mógł liczyć.

– Dobrze się bawisz? – podniósł oczy ku niebu i swoim zwyczajem zaczął połajankę w kierunku domniemanego sprawcy całego zamieszania nad chmurami. – Zniszczyłeś mi życie!

Jako pisarz, a tym samym swego rodzaju specjalista od zawirowań ludzkiego życia, powinien wiedzieć, że z wyjątkiem przypadków morderstw i samobójstw życia nie da się zniszczyć, a jedynie zmienić. Natomiast człowiek przechodząc różne koleje losu, zazwyczaj sam jest twórcą własnych upadków. Jednakże, co innego teoria, a co innego osobiste doświadczenia. Maks nie otrzymując w zamian żadnego znaku od Opatrzności,

wściekle kopnął kosz na śmieci rozsypując z niego niedopałki i brudne papierki, następnie pobiegł w kierunku willi.



Pierwszym z bandy był Bill. Max dotychczas nie znał nawet jego imienia, jednak w ramach przygotowań do realizacji planu rozpracował zarówno jego tożsamość, jak i typowy plan dnia. Widok otyłego jegomościa przy wejściu do siedziby Pereza kojarzył mu się jednoznacznie ze wspomnieniem feralnej pożyczki od gangsterów. Dlatego postanowił zacząć właśnie od niego. Z wyplenianiem tych ludzkich chwastów nie wystartuje od głowy tej bandy, ale od strażnika, który go zawsze wprowadzał i wyprowadzał po audiencji u bossa. Przypuszczał, że z Billem czeka go prostsze zadanie, swego rodzaju trening przed rozprawą z szefem i jego żołnierzami. Mimo to Max obawiał się planowanej próby sił. Nie miał pojęcia czy da radę, kiedy zaatakuje groźnego bandytę. Również nie był pewien jak może skończyć w przypadku, kiedy tamten będzie górą. Gangsterzy nie mają w zwyczaju patyczkować się ze swoimi ofiarami. Zadanie wbrew obawom okazało się dziecinnie proste. Gruby Bill dał się łatwo sterroryzować podczas powrotu z nocnej balangi w jednym z klubów Harlemu. Towarzysząca mu panienka w srebrnej spódniczce, ledwie co zasłaniającej jej kragłe, latynoskie wdzięki, uciekła z piskiem, widząc zaciętą minę atakującego Maxa oraz nóż w jego ręku. Natomiast grubas został doprowadzony w jedno z miejsc, które Max wybrał na scenierię swoich porachunków z bandytami. Bill został związany plastikową taśmą. Siedział pośrodku obscurnego pomieszczenia na taborecie, trzęsąc się jak galareta i patrząc niepewnie na napastnika.

– Poznajesz mnie? – warknął Max. Bill skinął głową. – Gdzie je przetrzymujecie?

– Kogo? – jęknął Bill.

– Moją żonę i dziecko – wycedził Max. – Mało wam pieniędzy? Chcecie mnie szantażować? Jeszcze zobaczymy, kto się będzie bał!

– Człowieku, nie porwaliśmy żadnych kobiet – Bill wyjaśniał drżącym głosem. – Przecież ty jesteś gołodupiec. Skołowałeś te kilkadziesiąt tysięcy i wiemy, że nie masz ani centa więcej. A tacy zakładnicy to tylko kłopot... Auuu!

Bill zawył z przerażenia i bólu, kiedy Max przejechał mu ostrzem po tłustym policzku. Krew popłynęła po puculowatym obliczu.

– Słuchaj, możesz zaraz skończyć w dołku i pies z kulawą nogą się tym nie zainteresuje. Dlatego mów co wiesz, a może się jeszcze zastanowię co z tobą zrobić ...

Max kłamał. Nie miał zamiaru się nad niczym namyślać. Śmierć grubego Billa była już postanowiona. Gangster jednakże nie był tego świadomy i próbował ze wszystkich sił wkraść się w łaski swojego oprawcy. Zdradził mu, że tak naprawdę nie John-antykwariusz był mózgiem całej operacji wrabiania Maxa w kłopoty. Ktoś poprosił Pereza o tę przysługę i dobrze za nią zapłacił, a John był jedynie figurantem bez znaczenia. Niestety Bill nie znał tego zleceniodawcy. Trzeba przyznać, że dość dużo wiedział jak na prostego bandziora, którego Perez trzymał jedynie, aby pilnował mu drzwi. Jednak ta wiedza nie przyniosła oczekiwanej łaski ze strony Maxa, a wręcz

odwrotnie, przekazana informacja rozjuszyła go. Poczul się osaczony. Kto go tak nienawidzi, żeby niszczyć mu życie za pomocą misternych kombinacji i z udziałem przestępców?

Bill skończył podobnie jak poprzedni przestłuchiwanie przez Maxa. Ten po finalnym ciosie nożem, kończącym życie bandyty, znowu poczul jak bardzo mu się to podoba. To było życie, a nie jego marna imitacja. Nie trzeba kombinować lub zastanawiać się nad konsekwencjami działań i sensem swojego postępowania. Po prostu zabił go – w ten sposób można się wyżyć, upuścić trochę zalewającej go wściekłości, a przy okazji uwolnić świat od kolejnej kanalii.

Kiedy Maks wpadł do swojego gabinetu był przygotowany na jeszcze gorszy widok niż kilka godzin wcześniej. Wygląd zabitego człowieka zmienia się wraz z upływem czasu i Maks wracając do willi był przygotowany na oglądanie ciała prezesa w fazie stężenia pośmiertnego. Przynajmniej teoretycznie, bo dotychczas nigdy nie natknął się na trupa i nie był pewien swojej reakcji na tego typu atrakcje. Jednak spotkała go niespodzianka. Zwłoki zniknęły. Fotel stał pusty. Taśmy, którymi skrępowano ofiarę, zerwano, nie pozostawiając nawet śladów kleju. Gabinet wyglądał jakby nie dokonano tu żadnego morderstwa, a sprzątaczką dopiero co zakończyła swoją pracę. Patrząc na to domyślił się, że spektakl nadal trwa. Ktoś się z nim bawi w ciuciubabkę. Zniszczenie kamery i bezskuteczne poszukiwania rodziny były również wpisane w scenariusz historii o zdesperowanym mistrzu i jego dziele, w którym cierpi, miota się oraz dokonuje *etycznych morderstw* ku ucieście i pokrzepieniu serc tłumu swoich wyznawców. Wybiegł na korytarz i rozglądał się nerwowo, zastanawiając nad dalszymi poczynaniami. Z naprzeciwka pani Hanna wychynęła ze swojego pokoju razem z córką.

– Pani Haniu – zwrócił się do niej. – Gdzie się podział prezes, znaczy jego ciało, które znalazłem u mnie po wykładzie. Przecież była tam pani z innymi, pamiętam.

– Ja... ja... ja nic nie wiem. Niech mistrz da mi spokój, bo ja naprawdę nic nie wiem – odpowiedziała płaczącym tonem. Rzuciła nerwowe spojrzenie w stronę drzwi do sali głównej, ale trwało to zaledwie ułamek sekundy, bo zaraz odwróciła głowę, chwyciła Jagódkę za rękę i pociągnęła do wyjścia. – My mamy wizytę u lekarza, bardzo pilną i już jesteśmy spóźnione.

Niemal pobiegły. Maks odprowadził je zaskoczonym wzrokiem. Wyglądało na to, że kobieta panicznie się boi i jedyne jej pragnienie to jak najszybciej stąd uciec. Maks podszedł do drzwi, na które mimowolnie popatrzyła chwilę wcześniej i je pchnął. Pomieszczenie na pierwszy rzut oka wydawało się opuszczone. Zresztą dotychczas było wykorzystywane jedynie do codziennych pogadarek dla mieszkańców willi i czasami do wspólnych posiłków. Sądząc z dotychczasowych wydarzeń, można było się domyślać, iż było również monitorowane. Zmiany wprowadzone kilkanaście tygodni temu przez pana Czesława dawały doskonałe możliwości ukrycia kamer dla potrzeb transmisji odbywających się tu spotkań. Już chciał wyjść nie zauważając niczego podejrzanego, kiedy usłyszał cichy jęk zza filara. Podszedł bliżej. Za słupem wspierającym strop na środku sali siedział na krześle pan Roman, skrępowany taśmą techniczną. Jego pozycja i stan przypominały sytuację, w jakiej znalazł się prezes kilka godzin wcześniej. Tyle, że pan Roman żył i nie było widać żadnych śladów pobicia lub zranień. Maks podbiegł do

niego i szybkim ruchem zerwał taśmę z ust. Wiceprezes łączywie chwycił powietrze. Jego oczy miały dziwny, szalony wyraz. Musiał być w szoku po wydarzeniach, w wyniku których został uwięziony. Być może nadejście Maksa spłoszyło napastników i uratowało mu życie.

– Kto cię tak załatwił, człowieku? Co tu się najlepszego wyprawia? – zapytał Maks. – Czekać, zaraz cię rozwiążę.

Spróbował zerwać krępujące tamtego taśmy, ale te były zbyt mocne, żeby pozbyć się ich gołymi rękoma. Postanowił poszukać jakiegoś noża lub innego narzędzia przydatnego w przecinaniu więzów i w tym celu skierował się w stronę wyjścia. Tymczasem Pan Roman wyrównał już poziom tlenu w płucach i wychrypiał:

– Zostałeś sam, mistrzu. Zasłużyłeś na to.

Maks stanął jak wryty. Następnie odwrócił się ku uwięzionemu z zaskoczeniem.

– Co pan ma na myśli?

– Żona cię opuściła, dziecko znenawidziło, przyjaciel zdradził. A do tego wszyscy wiedzą, że jesteś kłamcą i mordercą – zawył pan Roman.

Maks zawrócił i wolnym krokiem podszedł do fotela z wyzywającym go człowiekiem.

– Oszalałeś? Kto cię związał, kto zabił prezesa w moim gabinecie? O co tu chodzi? – syknął, wpatrując się w oczy skrupowanego. Jego powiększone źrenice oraz brak ruchu powiek sugerowały silne napięcie nerwowe lub stan wywołany podaniem jakiejś substancji odurzających. Wyglądał jak w amoku.

– Jesteś za to odpowiedzialny! – wrzasnął wściekle pan Roman. – To ty wszystko zacząłeś i teraz zabijesz ... Zabijesz ich wszystkich!

– Milcz! – Maks przypadł do niego i z całej siły uderzył w twarz, aż głowa marketingowca odskoczyła.

– Uuu, zaczyna się! – zawył uderzony. – Też mnie zabij! Zabij, ty morderco! Twoja żona gzi się z twoim przyjacielem, twoja córka mówi na niego *tato*, wszyscy cię nienawidzą, bo wiedzą, że masz siłę, przed którą trzeba uciekać. Wszystko niszczysz, nic nie budujesz.

– Zamknij się! – W Maksie aż zawrzało wobec słyszanych oskarżeń. W tej chwili zauważył również, że w kącie leży coś podobnego do walizki. Podbiegł. Rzeczywiście był to rodzaj neseseru, otworzył go gwałtownym ruchem. Na wyłożonym pluszem dnie leżał nóż, pistolet i kilka innych instrumentów, które mogły służyć do zadawania ran i bólu, a nawet śmierci. Spojrzał z błyskiem w oku na swojego unieruchomionego zastępcę. Jeszcze przed minutą chciał go bezzwłocznie uwolnić, tylko brakowało mu odpowiedniego narzędzia. Ale teraz, po ostatnich słowach wiceprezesa, kiedy znalazł cały ten zestaw, zaczął się ociągać z natychmiastowym przecięciem więzów. Przyniósł znalezione instrumenty w stronę pana Romana i wyciągnął nóż.

– Tak, zabij mnie. Tylko w śmierci jest wolność! Zabijasz, żeby wyzwolić – wychrypiał pan Roman widząc Maksa nadchodzącego z nożem. Mistrz z zaciętym wyrazem twarzy przyłożył mu ostrze do policzka. Popłynęła stróżka krwi. Na ten widok Maksa ogarnęło wielkie podniecenie. Nigdy wcześniej nie czuł się tak jak teraz. Był panem i władcą uwięzionego pana Romana, mógł zrobić z nim co chciał. Nigdy go nie lubił, momentami wydawało mu się, że wręcz nienawidzi. A jeżeli rzeczywiście został sam i wszyscy wkoło

go oszukują i zdradzają, to dlaczego miałyby się powstrzymać? Po co? Wydusi z tego parszywca całą prawdę o jego mocodawcach, zabije, a potem policzy się ze sprawcami swojego nieszczęścia.

– Kto cię uwięził, kto to wszystko reżyseruje? Gadaj, bo inaczej więcej nie zobaczysz słoneczka – wycedził. Ostrze jechało wolno po twarzy pana Romana. Rana powiększała się, krwawiąc obficie.

– Sam Bóg – wyszeptał pan Roman. – Przecież o tym marzyłeś, żeby on się tobą opiekował i wskazywał droge.

Po tych słowach zamknął oczy, a głowa opadła mu na piersi. Maks widząc nieoczekiwaną reakcję zastygł zaskoczony z zakrwawionym nożem w ręce. Uświadomił sobie tragizm, a jednocześnie komiczność tej sceny. Stał nad związanym człowiekiem i korzystając z okazji niemal zaczął go torturować pod wpływem emocji. Po chwili wahania rzucił się z nożem do krzesła z więźniem i poprzecinał wszystkie taśmy. Pan Roman upadł bezwładnie na podłogę, następnie zwinął się w kłębek i zachrapał. Maks nachylił się kontrolując jego oddech. Ze zdumieniem stwierdził, że uwolniony wiceprezes nie był w stanie omdlenia, tylko najnormalniej w świecie spał, lekko pochrapując. Teraz dotarło do Maksa w pełni, w jakim stanie był pan Roman. Ktoś go zapewne nafaszerował psychotropami i można śmiało założyć, że żadne słowo, które tu padło nie wynikało z jego naturalnego toku myślenia. Mogli mu kazać coś powiedzieć pod wpływem substancji chemicznej, być może zrobili pranie mózgu, żeby sprowokował domniemanego mistrza do zadawania bólu uwięzionemu i w efekcie do jego zamordowania. Zresztą, walizka również nie była pozostawiona tu przypadkowo. I miejsce nie zostało wybrane bez przyczyny. Kamery prawdopodobnie rejestrowały rozgrywane się sceny, aby widzowie z rozsianych po świecie grup wielbiących Maxa z Nowego Jorku mogli wszystko oglądać. Maks zerwał się i rozglądnął po kątach. Żadne urządzenie nie rzucało się w oczy, jednak był pewien, że ciekawski obiekt gdzieś się tu ukrywał. Pogroził niewidzialnym obserwatorom i wybiegł z sali. Wpadł z powrotem do swojego gabinetu. Jakkolwiek surrealistycznie by to nie brzmiało, musiał się upewnić, że nie ma tam żadnego trupa. Ostatnich kilka godzin było jak sen szaleńca, w którym działy się rzeczy niewyobrażalne w normalnych warunkach. Pojawiające się ciała, znikające ciała, tajemniczy oprawcy napastujący pana Romana oraz obserwujący to zewsząd wyznawcy Maxa z Nowego Jorku, chętni do współdziałania w mordach lub przerażeni rozgrywanymi scenami – to wszystko zmusiło Maksa, żeby ponownie rzucić okiem na swój gabinet, czy nie pojawiła się tam nowa, nieoczekiwana atrakcja.

Już od drzwi było widać, że ktoś siedzi w fotelu. Maks zmartwił z przerażenia widząc od tyłu głowę siedzącego w fotelu człowieka, wpatrującego się w zieloność ogrodu za oknem gabinetu. A więc jednak ciało nie zniknęło. Maks poczuł, że powoli przestaje być pewny swoich zmysłów.

– Rany boskie – szepnął.

Na dźwięk słów postać na fotelu obróciła się. Maks stanął twarzą w twarz ze Staszkiem.

– Cześć – mruknął przyjaciel.

– To ty? Cześć – odpowiedział Maks. Patrzył przez dłuższą chwilę ponuro na twarz przyjaciela. Przyznał w duchu, że wolałby raczej zastać tu martwego prezesa.



Perez był kolejny na liście Maxa. Szef gangu dał się pojmać łatwo, jak małe dziecko, prawie u wejścia do swojej siedziby, którą Max znalazł z poprzednich spotkań w sprawie pożyczki. Świadczyło to zarówno o niefrasobliwości bandziora w wyborze miejsca pobytu oraz trasy przemieszczania się po dzielnicy, jak również o niedocenianiu roli personelu niższego. Po śmierci grubego Billa nie zatrudnił on nikogo na jego miejsce. Porwany kilka dni wcześniej ochroniarz był może trochę przygłupi i nie rozumiał się na filozofii oraz opowiadanych przez pryncypała dowcipach wysokich lotów, co czyniło go niegodnym partnerem dla rozmów z Perezem. Jednak jako goryl spisywał się doskonale. Przez wiele lat dyskretnie dbał o szefa, był niezawodnym cieniem głowy gangu, skutecznie monitorując dostęp do niego. Gdyby jeszcze żył, na pewno nie dopuściłby do takiego obrotu sprawy, ale od kilku dni leżał zawinięty w czarny foliowy worek na dnie opuszczonego doku portowego. Dlatego teraz Perez siedział w jednej z melin Maxa i skrępowany czekał na czekające go przesłuchanie.

– Witam bossa – zagał Max. – Pogawędzimy o sensie życia? W końcu to ważny temat dla kogoś, kto zaraz umrze.

– Nie dyskutuję na z góry narzucone tematy. Wolny umysł ma mieć wolny wybór. – Perez, mimo wyraźnie niskiej pozycji przetargowej, nie zamierzał oddawać pola w dyskusji. – Uwolnij mnie, a wtedy się zastanowię nad zakresem naszych dywagacji. Może nawet przeżyjesz w jednym kawałku, jeśli się wykazesz.

– Humor ci dopisuje, ale tym razem źle oceniasz sytuację – odparował Max, który postanowił się trochę podroczyć z mędrkującym gangsterem. – To ty powinienes się obawiać o jedność ciała i duszy, a może i nawet różnych części ciała.

Zapowiedź wydawała się nie zrobić na Perezie wrażenia.

– To dość standardowa gadka. Sam tak mówiłem tysiące razy wobec przesłuchiwanym. I wiem, że zazwyczaj było to techniczne zagranie, ponieważ w prawdziwym biznesie liczy się wymierny efekt, a nie ilość upuszczonej krwi. Sądzę, że pragniesz być zaliczony do wąskiej grupy profesjonalistów i rozwiązać swoje problemy bez zbędnego wysiłku, który jest nieodzownym elementem brutalnych działań – perorował Perez.

– Mylisz się, mój profesjonalisto. Jestem sadystycznym i zdesperowanym amatorem – Maxowi przeszła ochota na grzeczną rozmowę z kimś, kto nieustannie musi wykazać, że jego interlokutor jest idiotą.

Po chwili Perez pozbył się w brutalny sposób kciuka u lewej dłoni, co zapoczątkowało etap dyskusji bardziej oparty na faktach i konkretach, a mniej na udowadnianiu, że jest się erudyta w każdej sytuacji.

Sytuacja miała się następująco: Perez potwierdził informacje od grubego Billa, że on i jego gangsterzy zostali wynajęci przez kogoś dla „zrobienia” Maxa. Tym kimś nie był również John-antykwarium, który jednakże stał bliżej zleceniodawcy. W chwili obecnej

Perez nie miał pojęcia, gdzie się ów John znajduje. Jednak ze strzępów rozmów, które Perez podsłuchał i z tego, co mu sam John powiedział, wychodziło, że zleceniodawca zna Maxa i Johna z dawnych lat, jak również nie żałuje pieniędzy, bo te w dużej części mu się zwrócą. Natomiast Perez nie miał pojęcia o losie żony i córki Maxa. Prawdopodobnie zniknęły bezpośrednio za sprawą zleceniodawcy.

Tyle powiedział Perez, zanim podzielił los swojego ochroniarza. Max nie miał litości. Nawet gdyby tamten podarował mu pół królestwa i rękę księżniczki, to i tak wysłałby go do diabła. Tak bardzo wzburzyła go otrzymana informacja o tajemniczym sprawcy jego obecnej sytuacji życiowej. Domyślał się już wszystkiego.

– Stan, ty skurwysynu. Jak mogłeś mi to zrobić? – mruzczał Max wrzucając zmasakrowane zwłoki Pereza na opuszczone wysypisko gruzu na dalekich przedmieściach Nowego Jorku, tak odległych od centrum metropolii, że nawet najwyższe wieżowce Manhattanu były tu tylko zamglonymi przecinkami wystającymi z linii horyzontu. Z liczących się członków gangu pozostał jedynie Satrin. John zniknął całkowicie z miasta. Być może został ściągnięty tu jedynie dla numeru z Maxem. Jednak myśli Maxa zaprzętało w tej chwili pytanie, jak się zachować wobec Stana, bo był już pewny, że ów tajemniczy zleceniodawca i jego kolega to ta sama osoba.

Patrzyli po sobie bez słów przez długą chwilę, w końcu Maks warknął:

– Chyba jesteś mi winny jakieś wyjaśnienia? Nie za bardzo wtrącasz się do mojego życia?

Staszek zmieszał się.

– Ładnie mnie witasz, nie ma co! Wpadam w odwiedziny, a tu foch. Co do wtrącania się, myślałem, stary, że to ci pomoże. W końcu marzyłeś o karierze pisarskiej... takiej prawdziwej, nie jako hobby. Widziałem jak się męczyłeś przez wszystkie lata. A już ten okres pracy w fabryce – tragedia! Wyglądałeś niczym umarły za życia – odparł.

– I dlatego mnie trochę zastąpiłeś? – Maks przysunął się do przyjaciela, zaciskając pięści.

– No wiesz, jak nie dajesz rady, to trzeba ci trochę ulżyć. A ja mogę to i owo. Znam kilku ludzi z różnych branż. Zresztą... – Staszek zawiesił na chwilę głos – czytałem tę książkę, jak tylko wydrukowałeś egzemplarze dla wydawnictw. Tak naprawdę Agata podarowała mi jeden, nie dostałem go od kolegi. Uważam, że akurat w tym dziele wzniosłeś się na wyżyny. Jest dobre. Masz talent i należy ci się to, co osiągnąłeś. Co prawda jest tam opisany taki jeden, nazywa się Stan. I okazuje się na końcu, że z niego niezbyt miły gość. Skurwiel raczej. Jednak postanowiłem nie brać tego do siebie. W końcu literatura to nie rzeczywistość, mam nadzieję.

– A ja właśnie sądzę, że jednak trochę nią jest. Może nawet bardzo. I tak sobie jeszcze myślę, że i ciebie zainspirowała historia Maxa, którego stary kumpel robi w balona. Oszukuje, a do tego zabiera mu żonę i dziecko – wycedził Maks. – Lubisz zajmować cudze miejsce? Nie umiesz założyć rodziny, to podkradasz ją koledze... znaczy, byłemu koledze?

– Ależ Maks, co ty pleciesz? Znałem tych z Z1 z jakiejś imprezy, pogadałem z Wielogórskim. Chwalił się, że coś tam znaczy, obiecał pomoc i widzę, że się zasadniczo

udało. Podjęli współpracę. Masz sukces! – tłumaczył Staszek ze zdumioną miną. – Co ja mam do Agaty i Basi? Lubię je, jak was wszystkich i pomagam, jeśli mogę!

– Dziękuję za taką pomoc! Myślisz, że nie widziałem jak się do nich dobierasz? Jak wykorzystujesz fakt, że jestem zajęty i wpierdzielasz się w rolę kochanego przyjaciela osamotnionej kobiety i wujka *do rany przyłóż* – Maks wrzeszczał coraz głośniej. Nie miał ochoty niczego więcej słuchać, wyjaśniać, ani tłumaczyć. Opisał w swojej powieści już wszystko i wie co trzeba, dlatego nie zamierzał słuchać żadnych kłamliwych wyjaśnień. Bo każde słowo Staszka to z całą pewnością kłamstwo. Maks dzięki swojej książce zdał sobie sprawę, że tamten przez wszystkie lata cynicznie udawał przyjaźń, więc dlaczego miałyby się coś nagle zmienić?

– Maksy! – krzyknął Staszek, używając jeszcze przezwiska ze szkoły. Zerwał się z fotela z twarzą czerwoną ze wzburzenia. – Coś ty? Ja nigdy...

Maks z zaskoczenia uderzył go w twarz. Potem jeszcze raz. Następnie poprawił w skroń chwyconym z biurka ciężkim dziurkaczem do papieru. Staszek jęknął i ciężko osunął się na podłogę, z rozciętej skóry popłynęła krew. Maks stanął nad nim gotów tłuc i kopać tak długo, aż tamten wyda ostatnie tchnienie. Jednak po chwili przypomniał sobie o walizce pozostawionej w sali obok śpiącego pana Romana. To podszeptało mu dużo lepszy pomysł niż zwykle mordobicie. Popędził po nią. Już po chwili podnosił bezwładne ciało na fotel i krępował je taśmą techniczną, która okazała się być również na wyposażeniu katowskiego nesaseru. Staszek został unieruchomiony dokładnie tak samo jak wcześniej prezes lub pan Roman. Przy ostatnich ruchach Maksa skrępowany otworzył oczy i spojrzał na krzątającego się pisarza.

– Co ty wyprawiasz? – wybełkotał. Po wzroku można było poznać, że był jeszcze oszołomiony ciosem.

– Teraz pogadamy szczerze i uczciwie. Powiesz mi wszystko od początku do końca – wysapał Maks patrząc z dumą na unieruchomione kończyny przyjaciela. – Nie zwiejesz mi, o nie.

– Zwariowałeś?! – Staszek widząc jak sytuacja się kształtuje oprzytomniał w błyskawicznym tempie i zaczął się szarpać. – Puść mnie.

– Oczywiście, że wypuszczę – wycedził Maks z ironicznym uśmiechem. – Zaraz sobie tam wykopiesz ładny dołek.

Wskazał na kłaczka ogrodu zieleniejące za oknem.

– Jednak na razie... – Otworzył nesaser i zaczął wolnymi ruchami rozkładać przed skrępowanym kumplem przerażającą zawartość znalezionej walizki. – Można umierać szybko i bezboleśnie, ale to się trafia jedynie nielicznym szczęśliwcom. A żonobjebcom i oszustom należy się szczególnie długie cierpienie.

Maks mówił ni to do siebie, ni to do Staszka, który śledził każdy ruch kolegi wytrzeszczonymi z przerażenia oczyma.

– Tobie naprawdę odbiło, Maks. Uwierzyłeś w te bzdury, które sam napisałeś. Nie uwiodłem ci żony. Znaczący może bym i chciał, nawet próbowałem, ale to na nic. Ona kocha tylko ciebie. Nigdy by cię nie opuściła – Staszek histerycznym głosem opisywał przebieg swoich zalotów do Agaty.

Maks spojrzał przeciągle na przyjaciela.

– Próbowałaś? Tak właśnie myślałem. Sam widok moich zabawek zachęca do szczerości, więc chętnie posłucham tego, co powiesz, kiedy się z nimi bezpośrednio spotkasz – sapał Maks, wybierając pierwsze z narzędzi. Po chwili podniósł skalpel i przysunął go pod oczy ciężko dyszącego z emocji Staszka. – Poznajcie się koledzy, to pan ostry.

– Człowieku, ty jesteś świrem! Ta literatura zrobiła ci z mózgu siano! Wymyśliłeś sobie bzdury o jakimś nieudaczniku z Ameryki, a teraz chciałbyś, żeby cały świat tym żył. Auuu! – zawył Staszek, czując jak skalpel przejechał mu po twarzy zostawiając krwawą szramę.

– O, panowie się już spotkali. Jak się panu podoba mój dawny kolega, panie ostry? To znany łajdak i cudzołożnik – Maks zagadał do trzymanego noża, następnie przysunął do niego ucho, całkiem jakby metalowe narzędzie rzeczywiście mówiło. – Słucham? No tak, nie polubił go pan. Jaka szkoda!

Staszek zamilkł widząc, że na nic się zdadzą jakiekolwiek słowa i argumenty. Oczy Maksa płonęły zimnym szaleństwem. W tym momencie za nimi rozległ się odgłos, Maks się odwrócił.

– Torturki? – W otwartych drzwiach tarasu stał Wiśnicki z papierosem w palcach i z ciekawością zerkał w kierunku jedynej w swoim rodzaju sceny. – Mogę pokibicować?

– Cóż, proszę bardzo, jeżeli pan musi – mruknął Maks, niezadowolony z nieoczekiwanego gościa. W duchu stwierdził, że mógł Staszka zaciągnąć w bardziej skryte miejsce. Odwrócił się w kierunku przytroczonego do fotela kolegi i ponownie uniósł skalpel. Jednak po sekundzie go opuścił i zerknął z wściekłą miną na starca. – Tak przy świadkach to się jakoś krępuje.

– Panie Maksymilianie, ja nikomu ani słowa nie pisnę. Słowo starego mordercy! Panowie mają swoje sprawy i ja się w to nie wtrącam – zapewniał solennie staruszek.

– Nie o to chodzi – mruknął Maks. – Czuję się jakbym miał widownię przy czymś bardzo intymnym. Jakby pan mi towarzyszył w łóżku z żoną albo podczas wizyty w toalecie.

Każdy dobrze wychowany człowiek wycofałby się nie chcąc przeszkadzać w intymnych momentach pomiędzy dwoma panami. Jednak Wiśnicki nie zamierzał najwyraźniej wykazać się taktem.

– Tak, znam to – potwierdził. – Trzeba się przełamać, żeby publicznie kogoś szlachtować. Nie bez powodu egzekucje były onegdaj jedną z większych atrakcji życia publicznego. Ludzie uwielbiają obserwować skrajne emocje. Ja tak do końca nigdy nie przywykłem.

– Do czego? – zainteresował się Maks. Odwrócił się od przerażonego Staszka, podszedł do starca, a ten tradycyjnie poczęstował go kopącym papierosem. Po chwili rozległo się pokaszliwanie niewprawnego w paleniu pisarza-oprawcy oraz opowieść gościa.

– Przecież ja ich wszystkich znalazłem. Co do jednego – wyznał zniżonym głosem Wiśnicki. – I każdy z nich źle skończył.

– Tych stąd? – Maks wskazał na ścianę w kierunku sali, gdzie kilkadziesiąt lat temu odbyła się krwawa scena z udziałem żony Wiśnickiego, a obecnie spał na podłodze odurzony pan Roman. Wiśnicki skinął głową.

- Na przestrzeni ponad trzydziestu powojennych lat znaleziono dwadzieścia zmasakrowanych ciał mężczyzn w różnych miejscach świata, w różnym wieku. Nikt nie połączył tych wypadków, bo tych ludzi tak naprawdę nic nie łączyło. Oprócz tego, że byli w tym domu pewnego dnia w 1938 roku.

Zapadła długa chwila milczenia. Dwóch palących mężczyzn wyglądało niczym żywcem przeniesionych z filmów o okrucieństwie Gestapo w Warszawie podczas wojny. Zakrwawiony przesłuchiwany ledwo trzyma się na krześle, a obok dwóch oprawców gawędzi, który jest bardziej skuteczny w męczeniu ludzi.

- Chciałem jednak pana ostrzec, że zemstą i okrucieństwem nic pan nie zyska - ciągnął Wiśnicki. Skinał w kierunku Staszka. - Ten człowiek się będzie panu śnił do końca życia, a żony w ten sposób pan i tak nie odzyska.

- Skąd pan wie, że on mi żonę uwiódł? - domyślił się Maks.

- Strasznie głośno pan mówił, a tu wokoło cisza, więc niesie - wyjaśniał Wiśnicki. - Swoją drogą, sporo się tu dzisiaj dzieje. Ciągłe nowi goście, jakaś krzątania, pochówek w gangsterskim stylu...

- Pochówek? - zdziwił się Maks.

- A tak, tam za brzoza - wskazał ręką Wiśnicki. - Dołek maksymalnie na pół metra głęboki. Nie chciało im się kopać, więc jak pan chcesz, to rozgarniemy trochę ziemi i pokażę. Nawet go w koc nie zawinęli, nie mówiąc o jakiegokolwiek trumnie.

- Nie, dziękuję - wzdrygnął się Maks na myśl, że znowu spojrzy na martwą twarz prezesa. - Wolę żywych.

- Choć takich trochę pokiereszowanych - zarechotał starszek, wskazując na Staszka. - A najciekawsze, że weszli dziś również do celi.

- Do jakiej celi? Kto? - zainteresował się Maks. O ile rozumiał informację o pochowanym prezesa, to reszta była dla niego nadal zagadką.

- No, jako dawny właściciel tej posesji znam całą okolicę. Miałem tu takie pomieszczenie. Odosobnione, że tak powiem - Wiśnicki wyjaśniał ścisłym głosem. - W interesach są różne sytuacje, czasem trzeba komuś przemówić do rozsądku bez udziału osób trzecich albo dać dłuższą chwilę spokoju na przemyślenie propozycji biznesowych. Myślałem, że nikt go po wojnie nie odkrył, jest dosyć dobrze zakamuflowane, ale dzisiaj je tam zaprowadzili...

- Kogo, jakie je? - krzyknął Maks rzucając szybkim ruchem papierosa na ziemię.

- Tę panią z dzieckiem, które przyszły tu rano. Najpierw myślałem, że kolejni chcą tu mieszkać i czytać te wasze dyrdymały o Nowym Jorku, ale potem się pokłóciliście i one poszły. A wtedy ten uśmiechnięty z jeszcze jednym kumplem je tam zaprowadzili - ciągnął wyjaśnienia Wiśnicki. - Szast-prast, i panienki, dość gwałtownie i nieoczekiwanie wylądowały w lochu. Jak za dawnych dobrych czasów, kiedy się jeszcze miało tę ułańską fantazję.

Mina starca wyraźnie mówiła, jak bardzo podobał mu się powrót do starych bandyckich zwyczajów. Najwyraźniej zemsta na pechowych adoratorach zamordowanej żony nie była jedynym przestępczym epizodem w życiu Wiśnickiego.

- Człowieku, to moja żona i córka - wrzasnął Maks z przerażeniem. - Prowadź!

Wyszli pozostawiając Staszka z zakrwawioną twarzą przytroczonego do fotela prezesa fundacji *Zmień swoje życie*.



Po załatwieniu ostatniego ze znanych członków gangu – Satrina i wielodniowych poszukiwaniach jakichkolwiek śladów Stana, żony oraz córki, Max zrozumiał, że już ich więcej nie spotka. Po prostu zniknęli bez śladu gdzieś w jednym z miast USA. Nie znalazł żadnych listów, ani podartych wspólnych zdjęć. Nikt w dramatycznym tonie nie wygłaszał mów pożegnalnych, w których samo pożegnanie było jedynie przykrywką dla tysięcznych oskarżeń i wymówek, unaoczniających, kto jest winny zaistniałej sytuacji oraz wybrzmiewających ostatecznie tonów pojednawczych, prowadzących do pogodzenia zwaśnionych stron. Tak się działo w tandetnych filmach i powieściach romantycznych, jednak nie teraz. Nie w życiu Maxa. Po zabiciu ostatniego z gangsterów otoczyła go cisza. Nikt niczego od niego nie chciał, nikt o nic nie oskarżał, ani nie doradzał, jak ma pokierować swoim życiem.

Dodatkowo dokonane czyny przyniosły mu dość spory zastrzyk pieniędzy. Dzięki okrutnie szczerym rozmowom z Billem i Perezem dowiedział się nie tylko jak odzyskać swoje pieniądze, które Perez zainkasował w zamian za porcelanową chińską wazę, ale uzyskał również dostęp do ich zakamuflowanych zasobów i teraz można było spokojnie stwierdzić, że stał się dość majątnym człowiekiem. Co prawda pochodzenie tego majątku było okupione nie tylko bandycką krwią, ale zapewne również krzywdą ofiar Pereza i jego kompanów z poprzednich „biznesów”. To jednak Max niewiele obchodziło. Z każdym dniem coraz mniej pragnął powrotu swojej rodziny, i w ogóle powrotu do dawnego życia, natomiast coraz mocniej docierało do niego, że jest wolny. Do tego bogaty, bez zobowiązań, jak również zdeterminowany, żeby pozbyć się ze swojej drogi dyskretnie każdego, kto chciałby się wtrącać w jego sprawy. Stał się człowiekiem bez przeszłości oraz bez jasnych planów na życie. I bardzo mu się to podobało.

Pędzili przez ogród. Maks zaszedł w splątaną zieloność za oknem swojego gabinetu zaledwie kilka razy, do tego zawsze udawał się w kierunku parku, z którym stykał się teren willi. Teraz przedzierali się wąską ścieżką w bok, w kierunku sąsiedniej posesji graniczącej z dawnym majątkiem Wiśnickich. Maks nigdy tu nie był, nawet nie podejrzewał, że w tych krzakach może się skrywać cokolwiek interesującego. Generalnie trzeba przyznać, że był dość nieruchawy jak na osobę aspirującą do miana pisarza z prawdziwego zdarzenia. Przebywać tu kilkanaście tygodni i nie zbadać dokładniej tak ciekawego otoczenia – to nie było profesjonalne zachowanie. Przejście pomiędzy krzewami było bardzo wąskie, jednak przy pewnej dozie samozaparcia oraz po pogodzeniu się z kilkoma zadrapaniami od kolczystych gałązek, możliwe do pokonania. A po ułożeniu trawy i złamanych gałązkach dało się poznać, że niedawno ktoś się tędy przedzierał.

– O, tu – wskazał ręką Wiśnicki.

– Czyli gdzie? – Maks nie zauważył żadnego budynku, ani czegokolwiek co kojarzyłoby się z miejsce, gdzie przetrzymuje się ludzi.

– Kamuflaż nadal bezbłędny – nadał się dumą dawny milioner. – Za moich czasów też niejeden węszył, ale nikt niczego nie wywęszył. Tutaj jest przejście.

Rozchylił rękoma krzewy i zaczęli się przedzierać przez kolczastą gęstwę.

– Ktoś o to zadbał ostatnio, bo rosną dość gęsto, ale mimo to da się przejść. Tak jak było zaplanowane za moich czasów – komentował. Po kilku sekundach znaleźli się przed czymś pośrednim pomiędzy drzwiami a włazem w trawno-liściastym podszyciu, które w tym miejscu układało się w kształt górki. Staruszek oznajmił: – Oto wejście do celi.

Maks pociągnął za klamkę, ale konstrukcja trzymała się zamknięta na glucho.

– Cholerka – zaklął. – Jak to otworzyć?

– Ja zasadniczo używałem klucza – oznajmił całkiem poważnym tonem Wiśnicki. – Ale po tylu latach po prostu się zgubił. Może przyniesiemy jakieś narzędzia i się włamiemy. Masz pan doświadczenie w ślusarce?

Temat ślusarski był dla Maksa czymś skrajnie abstrakcyjnym. Jako pisarz i humanista nie zniżał się do prac ręcznych, typu naprawy gniazdek elektrycznych lub zlewu w kuchni. To była domena Agaty. Co prawda pamiętał ze szkoły, że słowo *humanista* nie oznaczało onegdaj technicznego ignoranta, lecz osobę o wszechstronnym wykształceniu. Jednak on lubił o sobie tak myśleć, określając się tym samym jako istota stworzona do celów wyższych. Wiśnicki spokojnie mógłby również zapytać o jego ostatnie doświadczenia na polu paleontologii albo jak się steruje rakieta międzyplanetarną. Odpowiedź byłaby taka sama – nie miał o tym bladego pojęcia. Nawet nie wiedział z grubsza, co to znaczy być ślusarzem, o posiadaniu praktycznych umiejętności w tym zakresie nie wspominając. Dlatego Maks szarpał bez słowa za klamkę, a jego twarz pokrył cień zrezygnowania.

– Musimy znaleźć klucz albo jakoś rozbroić ten zamek – jęknął w końcu. – Hej, Agata, Basia! Jesteście tam?

Odpowiedziała cisza.

– Wygłuszone – wyjaśniał Wiśnicki. – Miało być możliwie dyskretnie, żaden odgłos z wnętrza się nie wydostanie. Mam nadzieję, że otwór wentylacyjny nadal działa, bo inaczej...

– Co: inaczej? – przeraził się Maks.

– Brak powietrza – wyjaśnił spokojnym tonem architekt podziemnego pomieszczenia, ilustrując efekt niedziałającej wentylacji gestem imitującym duszenie za szyję.

Maks jęknął ponownie i wzmógł szarpanie za uchwyt. Nagle przyszło mu coś na myśl.

– Klucz? No, jasne. Klucz – przypomniał sobie, że w walizce pozostawionej obok Staszka oprócz narzędzi do tortur, taśmy i kilku innych chwilowo nieprzydatnych przedmiotów, znajdował się również jakiś klucz. A jeżeli oni wszystko obserwują i do tego przewidują jego działania, to mógłby to być właśnie ten klucz. Rzucił się pomiędzy krzaki. – Wracam do domu po narzędzia.

Wpadł po chwili do swojego gabinetu. Staszek siedział nadal przytroczony do fotela. Wyglądał okropnie. Krew na twarzy się rozmasała i zaczęła już zasychać na brunatno, ale najgorsze były oczy. Strach i niedowierzenie, że jego przyjaciel mógł go tak

potraktować były aż nadto widoczne, do tego wściekłość. Maks podbiegł do rozłożonej walizki i zaczął nerwowo grzebać po jej wnętrzu szukając wspomnianego klucza. Po kilku sekundach już go trzymał w dłoni. Na pierwszy rzut oka kształt i rozmiar pasowały, więc szansa na dostanie się do prywatnego więzienia wydawała się duża. Zerwał się i popędził ku otwartym drzwiom na taras. Jednak w progu zatrzymał się, odwrócił i spojrzał na Staszka, który śledził nerwowe poczynania kolegi bez słowa.

– Jak się okaże, że rzeczywiście tam są, to cię zaraz uwolnię – oświadczył zupełnie jakby był urzędnikiem realizującym jakąś przewidzianą prawem procedurę.

– Czyli bierzesz pod uwagę możliwość, że nie jestem oszustem i żonojebcą? A co z tym dotychczas bezdyskusyjnym opisem świata zawartym w literaturze? Czyżby prorok się pomylił? – zacharczał Staszek. W jego głosie ironia walczyła o pierwszeństwo z goryczą.

Maks nie odpowiedział. Opuścił głowę i zaraz potem pobiegł do celi. Klucz pasował, obrócił się w zamku bez oporu. Drzwi ustąpiły ze skrzyknięciem. Z wnętrza powiało piwniczną stęchlizną.

– Agata, Basia, jesteście tam? – Maks krzyknął w czerni. Nikt nie odpowiedział. Włosy mu się zjeżyły na myśl, że za chwilę znajdzie dwa martwe ciała rozciągnięte na kamiennej posadzce.

Zszedł zgięty w pół wąskim przejściem po zakręconych schodach do pomieszczenia. Spodziewał się znaleźć zaraz w czarnym lochu i już przeklinał w duchu brak jakiegokolwiek latarki lub innego źródła światła. Jednak ku jego zaskoczeniu za zakrętem zobaczył bijącą lunę. Po pokonaniu schodów znalazł się w dość sporym pomieszczeniu, którego nie rozjaśniała żadna konwencjonalna lampa, natomiast światłość pochodziła od rzędu zamontowanych ekranów telewizyjnych, które transmitowały obrazy z różnych części willi, jak również z ich opuszczonego mieszkania, skąd zapewne dało się obserwować kilka godzin wcześniej krzątanicę wściekłego Maksa w poszukiwaniu żony i córki. Na drugim ekranie można było zobaczyć bezpośrednią transmisję snu pana Romana na podłodze w salonie Wiśnickich. Marketingowiec właśnie zakończył fazę nieruchomego głębokiego snu, a zaczął wiercić się i jęczeć, być może męczony koszmarami wywołanymi podanymi środkami psychotropowymi. Trzeci ekran jaśniał obrazem skrępowanego Staszka w gabinecie prezesa fundacji, który korzystając z nieobecności swojego oprawcy i starego Wiśnickiego, zaczął się wściekle szarpać usiłując uwolnić z krępujących taśm. Udało mu się ostatecznie wyswobodzić nogę i Maks mógł obserwować jak jego sprytny kolega ściąga buta trąc nim o plastikową nogę fotela i w tej pozycji kombinuje, jak tą jedyną uwolnioną kończyną chwycić jakiegokolwiek narzędzie z wysypanej zawartości walizki i spróbować przeciąć więzy. Był to fascynujący spektakl godnej podziwu ludzkiej kreatywności w obliczu zagrożenia. I Maks może by się na nim dłużej skupił, gdyby nie obraz nadawany na kolejnym kanale tej prywatnej telewizji. Mistrz zobaczył tam swój film tylko dla widzów dorosłych z Edytą i sobą w roli głównej. Zamarł przerażony. Następnie rozglądał się po pomieszczeniu szukając w ciemnych kątach Agaty i Basi. Po chwili wyłuskał z szarości refleksów oświetlających pokój postać żony siedzącej pod ścianą. Córka spała z głową na jej kolanach.

– Agata, Basia! – podbiegł do nich. – Żyjecie? Chwała Bogu, już myślałem, że już po was. Na szczęście Wiśnicki pokazał mi to wejście. Jesteście uwolnione.

Chwycił Agatę w ramiona, ale ona otrząsnęła się z tego uchwytu i syknęła wściekle:

– Nie dotykaj mnie.

– Ależ Agatko, ja ci wszystko wytłumaczę. Ci tutaj to jest sekta, grupa przestępcza. Oni mnie oszukali, omotali. Ja dałem się wrobić. A teraz, kiedy to wszystko zrozumiałem... – jękał się Maks.

– Maks, przestań. Chociaż raz nie kręć. Kłamałeś, zdradzałeś mnie z jakimiś dziewczynami, próbowałeś zabić tego faceta z wydawnictwa, Staszka też. Wszystko widziałam – wskazał na ekrany ze śpiącym panem Romanem i gimnastykującym się Staszkiem. – A może to jakiś fotomontaż, co? Powiedz choć raz prawdę prosto z mostu – kim jesteś, co chcesz w życiu robić, a czego nie chcesz. Jedno natomiast wiem na pewno – ja nie chcę z tobą być. Dziękuję za uwolnienie i żegnam! Basia, wstawaj! Idziemy.

Jego żona zaczęła szarpać śpiące dziecko. Maks zamarł w przerażeniu. Zrozumiał, że to definitywny koniec.

– A ona to widziała? – wskazał na nagranie swoich wyczynów sprzed dwóch dni.

– Tak – potwierdziła Agata. – Ale powiedziałam jej, że to nie ty.

– Uwierzyła? – upewniał się Maks.

Agata prychnęła niczym zdenerwowana kotka, co prawdopodobnie miało znaczyć: *Dlaczego dopiero teraz się o to martwisz?* Dziecko po chwili doszło już do siebie, a widząc ojca podbiegło do niego i się przytuliło.

– Tatusiu, wiedziałam, że nas uwolnisz. Ty nigdy nas nie opuścisz, prawda? – załkała Basia.

– Nigdy – zapewniał Maks, usiłując przy tym tak stanąć, żeby Basia nie patrzyła na jarzące się feralnym przekazem ekrany.

– Idziemy, Basia! – zakomenderowała Agata i niemal siłą oderwała córkę od Maksa. Następnie wyszły szybkim krokiem. Maks usiadł ciężko na podłodze wpatrując się milcząco w obrazy miotanego sennymi koszmarami pana Romana, jak również w relacje ze swoich intymnych chwil oraz na trzecim ekranie Staszka walczącego zaciekle o możliwość uchwycenia skalpela nogą oswobodzoną już nawet ze skarpetki, co mu się nijak nie udawało. Najwyraźniej *pan ostry* rzeczywiście go nie lubił. Gapił się bezmyślnie na te trzy spektakle, a w głowie huczał mu jedynie chaos słów, wyrzutów sumienia i drastycznych obrazów. Po kilkunastu minutach westchnął ciężko i wstał. Już miał się udać w kierunku wyjścia, kiedy zatrzymał się i patrząc w kierunku sufitu mrocznej celi krzyknął:

– Zadowolony? Nie mam już nic. Mogę sobie spokojnie odejść? – Maks zgodnie ze swoim zwyczajem w złych chwilach życia zagadał do Najwyższego.

Pogłos zadzwonił w betonowych kątach. Poza tym nic się nie wydarzyło, żadnych grzmiących odpowiedzi, znaków świetlistych, rozstępujących się otchłani, które wciągałyby grzeszników w swoje czeluści.

– Ech, ty! – jęknął Maks, podniósł walający się na podłodze odłamek betonu i rzucił w jeden z telewizorów. Potem podszedł, ponownie go podniósł i rzucił. Za każdym razem trafiał, ale to nie kończyło odstręczającego spektaklu. Dawne, kineskopowe telewizory pękały z hukiem, a obraz znikał natychmiast. Te, które tu zamontowano, były

nowoczesnymi płaskimi urządzeniami. Po uszkodzeniu ekran najpierw pokrywał się pajęczynką spękań, a przekaz stawał się zniekształcony, jednak trwał. Maks musiał nieźle się namęczyć, żeby doprowadzić wszystkie trzy ustrojstwa do zupełnego wygaszenia. Następnie powłókł się w kierunku wyjścia, które jaśniało delikatną poświatą promieni słonecznych w jednym z kątów bunkra.

– Gratulacje! Żadnych ofiar! – zakrzyknął Wiśnicki na jego widok, tradycyjnie paląc papierosa i wypuszczając przy tym malownicze obłoki dymu tytoniowego z ust. – Obie wyszły w doskonałym stanie, choć mocno zdenerwowane. Pokazałem im przejście. Mam nadzieję, że nie zaszkodziłem tym jakimkolwiek pana zamierzeniom.

– Nie, nie. Tu się już nie da bardziej zaszkodzić – mruknął Maks. – Wracam do siebie, trzeba odkręcić co się jeszcze da.

Powiedziawszy to, skierowali się ku willi.



Max wałęsał się po Nowym Jorku całymi dniami bez celu. Właściwie całe jego życie było w tej chwili pozbawione celu. Bardzo mu się to podobało wbrew wszechobecnej propagandzie o konieczności poszukiwania sensu życia i zapewnienia swojego czasu sprawami użytecznymi. Cała ta nowomodna psychologiczno-pedagogiczna gadanina o motywacji i przymusie pełnego zdefiniowania swojej egzystencji nigdy do niego nie trafiła. Kiedyś, przed epoką coachów i trenerów personalnych ludzie coś robili, bo musieli przeżyć, a gdy mieli zapewniony wygodny byt, wtedy leniuchowali. Przynajmniej ta zdrowa psychicznie większość społeczeństwa. On teraz dążył do postaw pierwotnych. Gdy udało mu się osiągnąć obecny stan niezależności od wszystkich wraz z brakiem problemów materialnych, uznał to oficjalnie za najszcześniejszy moment w swoim życiu. Jednak sprawa zniknięcia zdradzieckiego Stana oraz żony i córki męczyła go cały czas. I nie chodziło tu o pragnienie odzyskania rodziny wraz z całą sentymentalną kołomyją, w której wszyscy zastanawiają się, kto kogo kocha i jak bardzo. Nie, on po prostu nie mógł przeboleć, że ktoś zdecydował o jego losie bez pytania.

Wiśnicki tradycyjnie przepadł gdzieś po drodze pomiędzy krzewami, Maks powrócił do swojego gabinetu sam. Ku swojemu wielkiemu zdziwieniu nie zastał w nim uwięzionego Staszka. Jeszcze kilka minut temu obserwował jego wysiłki na ekranie i nie wyglądało na to, żeby ten zdołał się uwolnić. Teraz fotel stał pusty, na podłodze dokoła wałały się ścinki czarnej taśmy. Maks obchodził opuszczone miejsce planowanej karni na koledze próbując sobie wyobrazić jakim sposobem więzień tego dokonał. Po chwili doszedł do wniosku, że spektakl trwa nadal i zapewne Staszek został uwolniony przez kogoś z willi, a on jest nadal obserwowany. Jednak było mu to już obojętne. Sytuacja dojrzała do tego, aby po prostu wszystko rzucić i uciec stąd bez oglądania się na cokolwiek. Po stwierdzeniu, że nic więcej nie wydedukuje nad opuszczonym fotelem, popędził do sali głównej, aby sprawdzić stan odurzonego pana Romana. Okazało się, że ten już nie śpi. Działanie środków jeszcze całkiem nie ustąpiło, ale marketingowiec z Z1 nie leżał już na podłodze, lecz podciągnął się do pozycji siedzącej i opierając się plecami o ścianę wodził po pomieszczeniu nieprzytomnym wzrokiem. Zupełnie jakby dziwił się swojemu otoczeniu, jak również stanowi ciała oraz ducha.

– Mistrz? – wymamrotał, próbując z trudem skupić wzrok na Maksie.

– Panie Romanie, kto pana tak urządził? – zakrzyknął Maks. – To pan Czesio stoi za tymi wszystkimi okropieństwami? A może jakaś mafia z tym Henrykiem i jego niby córką?

– Mistrz, czy może tylko marny pisarzyna? – jęknął bełkotliwie pan Roman, ni to do siebie, ni to do Maksa, nie reagując na pytania mistrza vel marnego pisarzyny. – Przez chwilę nawet wierzyłem w twoje dzieło. Nie, nie od początku. To pani Jadwiga cię odkryła i usilnie prosiła, żeby wydać. Błagała o to. Ona wyczuła to coś jako pierwsza. A potem się zaczęło...

– Co się zaczęło? – zainteresował się Maks.

- Zdziałało – szepnął pan Roman. – Kto by nie czytał tej książki, zaczynał kombinować, że ona jest ważna. Sensacyjna powieść, przemoc, oszustwa, prosta akcja, a tu niespodziewanie ludzie wierzą w to, jak w jakieś objawienie. Coś niesamowitego! I tak się rozwijało, aż do wczoraj.

- A co się takiego wczoraj wydarzyło? – dopytywał się Maks nerwowo.

- Przestało działać – wzruszył ramionami marketingowiec. – Nie wiem co i jak, ale wcześniej to było wielkie dzieło, aż tu nagle *bum!* Znowu słaby kryminał, nawet bez sensownego zakończenia. Bo przecież bezcelowe wałęsanie się zblazowanego mordercy po Nowym Jorku nie jest czymś, co mogłoby skłonić czytelnika do głębszej refleksji.

Maks normalnie by się obraził na tego typu stwierdzenie odnośnie jego dzieła, jednak ostatnie godziny przybiły go do tego stopnia, że stało mu się obojętne jak ktoś ocenia jego książkę. Poza tym interesowały go kulisy działań w ostatnich tygodniach, a miał nadzieję, że pan Roman w chwili słabości co nieco zdradzi odnośnie sił, które najpierw Maksa tak wysoko wyniosły, a teraz bezlitośnie sponiewierały.

- Powieść jaka była, taka jest – wyjaśniał Maks – A dobra literatura zawsze się obroni.

Marketingowiec parsknął śmiechem szyderczo. Zapewne, jako specjalista od promocji i wciskania reklamowego *kitu*, wiedział coś o prawdziwej wartości oferowanych czytelnikom dzieł.

- Mówię, że przestało działać i już. Ktoś wyłączył twoją magię, mistrzu. I nic na to nie poradzisz – warknął wstając chwiejnie z podłogi. – I lepiej się stąd zbierać, zanim jakiś zawiedziony czytelnik zechce wyładować na nas swoje frustracje.

Pan Roman powłókł się do wyjścia trzymając się ściany. Koło drzwi odwrócił się i zakomunikował smutnym głosem:

- Szkoda, że to już koniec. Przez chwilę całkiem ładnie się to rozwijało. Jakby ktoś pytał, mnie tu nigdy nie było. I panu, mistrzu, też to radzę. W takiej sytuacji o kłopoty nietrudno – skończył i powłókł się na korytarz. Maks postanowił się nie poddawać i wypytać o dalsze szczegóły. Pobiegł za wychodzącym.

- Panie Romanie, ja wiem, że nie zawsze byłem dla pana przyjazny, pan zresztą również nie darzył mnie wielką sympatią. Jednak myślę, że należy mi się kilka słów wyjaśnienia.

Pan Roman uśmiechnął się szyderczo.

- Nie wiem, dlaczego pan, mistrzu, sądzi, że się komukolwiek coś należy. Po prostu los nas karze i wynagradza za prowadzone życie. Niekiedy przesadnie, innym razem skąpo – wyjaśniał niczego nie wyjaśniając. – I teraz pewnie nadchodzą te chude lata.

- To przynajmniej mi pan powiedz, czy Manuel Borca del San Estrada to postać prawdziwa, czy jakiś pieprzony awatar? – krzyknął Maks w przypływie desperacji.

Wielogórski spuścił oczy, niczym uczeń przyłapany na czymś wstydliwym.

- Nie wiem, nie mam pojęcia – westchnął. – To wszystko działo się tak szybko...

- A pan Czesio? Chyba nie chce mi pan wmówić, że i o nim nie ma pojęcia – drażył Maks.

- Przyszedł do nas razem z prezesem. Nikt go nie znał, i tak naprawdę do końca nie poznał. Od początku trzymał się w cieniu, taki *przynieś, wynieś*. Ale czasem miałem

wrażenie, że to on kręci całym tym biznesem, a prezes po prostu gra swoją rolę.

Zapadła chwila ciszy. Pan Roman w końcu się zreflektował, że przerwano mu ucieczkę przed atakiem zawiedzionych wyznawców Maxa, na których książka przestała działać. Dlatego pospieszenie odwrócił się do drzwi frontowych i wyszedł na zewnątrz. Zatrzymał się jeszcze na moment i dorzucił:

- Dziękuję, że mnie pan mimo wszystko nie zadźgałeś na tym krześle. Przez chwilę naprawdę myślałem, że koncepcja *śluszných morderstw* pochodzi od pana. Ale na szczęście to była tylko czcza gadanina.

Wyszedł. Środek odurzający przestał najwyraźniej działać, bo poruszał się już sprawnie i szybko. Maks westchnął widząc, że nie zdoła się niczego dowiedzieć i powlókł się do swojego gabinetu z wyrazem przygnębienia na twarzy.

Na zapowiadaną reakcję mieszkańców willi w obliczu braku mocy żółtej księgi nie trzeba było długo czekać. Pierwsi pojawili się Szwajcarzy. Mieli spakowane plecaki, w kieszeniach bilety na samolot, paszporty, jak też kanapki na drogę. Łamaną angielszczyzną ze szwajcarskim akcentem grzecznie dziękowali za gościnę i tych kilkanaście wspólnych tygodni. Nie dało się jednak ukryć, że byli zawiedzeni. Ich twarze wyglądały podobnie do wyrazu twarzy skacowanych uczestników balu z atrakcjami, którzy właśnie się ocknęli po szampańskiej zabawie i rozglądają się ze zdumieniem po pobojowisku pustych butelek, resztek jedzenia i innych, jeszcze śpiących balowiczach, oświetlonych szarym światłem świtu. Tłumaczyli, że przeżyli tu wspaniałą przygodę, ale wzywają ich szkolno-zawodowe obowiązki w ojczyźnie pod Alpami. Tyle oficjalne wyjaśnienia, ale czuło się, że nie wykładają sprawy do końca.

To był pierwszy sygnał potwierdzający przepowiednie pana Romana. Maks odprowadził zagranicznych gości do drzwi, skąd zobaczył jeszcze kilka osób udających się pospieszenie ku bramie wyjazdowej. Ci, w odróżnieniu od Szwajcarów, nie pofatygowali się, żeby przekazać mu choć kilka słów pożegnania. Nikt się nawet nie odwrócił, żeby pomachać mistrzowi na pożegnanie. Po prostu przemykali po żwirowej alejce szybkim krokiem, ciągnąc za sobą walizki do wyjścia. W ciągu ostatnich kilkunastu tygodni ściągnęło do willi wielu ludzi zgłodniałych mistycznych przeżyć, których miała im zapewnić lektura księgi oraz bezpośrednie obcowanie z jej autorem. A teraz ci sami ludzie chyłkiem umykali, zupełnie jakby się wstydzili swojej chwili słabości, w której skłonni byli głęboko uwierzyć w moc jego tekstu.

- Uciekają... jak szczury - mruknął Maks. Ale po chwili naszła go refleksja, że te *szczury* zapewne wpłaciły całkiem spore kwoty na fundację, tym samym na jego honoraria, więc może to i lepiej, że znikają bez śladu zamiast nachodzić go z żądaniem rekompensaty za stracone nadzieje.

Jednak nie wszyscy zamierzali odejść tak bezboleśnie. Maks po odprowadzeniu wrokiem wyjeżdżających odwrócił się w stronę środka domu i zamarł. Za nim, na korytarzu półkolem stała rodzina Magurów. Ich wrogie postawy i miny mówiły jasno, że przyszli powiedzieć kilka cierpkich słów na *do widzenia*, a może i wyżyć się fizycznie nad Maksem za wszystkie bujdy, które im wciskał.

- Mistrzu - zaczął stary Magura takim tonem, że spokojnie można by to zrozumieć jak *skurwysynu*, pomimo że oficjalny tytuł został zachowany.

- Słucham - Maks odruchowo postąpił krok do tyłu.

– Odchodzimy – wyjaśniał ojciec rodziny. – Ta twoja księga i nauki...

Przerwał. Było widać jak ciężko mu przychodzi powiedzieć choć jedno złe słowo na to, w co do wczoraj święcie wierzył.

– Bo my już niestety... – brnął w mętnych tłumaczeniach. I być może nie dobrnąłby do żadnej składnej konkluzji, gdyby nie najstarszy z synów.

– Mistrzu, powiedzmy sobie szczerze – wystąpił śmiało przed swoją rodzinę. – Jesteście łobuzy i naciągacze. Ojciec dom sprzedał, żeby móc być blisko ciebie i twojej księgi. Zaprzepaścił całe swoje i nasze życie. A to wszystko okazało się po prostu oszustwem.

Zacisnął pięści, jego oczy rzucały gniewne ogniki i Maks był niemal pewien, że za chwilę dostanie od krewkiego młodzieńca w zęby.

– Ludzie, ale co się nagle wydarzyło? – Maks zaczął się jąkać w bezradności. – Przecież to cały czas ta sama książka. Dlaczego wczoraj była objawieniem, a już dziś kłamstwem?

– To my się pytamy: dlaczego? – nabrał odwagi stary Magura, kiedy usłyszał jak z mistrzem radzi sobie jego syn. – Wszystko dotychczas umiałeś tak pięknie wytłumaczyć, więc wytłumacz nam, co zyskałszy siedząc tutaj, oprócz odcisków na rękach od tych robót wokół posiadłości? Nie będziemy do końca życia bezproduktywnie słuchać tych bajeczek o smutnym gościu ze Stanów Zjednoczonych.

– I na co poszły środki za nasz dom? – dorzucił najstarszy z synów.

– Co teraz mamy ze sobą począć? – zakończył niemal płaczkliwie stary. – Chociaż te pieniądze oddaj. Przecież nie wrócimy do wioski ot tak, bez pieniędzy, ani bez jakiegokolwiek sensu tego, co zrobiliśmy. Wszyscy będą się z nas śmiali.

– Ludzie, proszę was, nie bądźcie tacy ostrzy. Pogadajmy! Pieniądze, hmm, no tak... chętnie, ale najpierw muszę porozmawiać z wydawnictwem, bo ja wcale tutaj nie rządę, chociaż niby jestem prezesem... Nawet odwrotnie, można by rzec, jestem równie oszukany, co wy – wyjaśniał Maks.

– Mówiłem, ojciec? Banda krętaczy, złodziei i morderców. Jeszcze się w sądzie spotkamy. Mamy na szczęście kwity podpisane przez tego Wielogórskiego i fundacja musi zapłacić! – zapowiedział buńczucznie najstarszy z synów. – Za stracony majątek i naszą robotę tutaj.

– Za kłamstwa i odebrane nadzieje – dorzucił stary Magura ze złym błyskiem w oku. – Dobrze mówisz, synek. Teraz idziemy, ale jeszcze się spotkamy.

Cała rodzina odwróciła się z zaciętymi minami ku wyjściu i mijając bez słowa swojego dotychczasowego mistrza, opuszczała budynek, zostawiając tu swoje marzenia o nowym życiu, a zabierając gniew i frustrację. Maks śledził ich ze zbielełą ze stresu twarzą. Docierało do niego z całą mocą, że księga rzeczywiście przestała działać i nawet najwierniejsi wyznawcy Maxa z Nowego Jorku go teraz opuszczają.

Magurowie odeszli na kilkanaście kroków, kiedy średni z synów odwrócił się gwałtownie i podbiegł do Maksa.

– A to za Edytle! – Huknął go w twarz. Następnie spokojnym krokiem dogonił swoją rodzinę. Następnie odwrócił się i syknął: – Wyłysiały Casanova się znalazł.

Maks trzymał się za krwawiący nos. Nie zamierzał się bronić, oddawać ciosu, ani niczego wyjaśniać. Mieli wiele racji. A biorąc pod uwagę temperaturę młodzieńczych uczuć mógł uznać, że jedno, do tego niezbyt silne uderzenie w twarz nie jest mocną zemstą za jego poczynania z młodą dziewczyną, w której średni Magura najwyraźniej się podkochiwał. Maks westchnął. Czuł, że nic nie zatrzyma już jego upadku.

Godziny mijały, a willa była opuszczana przez kolejnych mieszkańców. Ktoś przyszedł się chłodno pożegnać, inny groził Maksowi zemstą i sądem, ktoś go nawet szarpał, próbując ręcznie wyładować swoje frustracje, jednak pogrążonego w smutnych rozmyślaniach pisarza to w żaden sposób nie dotykało. Kiedy zatamował krwawienie po otrzymanym uderzeniu i przekonał się, że nos nie został złamany, Maks usiadł naprzeciwko okna wychodzącego na ogród i został w tej pozycji przeżywając ciężko swoją porażkę. Cały dzień tkwił tam jak porażony, niezdolny do żadnego działania ani rozsądnej myśli. Wydarzenia ostatnich kilkunastu godzin układały się jeden przerażający obraz utraty wszystkiego, co wydawało się, że miał bezpiecznie zapewnione do końca życia. Agata, Basia, Staszek, powodzenie książki, szacunek czytelników, tłumy wielbicieli – jeszcze niedawno obawiał się, że nie uda mu się połączyć sukcesu i obowiązków literacko-religijnego guru z życiem rodzinnym. Teraz wiedział, że martwił się niepotrzebnie. Sznurki wymknęły mu się z ręki jeden po drugim i został całkiem sam.

– To tak jak marzyłeś – odezwał się nagle głos z głębi gabinetu. – I tak jak opisałeś w tej swojej, pożałuj Boże, świętej księdze. Zostałeś sam, opuszczony, ale i szczęśliwy w swoim opuszczeniu. Do tego z czymś w rodzaju zadry, i ona nie da zapomnieć, że utraciłeś rodzinę i kilka innych ważnych rzeczy, które jednak nie są ci potrzebne do szczęścia. Dzięki temu spełni się twoje marzenie – staniesz się artystą, takim jak ci podziwiani w czasach szkolnych romantycy sprzed dwustu lat. Wiecznie sami, niespełnieni. No i do tego dosyć bogaci. O ile nie podpisali nierozsądnych umów lub zobowiązań.

Maks zeszytywniał z wrażenia. Ton głosu, jak również niewyraźny obraz odbicia w szybie, w której widział zarys przemawiającej postaci, to wszystko mu coś przypomniało. Smutny wieczór sprzed wielu miesięcy nad kieliszkiem w barze po pierwszej i ostatniej wypłacie w zakładzie produkcyjnym, gdzie został zatrudniony dzięki koligacjom Staszka. Tak, to był ten sam głos – trochę kpiący, ale przede wszystkim wyrażający troskę o niego. A niewyraźne, połyskliwe odbicie w szybie pasowało joto w jotę do tamtego zmazanego obrazu kogoś, kto martwi się o jego losy, ale i gniewa za niezaradność, brak inicjatywy i niekończące się rzucanie oskarżeń o złą wolę na wszystkich wkoło. Odległy, falujący obraz tego wieczora prześladował go przez cały czas. Na tyle niewyraźny i zamazany upływającym czasem oraz wypitym wówczas alkoholem, że nie był w stanie odtworzyć jasno żadnego słowa, jednak na tyle żywy, aby czuć, że wydarzyło się wtedy coś istotnego.

– To ty? – Maks odwrócił się nagle na swoim prezesowskim fotelu w kierunku przemawiającego. Wiedział, był w tym momencie pewien, że sam Bóg do niego zszedł w jego niedoli. I teraz nie da mu zginać. Znowu ześle jakąś cudowną odmianę losu. Świetlistym punktem albo grzmiącym głosem z niebios wskaże drogę i poprowadzi za rękę ku lepszemu życiu. Dlatego Maks nagle się ożywił i krzyknął z podnieceniem na

widok przybyłego: – Tak. To ty! Posłuchałeś mnie. Dałeś sukces, uwielbienie czytelników, spełnienie marzeń o byciu pisarzem z prawdziwego zdarzenia, a potem kazałeś zapłacić cenę za to wszystko. Wiem, że o to prosiłem, kiedy siedziałem w ciemnej klitce w naszym mieszkaniu i co chwilę wzdychałem nad swoim życiem. Na wszystko zasłużyłem. Ale teraz... teraz chętnie bym tam wrócił. Do Basi, Agaty, do Staszka, do czasów, gdy czasem się sprzeczaaliśmy, ale i kochali. Spraw, Boże, żeby czas się cofnął.

Maks złożył ręce w błagalnym geście i wyciągnął je ku przybyłemu. Jednak teraz zrozumiał, kto za nim naprawdę stoi.

– Chyba mnie nieco przeceniasz, mistrzu – pan Czesio skrzywił się, powiększając na chwilę swój standardowo obecny uśmiech, następnie zapalił papierosa. – Ja tu tylko pomagam co nieco, i tyle. Robię co każą, a myśleniem niech zajmują się ci mądrzy.

Zatoczył ręką szerokie koło, jakby wskazując *tych* mądrych. Potem spytał:

– Wszyscy się tak nagle ewakuowali. Jakaś zaraza wybuchła, czy co?

Maks wpatrywał się z wyrazem zawodu na palącego papierosa człowieka. Chwilowa pewność, dogłębne uczucie, że rozmawia z samym Bogiem pierchło natychmiast. Stojąc twarzą w twarz ze zblazowanym, etatowym pracownikiem Z1 nie rozpoznawał już ani tego głosu, ani widoku postaci, która wtedy do niego przemawiała. Co więcej, powróciły myśli o dwuznacznej roli tego człowieka w dotychczasowych wydarzeniach.

– Prawie – odpowiedział ponuro. – Już nie wierzą w Maxa i jego dzieje.

– Uuu, to cienko – skomentował pan Czesio i podrapał po włosach. Podwinięty rękaw koszuli ukazał więzienny tatuaż. – I co dalej pan zamierzasz... mistrzu.

Nie dało się ukryć, że obowiązkowy dotąd dodatek w postaci tytułu mistrza został dodany po chwili zastanowienia. Nie umknęło to uwadze Maksa.

A więc i ty, Czestawie, przeciwko mnie – pomyślał. – Jedno potknięcie i wszyscy się odsuwają. Jakże zmienne są koleje losu.

Maks wzruszył ramionami nie wiedząc co odpowiedzieć. Pan Czesio się uśmiechnął nadzwyczaj wyraźnie, wręcz promiennie.

– No, to ja już będę leciał. Jakbym był potrzebny wystarczy...znaczy, w razie potrzeby pojawię się sam. Będę trzymał rękę na pulsie – machnął ręką na pożegnanie i wyszedł.

– No pięknie – westchnął smętnie Maks, który już zrozumiał, że nie rozmawiał z Bogiem. A nawet jeśli, to ten się tak sprytnie zakamuflował i udawał kogoś całkiem nieboskiego, że zdołał całkowicie zbić Maksa z pantalyku. Pisarz pozostał całkiem sam, opuszczony przez rodzinę, wielbicieli dotychczas skupionych wokół niego w willi oraz przez śpiących pieniędzmi szefów z Wydawnictwa Z1. Jego marzenia się spełniły – był wolny i nie wiedział co ma z tym dalej począć.

Wieczorem pojawiła się jeszcze pani Hanna z Jagódką. Obie podeszły do Maksa, pani Hanna chciał coś powiedzieć, ale wpatrzony w ciemną szybę mistrz ją uprzedził:

– Tak, wiem, wszystko wiem. Książka już się nie podoba, nikt nie rozumie, dlaczego jeszcze wczoraj się nią zachwycił. Do tego jestem oszustem i niemal mordercą. Resztę frazesów można sobie darować. Aha, jeżeli chce pani rekompensaty za jakiegokolwiek

wpłacone fundacji pieniądze, proszę założyć sprawę w sądzie. Ja osobiście o niczym tu nie decyduję, pomimo bycia nominalnie prezesem.

Brzmiało to niemal jak oświadczenie rzecznika jakiejś instytucji wobec natarczywych dziennikarzy. Maks w międzyczasie musiał odprawić jeszcze kilku słuchaczy swoich codziennych wykładów, którzy zapragnęli wylać na niego swoje troski i frustracje, dlatego nabrał już wprawy wygłaszaniu tego komunikatu.

– Ale ja tylko chciałam ci bardzo podziękować, mistrzu – odpowiedziała cichym głosem pani Hanna. – Dałeś nam schronienie i opiekę w ciężkich chwilach. Czy książka jest taka, czy inna, to nie jest najważniejsze. Dla nas się liczyło twoje wsparcie i możliwość odbicia od dna w ciężkich chwilach.

Zamilkła na chwilę, następnie dodała:

– Pogodziłam się z mężem. Przyjechał tu za nami. Obiecał poprawę. Był naprawdę szczery w tym, co mówi. Gdyby nie możliwość zamieszkania w willi, to pewnie byśmy przepadły. A tak, jest szansa na nowe życie, światło w tunelu. Dlatego dziękuję. Tobie również się odmieni los, mistrzu. Jestem tego pewna.

Gdy wyszły, Maks został w ciemnym, opustoszałym budynku. On nie widział żadnego światła w tunelu.



Barman westchnął bezradnie widząc człowieka śpiącego z głową popartą na rękach. Uniósł ją lekko za włosy i spojrzął w twarz.

– Znowu ten – jęknął z rezygnacją. Najwyraźniej gość był postacią znaną w tym lokalu. Barman z dużą wprawą uniósł śpiącego i zaczął prowadzić do wyjścia. Starał się, żeby zamroczony alkoholem jegomość uruchomił na tym krótkim odcinku swoje kończyny, jak również chwycił równowagę. Nie miał serca rzucać ludźmi o chodnik przez próg prowadzonego przybytku. Z drugiej strony knajpa nie była noclegownią i szef wyraźnie nakazał mu pozbyć się każdego drzemiącego, a wyrzucanych o bladym świetle wyprawić jak najdalej od witryny baru, żeby nie szkodzili wizerunkowi tego kulturalnego przybytku.

Max po wyprowadzeniu w chłodny poranek otrzeźwiał i rozglądał się ciekawie wkoło, jakby nie pamiętając skąd się tutaj znalazł. W ciągu ostatnich miesięcy zmieniał się nie do poznania. Zarost i podniszczony płaszcz zbliżały go wyglądem do typowego nowojorskiego menela. Stanął na kilka dłuższych chwil w bramie i obserwował jak nocny lokal jest zamykany przez obsługę. Po minucie został na ulicy sam. Wtedy go zauważył.

Szybkim krokiem zbliżał się w jego stronę John-antykwarium. Pomimo lichego oświetlenia pochodzącego jedynie z lamp ulicznych i nielicznych neonów, postawa i wyraz twarzy nie mogły mylić – to był jego stary kumpel z klasy, niby-wspólnik w interesach oraz główne narzędzie niesprawiedliwości, która go dotknęła. John zbliżał się szybko nieświadomy zaczajonego w bramie Maxa. Ten spał się cały, próbując przezwyciężyć zamroczenie alkoholowe. Musiał wykorzystać tę okazję i niezależnie od okoliczności dobrać się do skóry oszusta. John był coraz bliżej.

*Ciemności spowiły wielki dom. Wszyscy go opuścili i zapanowała absolutna cisza przetykana szumem wiatru w gęstwie ogrodu – naturalny stan dla tego miejsca, przerywany jedynie od czasu do czasu z gruntu chybionymi pomysłami zagospodarowania pechowej nieruchomości. Takimi jak dom pracy twórczej dla scenarzystów filmowych, hurtownia zabawek, czy w końcu fundacja pomagająca ludziom poprzez lekturę kryminału o nieudaczniku z Nowego Jorku. Mistrz siedział zapatrzony w ogrodowe pejzaże za oknem i rozmyślał o tym, że wcale mistrzem nie jest. Niezależnie od tego jak ktoś kogoś tytułuje i jak wielki tłum pochlebców się zgromadzi, normalny człowiek ma wbudowany system autocenzury. Zagłuszony przez fałszywe sygnały często zawodzi, ale ostatecznie oszukać się go nie da. Zawsze wypłynie na powierzchnię jak morska boja sygnalizacyjna spod fal. I ten sygnał właśnie brzmiał teraz bardzo jednoznacznie – *Maksymilianie, jesteś zerem!* Maks siedział i analizował zaszłe wydarzenia. Co dziwne, po raz pierwszy w życiu był na tyle przybity, wręcz przerażony sytuacją, w której się znalazł, że jego rozmyślania biegły zupełnie innym tokiem niż zazwyczaj. Dotychczasowy schemat zasadzał się na koncepcji: *jeżeli mam problem, to natychmiast szukam chętnych do przejścia odpowiedzialności, tej**

rzeczywistej, wyrażanej czynkami, ale i wewnętrznej, budzącej poczucie zaangażowania w rozwiązanie problemu. On w swoich oczach nie był nigdy winny niczemu. Zawsze szukał źródła problemów u innych i z łatwością znajdował. To samo dotyczyło działań praktycznych, kiedy rodzice, a w latach późniejszych Agata, Staszek, a nawet Basia przejmowali wszystkie troski powszednie. Tym samym można ich było w większym stopniu obarczać o niedociągnięcia dnia codziennego. Zacerowanie podartej kurtki Basi, naprawa kapiącej baterii w zlewozmywaku, wybór pensjonatu podczas wakacji w Zakopanem – każde z tych zadań nadawało się łatwo do przerzucenia na żonę i innych przy odpowiedniej dozie stanowczości oraz samozaparcia w odrzucaniu odpowiedzialności własnej. Ostatecznie jemu pozostawała rola prowadzonego za rękę, kapryśzającego chłopca. Jednak teraz tak się nie dało. Splot wypadków ustawił go w pozycji, gdzie nie mógł się wyprzeć odpowiedzialności. Co więcej, dążył do obecnie osiągniętego stanu przez lata i teraz nie mógł przed sobą samym zaprzeczyć, że życie z ostatnich kilku miesięcy ułożył z premedytacją tak, aby w końcu odsunąć się od rodziny i zyskać niezależność. Dokładnie tak, jak opisał w promowanej przez kierowaną fundację powieści.

– Dlaczego więc nie jest mi z tym zbyt dobrze? – godzinami pytał się sam siebie ze zdumieniem, że nikt nie podsuwa mu rozwiązania, ani nie przejmuje na siebie jego fatalnego samopoczucia z powodu zaistniałej sytuacji. Wina był po jego stronie, poczynając od oszukiwania wyznawców Maxa, odchodzących z poczuciem straconego czasu i przegranych nadziei, po obraz Agaty i Basi, maszerujących szybkim krokiem po żwirowej alejce, byle znaleźć się jak najdalej od niego. Również prezes wydawnictwa, pani Jadwiga i pan Roman jakoś obciążali jego sumienie, chociaż to od nich wszystko się zaczęło. Na myśl przyszedł mu również stary Wiśnicki. Nawet jego zawiódł. Nie umiał powiedzieć mu prawdy prosto w oczy, że nie ma w willi żadnego ducha zamordowanej żony, który by pałał chęcią przebaczenia za morderstwo sprzed ponad półwiecza i starzec może spokojnie umrzeć, bo już nic pozytywnego go w życiu nie spotka. *Maksymilianie, jesteś zerem!* – znowu dobiegł go sygnał z nadajnika kołyszącego się na powierzchni jego umysłu.

W końcu w jego myślach pojawił się Bóg. I rzecz dziwna, również w tym przypadku nie zjawily się standardowe dotychczas oskarżenia, a jedynie refleksja, że wydarzenia potoczyły się w ten sposób, bo Maks tego mocno pragnął. Musiał przed samym sobą przyznać, że Bóg po prostu go wysłuchał, dopuścił do tego, żeby marzenia się spełniły. Gdyby był bardziej wnikliwym badaczem literatury poza swoimi dziełami, łatwo odkryłby, że jego przypadek nie był jedynym w dziejach ludzkości. Opisano już wiele historii, kiedy zdarzyło się, że Opatrzność *popuściła* swoim podopiecznym i na chwilę następował kryzys, niekiedy na skalę całej planety.

Noc postępowała oplatając swoimi mackami ogród, willę, ale przede wszystkim duszę Maksa. Zastanawiał się, co dalej ze sobą począć. Dotychczas wierzył w swoją książkę, być może był nawet jej najbardziej gorliwym wyznawcą. Oficjalnie nazywając ją niewiele wartym, komercyjnym gniotem, Maxa postacią w pełni fikcyjną, niepodobną od niego samego, a samą akcję jako wymyśloną na poczekaniu historyjkę, to jednak nie mógł zaprzeczyć, że wszystko co tam zawarł, było silną emanacją tego, w co wierzył. A teraz,

kiedy mogło się okazać, że jego życie może naprawdę potoczyć się tak, jak przedstawił w powieści, przeszywało go przerażenie i strach przed dalszym ciągiem wydarzeń.

Wtem zobaczył światło z korytarza. Delikatna łuna musnęła szparę na łączeniu drzwi z progiem. Maks zamarł w zaskoczeniu. Czyżby jeszcze ktoś z mieszkańców willi został i pałętał po opustoszałych pomieszczeniach? Podniósł się z fotela, w którym spędził na rozmyślaniach cały wieczór. Noc panowała już w pełni nad parkiem i ogrodem. Zamilkły odgłosy wałęsających się po alejkach nad stawem pijaczków szukających dobrego miejsca do konsumpcji alkoholu z dala od patroli policji i straży miejskiej. Łabędzie spały, wtuliwszy głowy pod skrzydła, a księżyc zasłonięty chmurami ledwo muskał rozmytym blaskiem powierzchnię ziemi. Łuna znowu przesunęła się po korytarzu oświetlając wąską szparę. Maks przypadł do drzwi z ciężkim dziurkaczem do papieru w dłoni, który tak skutecznie unieszkodliwił Staszka podczas ich wcześniejszego spotkania. Dłuższą chwilę zbierał się na odwagę. W końcu wyskoczył jednym susem z gabinetu, rozglądając się czujnie niczym komandos. Znaczący, Maks sądził, że zachowuje się jak komandos, bo gdyby miał przed sobą rzeczywistego zbrodnię, ten z łatwością by unieszkodliwił literata nieudolnie udającego *marines* w akcji. Na zewnątrz jednak nikogo nie było. Zamarł w zdumieniu, próbując zlokalizować źródło światła. Trwało dobrych kilkanaście sekund zanim ją zobaczył. Nic dziwnego, że dotychczas nikt jej nie zlokalizował. Zapalone całą dobę oświetlenie awaryjne oraz ciągły ruch wielu ludzi nie są dobrym środowiskiem dla obserwacji duchów, nie wspominając o kontakcie z nimi. Teraz było zupełnie ciemno i spokojnie, dlatego nareszcie można było zobaczyć, że nie jest się w willi samemu. Maks śledził przemieszczający się kształt, a właściwie lekko świetliste zniekształcenie przestrzeni. Zastanawiał się co dalej począć. W pewnym sensie był do tego spotkania odpowiednio przygotowany, słyszał historię Wiśnickich, poznał sprawcę i jego żal za swój uczynek, polubił go nawet. Sam przeczuwał również, że ta historia jest z nim w jakiś sposób związana. I jeżeli udałooby mu się włączyć w nią choć trochę pozytywnych aspektów, to może i jego los jakoś by się polepszył.

– Halo, proszę pani! – zawołał za nią, a raczej chciał zawołać, bo po wielogodzinnym milczeniu gardło nie zdołało wyrzucić z siebie nic poza skrzekliwym odgłosem. Kształt nie zwrócił na niego uwagi.

Nie wiadomo było zresztą jak duch zamordowanej miałby się do niego zwrócić, w jaki sposób niematerialny przecież byt wykazuje swoje zainteresowanie. Oczywiście powstały rozliczne książki o duchach. Zjawy występowały również w tysiącach filmów, kolorowe gazety i plotkarskie fora internetowe publikują nawet zdjęcia, gdzie wśród żywych, cielesnych ludzi pojawia się dziwna zamazana postać, w której inni poznają zmarłą przed laty ciotkę. Jednak to wszystko zakłada istnienie jakichś typowo ludzkich cech wyglądu oglądanego przybysza z zaświatów – oczu, twarzy, poruszających się nóg i gestykulujących rąk. Tu nic takiego nie było, po prostu coś się przemieszczało i lekko świeciło. Maks podbiegł do tego czegoś, ale światłość natychmiast rozpełzła się po kątach, rzucając refleksy na fantazyjne wzory kotar i rzeźb zgromadzonych w reprezentacyjnym hallu przez pana Czesia. Maks stanął zdezorientowany. Przemieszczająca się energia i światło znów się skupiły, tym razem po drugiej stronie

korytarza. Zrozumiał, że nijak jej nie dopadnie w sensie fizycznym. Dlatego postanowił mówić. Może chociaż słowa odniosą skutek?

– On żałuje, strasznie żałuje tego, co zrobił. Nie wrócił nigdy do dawnego życia, w ogóle do życia. Jest prawie martwy, ale czeka na tym świecie, żeby uzyskać przebaczenie lub chociaż nadzieję na to. Bo on panią kochał i nadal kocha nad wszystko. Proszę pani, czy panie mnie słyszy? Miłość. On kocha i prosi o przebaczenie. I ja proszę w jego imieniu – przemawiał zachrypniętym głosem, sondując, czy jakkolwiek efekt został osiągnięty. Nie był pewien, czy sam nie ulega halucynacji. W końcu miniony dzień nie należał do najłatwiejszych i tylko stan napięcia nerwowego utrzymywał go jeszcze na nogach.

Kształt przestał się przemieszczać, po dłuższej chwili światło się wzmogło, a do uszu Maksa doszły jego własne słowa, jednak mocno zniekształcone, wycięte ze zdań, w których się znajdowały. Brzmiały niczym odbite przez echo wyrazy: *Miłość* oraz *Przebaczenie*. Kształt jeszcze chwilę trwał, następnie zaczął blaknąć, by w końcu zniknąć.

– Miłość i przebaczenie – mruknął do siebie Maks. – Czyżbym jednak czegoś tu dokonał?

Wrócił do gabinetu, padł na sofę i natychmiast zasnął wyczerpany wydarzeniami tego najdłuższego dnia w swoim życiu. Nad zaroślami za oknem różowiał świt.



Bezdomny Ed lubił ten kąt, spokojny zaułek pomiędzy zapleczem magazynu a ciągiem starych opuszczonych kamienic czynszowych, które od kilku lat przestały zadowalać gusta nawet najmniej wybrednych mieszkańców Nowego Jorku i dogorywały obecnie jako ponure pustostany. Tu mógł spokojnie odpocząć po swoim codziennym obchodzie, podczas którego zajmował się zbieraniem puszek oraz szukaniem okazji, żeby się najeść za darmo. Pracownicy magazynu rzadko bywali w tym kącie, nigdy przed dziesiątą rano, dlatego w ciepłe miesiące można się tu było spokojnie wyspać. Wszędzie zalegały sterty kartonów pozostałych po przepakowaniu towarów. Z grubego papieru można było ułożyć sobie nie tylko solidne posłanie, lecz również sklecić coś w rodzaju prowizorycznego, papierowego domu ze ścianami i dachem, który zastępował Edowi ten prawdziwy, choćby tylko na kilka godzin drzemki. Ed narzucił spore pudło na swój wózek, aby go ukryć przed ewentualnymi złodziejami. Następnie zajął się przygotowaniem miejsca na legowisko. Kartonów było tego dnia wyjątkowo dużo, więc nie było problemów z budulcem na solidne leże. Wtedy zauważył dwie nieruchome stopy w butach wystające spod zwalów papieru. Zaklął. Dotychczas udało mu się zachować ten przytulny zakątek tylko dla siebie, dlatego pojawienie się niespodziewanego towarzystwa zdenerwowało go nie na żarty. Już to przeżywał w innych lokalizacjach. Scenariusz wygląda zawsze podobnie – najpierw pojawia się jeden nieproszony gość, który potem przyprowadza kolegę, ten kolega jeszcze następnych. Jak się już rozgospczą, zaczynają pić whisky albo tanie wino z plastikowych baniaków, kłąć na swój bezdomnych los, rozrzucać śmieci i srać po kątach. Do tego kilka razy się pokłóca i pobijają, aż w końcu obsługa magazynu ich odkryje. Zostaną wyrzuceni na zbity pysk, przytulne wysypisko będzie zlikwidowane, a zaciszny plac zamknięty od strony ulicy na cztery spusty.

– E, spierdalaj. To moje kartony! – Ed kopnął nieproszonego gościa, obiecując sobie trochę go nastraszyć. Może uda się przegnać intruza. Kopnięta stopa drgnęła jakoś dziwnie, nienaturalnie. Ed poczekał chwilę na reakcję zagrzebanego, a kiedy ta nie nastąpiła, rzucił się do rozgarniania papierowych pudeł. Po chwili stał nad rozciągniętymi, skrwawionymi zwłokami.

– Trup – westchnął z ulgą.

To było dużo lepsze rozwiązanie, przynajmniej chwilowo. Nieżywy nie ma już kolegów, nie hałasuje, a do tego nosi czasem przy sobie coś cennego. Ed rzucił się do kieszeni, gdzie rzeczywiście znalazł kilka dolarów. Na szyi świecił złoty wisior z medalikiem. Ed zerwał go szybkim ruchem.

– Maxowi Margaret – przeczytał wygrawerowany na rewersie napis.

Pomimo, że płaszcz, zarośnięta twarz i zaniedbana fryzura nieboszczyka przywodziła na myśl osobę biedną, to pozostałe elementy stroju były modne i dobrej jakości. Szkoda, że zakrwawione – Ed za żadne skarby nie włożyłby na siebie czegokolwiek ze śladami

krwi. Natomiast buty wyglądały na czyste, do tego nieuszkodzone i we właściwym rozmiarze. Po chwili znalazły się na stopach odkrywcy ciała. Należy mu się przecież jakieś znaleźne. Kiedy Ed skończył, zagrzebał umarlaka na powrót w papierowym grobowcu. Podumał chwilę, nie mogąc się zdecydować, czy powinien tu spać. W końcu zwyciężyła chłodna kalkulacja. Zamordowanego odkryją za kilka godzin. A wtedy lepiej być już daleko stąd, tym bardziej, że ma na stopach jego buty, a w kieszeni jego pieniądze i złoty wisiołek, a to zawsze rodzi różne niesprawiedliwe podejrzenia. Ciężko wdychając Ed odkopał swój wózek i rażnym krokiem oddalił się na poszukiwanie innego miejsca na drzemkę.

Maks zbudził się obolały od niewygodnej otomany i zziębnięty w wyniku porannych chłódów przenikających do wnętrza willi. Chwilę siedział na wpół przytomny. Podobnie się czuł, kiedy został w firmie na noc po kłótni z Agatą. Jednak wtedy jeszcze miał wszystko – rodzinę, książkę, przyszłość. Teraz to stracił. Po kilkunastu sekundach wróciła pełna świadomość sytuacji, w której się znajduje. Maks w swym smutku ukrył twarz w dłoniach i nawet próbował zaszlochać, ale nie bardzo mu to wyszło. Jedyna pociecha w tej biedzie, że przynajmniej nie będzie chodził z czerwonymi i zapuchniętymi oczyma. Zielone krzewy ogrodu kołysały się w takt podmuchów wiatru za oknem. Maks pomyślał, że teraz został naprawdę sam, jeżeli nie liczyć starego, skruszonego mordercy za towarzystwo. Wtedy jego wzrok padł na parapet, gdzie ktoś położył kartkę papieru i przygnoił kamieniem.

Mistrzu, dziękuję. Teraz jestem wolny i mogę wreszcie spokojnie sobie umrzeć. W.

Litery nakreślone zostały ręką, która odwykła od pisania, choć sam ich krój przywodził na myśl przedwojenną sztukę kaligrafii. Pismo najwyraźniej pochodziło od Wiśnickiego. Czyżby nocna akcja udobruchania ducha rzeczywiście przyniosła skutek i ofiara przebaczyła z zaświatów swemu oprawcy?

– No to nie mam już nawet Wiśnickiego – westchnął Maks i ponownie spróbował zapłakać, ale znów mu się to nie udało. Trochę to było irytujące. Rodzina go opuściła, stracił ostatniego przyjaciela, wymarzony sukces literacki przepadł, a on nawet nie potrafił się porządnie rozkleić.

– Jesteś zerem, Maks – skarcił sam siebie za kolejną fuszerkę w swoim życiu.

Opuszczona przez wszystkich willa z dnia na dzień powróciła z powodzeniem do swojej roli szarego miejsca niosącego jedynie przygnębienie. Maks pokreślił się chwilę po budynku i ogrodzie, jednak po krótkim czasie mu się to znudziło. Bez zamieszkujących tu ludzi, krążących idei, wymiany poglądów podczas jego pogadanek było to tylko miejsce z ponurą historią i jedynym pozostałym, równie ponurym mieszkańcem. Wtedy przyszła mu do głowy niespodziewana myśl: *Czas wracać do domu*. Wcześniej zawsze miał trudności ze zdefiniowaniem tego, co jest jego domem. Przez całe swoje dotychczasowe życie tęsknił do czegoś lub chciał się skądś wyrwać, lecz nigdy nie był zadowolony z tego co ma. A teraz nagle, jakby machinalnie, spłynęła na niego świadomość, że ta stara willa, choć ładna i duża, z pewnością nie jest jego domem. A jedynym pasującym do tej definicji punktem w jego dotychczasowym życiu było ich małe mieszkanie w bloku. I nawet, jeżeli już tam nie ma Agaty i Basi, to jawiło się ono

jako jedyny kąt na świecie, gdzie Maks mógłby się teraz schronić i liczyć na przetrwanie szalejącej wokół niego i w nim samej życiowej burzy.

– Czas do domu – powtórzył, już pewniej, bez wcześniej odczuwalnej nuty zaskoczenia dokonany odkryciem. Rzucił jeszcze okiem na swój gabinet z feralnym fotelem sprawdzonym w miłosnych podbojach oraz z rozłożystym biurkiem, przy którym nie udało mu się napisać ani jednej linijki tekstu planowanej kontynuacji świętej sensacyjno-kryminalnej księgi. W końcu spojrzął na taras i rozciągającą się za nim zielenią ogrodu. Tak, to był najbardziej udany fragment jego siedziby wraz z nawiedzającym go czasami, sympatycznym staruszkim mordercą. Po chwili zamknął za sobą ciężkie drzwi wejściowe i udał się do wyjścia chrząszcząc pod nogami żwirową aleją, opuszczając willę jako kolejny przegrany mieszkaniec w jej niemal stuletniej historii. Powłócząc nogami szedł wolno w kierunku swojego osiedla. Idea ucieczki z willi, pozostawienia za sobą wspomnień ostatnich kilku ostatnich złych miesięcy się ziściła, jednak nie wiedział co powinien dalej począć. Znowu spróbował się rozpląkać, ale ponownie mu się to nie powiodło. Literacka wyobraźnia podpowiadała mu, że w takim stanie ducha najlepiej zapalić papierosa. Smętny, niedogolony rozbitek życiowy owinięty szarym płaszczem, z papierosem w ustach. To było przez wiele lat jego marzenie – być kimś takim, wyrwać się z prozaicznej rzeczywistości, ustawić na marginesie życia i do końca życia tylko tworzyć i przeżywać swoją twórczość. Co prawda spotkania z Wiśnickim jasno unaocznily, że na palacza tytoniu się nie nadaje, ale reszta się ziściła. Domyślał, że Bóg po prostu miał dość tego wiecznego marudzenia i dał mu zakosztować wymarzonego życia.

– Dobra, teraz mogę się pomęczyć. Ale w końcu mnie stąd wyciągniesz? – zagadał w przestrzeń, trochę jak Tewje Mleczarz ze słynnego musicalu *Skrzypek na dachu* w swoich przekomarzeniach ze Stwórcą. – Pobawisz się, ja się trochę powłóczę smętnie po mieście, ale potem coś się zmieni.

Brak odpowiedzi z niebios, jakiegokolwiek znaku lub chociaż nagłej zmiany pogody. Nie wyglądało na to, żeby Bóg miał ochotę zajmować się Maksem. A jeżeli już, to zapewne zachodził w swoją boską głowę, dlaczego człeczyna, który dostał to, czego chciał, dalej jest niezadowolony.

– No tak. Nie można żądać zbyt dużo – westchnął Maks, zmieniając ton na dużo bardziej pokorny i pełen rezygnacji. – Będzie jak zechcesz.

Chyba pierwszy raz w życiu Maks będąc w złej sytuacji nie miał do nikogo pretensji i nie wysuwał wobec otoczenia oraz instancji wyższych żądań natychmiastowej interwencji poprawiającej jego los. Wyglądało na to, że zdał sobie sprawę z faktu, że spełnianie jego żądań napędzanych kaprysem chwili nie prowadzi do niczego dobrego. Najwyraźniej Maks chciałby po prostu, żeby ktoś teraz go poprowadził i pouczył co jest w jego sytuacji dobre, a co nie. I to również była dla niego nowość.

W tym momencie ulicą obok przejechał wolno elegancki samochód. Nieraz w gangsterskich filmach można zobaczyć tego typu scenę, kiedy w oknie przejeżdżającej ślimaczym tempem limuzyny widać zblazowanego mafioso w towarzystwie pięknych kobiet albo swoich ponurych kompanów. Maks nawet planował opisać bossa Pereza ze swojej powieści w takiej sytuacji, ale ostatecznie okazała ku temu w opisywanej fabule

się nie nadarzyła. Czarny kształt przesunął się majestatycznie, a kiedy Maks odwrócił głowę w jego kierunku, aż mu zapało dech w piersiach.

– Zaraz, zaraz... Prezes?! – wrzasnął i skoczył w kierunku samochodu, który jednak w tym momencie nagle przyspieszył. Niewprawny w bieganiu pisarz popędził za nim, ale po kilkudziesięciu metrach zatrzymał się dysząc ciężko. Jedyne na co go było stać, to odprowadzenie wzrokiem oddalającego się pojazdu. Mimo, że twarz w oknie mignęła mu przez ułamek sekundy, to wystarczyło w zupełności, żeby poznać osobę. W środku siedział prezes, którego on miał od wczoraj za zamordowanego. Maks niczego nie rozumiał. Podumał nerwowo zagryzając wargi, by w końcu zakląć, odwrócić się na pięcie i popędzić z powrotem do willi.

Podbiegł pod budynek z chrzęstem żwirowej alejki, minął główne drzwi. Następnie dopadł komórki na narzędzia ogrodnicze skrytej w jednym z załamań muru. W środku leżały miotły, widły i szpadle, które jeszcze dwa dni temu były w codziennym użyciu przez Magurów oraz pozostałych mieszkańców fundacji zagonionych przez pana Czesia do dbałości o tereny zielone. Porwał szpadel i bez wchodzenia do budynku pobiegł w kierunku ogrodu. Wiśnicki wspominał o pogrzebie w gangsterskim stylu gdzieś za brzozami. Maks rozglądał się gorączkowo w poszukiwaniu drzew z jasną korą. Podbiegł najpierw do najbliższej brzozy, za którą jednakże nie znalazł niczego, co wskazywałoby na działania grabarskie. Zagłębił się w ogród i po chwili dotarł do kolejnych brzoź, koło których widać było nierówny prostokąt zrytej ziemi. To było tu. Rzucił się do rozkopywania ziemi. Ciężko dysząc i zdzierając sobie naskórek na rękach od twardego trzonka narzędzia rył i kopał w miejscu domniemanego pochówku prezesa. Ruszona z zewnątrz warstwa ziemi już po kilku centymetrach twardniała w jednolitej gliniastej konsystencji. Wystarczyło popracować kilka minut, żeby stało się jasne, że nikt nie został tu pochowany, przynajmniej w ostatnim czasie.

– Nic nie rozumiem? – jęknął Maks opadając ze zmęczeniem na trawę pod brzozami.
– On żyje?

Ostatecznie widział go na feralnym fotelu w swoim gabinecie jedynie kilka chwil. Przy odpowiedniej charakterystyce człowiek może wyglądać jak trup. Podobno są również takie chemikalia, które spowalniają akcję serca i wprowadzają człowieka niemal w stan śmierci klinicznej. Kiedyś przymierzał się do napisania krwawego kryminału i robił rozpoznanie różnych środków chemicznych oraz farmakologicznych przydatnych w uśmiercaniu, ale również w pozorowaniu śmierci, więc orientował się nieco w tym temacie. Siedział nad rozgrzebanym niby-grobem i próbował opanować chaos myśli. Komu zależało na tym zamieszaniu? Po co się ktoś męczył, pozorował śmierć i wszystkie te dziwne wydarzenia, żeby ostatecznie okazało się to hucpą? Maks dumiał pod szumiącymi brzozami z miną, która wyrażała bezbrzeżną niemoc intelektualną wobec zaistniałych wydarzeń. Pytanie o autora tego zamieszania dobijało się coraz mocniej do świadomości Maksa. Kto to zrobił i po co? Brzozy szumiały nad nim delikatną wietrzną nutą, co rusz posypując literata żółtymi liśćmi. Gdyby jeszcze po ogrodzie pałętał się morderczy stulatek, to może byłaby szansa na uzyskanie jakichkolwiek wyjaśnień. Jednak nie dalej jak trzy godziny temu Maks znalazł kartkę z podziękowaniami i zapowiedzią rychłego, acz spokojnego zgonu umęczonego życiem starca.

– Kim pan jest? – Z zadumy wyrwało go ostro brzmiące pytanie. Za brzoźami stał człowiek w stroju przypominającym mundur, choć bez jakichkolwiek dystynkcji. Jego postawa przekazywała jasno, że ma się na baczności i zamyślony człowiek ze szpadlem w dłoni nie wzbudza jego zaufania, a wręcz odwrotnie.

– Jestem tu prezesem – odparł Maks, który przyzwyczaił się na tym terenie tak przedstawiać. – A pan?

– Jakim znowu prezesem? – przybysz nerwowo zareagował na zaprezentowaną godność rozmówcy.

– No, tutaj, fundacji, tej pomagającej ludziom – dorzucił Maks wskazując na budynek i jednocześnie oblewając rumieńcem, że zapomniał pełnej nazwy organizacji, którą kieruje.

– A, to pan jesteś prowodyrem tych oszustów – warknął jegomość. – Fora ze dwóra, ale już! Nie płacą ani grosza od trzech miesięcy i do tego trawnik rozgrzebują. Jeszcze raz cię tu zobaczę i tych twoich koleżków, to inaczej pogadamy! A pismo do sądu już poszło. Będziecie płacić wszystkie zaległości z odsetkami. Cholerni oszuści. Pan Wiśnicki nie po to oddaje w użytkowanie innym swoją reprezentacyjną siedzibę, żeby nie mieć z tego ani grosza.

– Wiśnicki. Przecież ja go znam, mieszka tu w ogrodzie – rozpromienił się Maks. – Biedny, choć sympatyczny dziadzio. Trochę narozrabiał w swoim życiu. Pomogłem mu się przeprosić z zamordowana żoną. Wie pan, tą, co to tutaj orgie seksualne przed wojną urządziła. On z pewnością nie ma do mnie pretensji. Tym bardziej, że nie dalej jak pięć godzin temu zapowiedział swoją spokojną śmierć. Panie, kto w ostatniej godzinie życia o zaległym czynszu myśli? Mam tu nawet gdzieś jego list pożegnalny.

Literat zaczął grzebać po kieszeniach szukając ostatniej wiadomości od staruszka, ale nijak nie mógł się natknąć na wymięta kartkę. Być może zostawił ją w gabinecie. Przybysz milczał, wpijając w Maksa podejrzliwe spojrzenie.

– Dobra, idź pan już – rzucił już nieco mniej nerwowo, najwyraźniej sądząc, że ma do czynienia z wariatem i tylko spokojem może na niego wpłynąć.

– Pewnie, że pójde. Szukałem tu grobu prezesa, znaczy nie siebie, tylko innego prezesa, tego od wydawnictwa, ale to był blef. Chcieli mnie zmylić. W rzeczywistości on żyje. Mam odnieść ten szpadel, czy sam go pan dasz do komórki? – wskazał na narzędzie do kopania, po czym widząc minę mężczyzny sam sobie odpowiedział: – Dobra, już idę.

Wrzucił narzędzia do pomieszczenia i udał się w kierunku ulicy odprowadzony baczny spojrzeniem stróża. *Kto to był i kto go nastal* – Maks nie miał pojęcia co sądzić o wyganiającym go dozorczy, jednak w chaosie ostatnich wydarzeń tego typu rewelacje nie zajmowały go wcale.

Pobiegł przez miasto do domu. Po kilkudziesięciu minutach pospiesznego marszu przetykanego truchtem był zziąjany i spocony. Jeżeli dodać do tego nieogoloną szczękę, potargane włosy, wymięte ubranie oraz mętny wzrok, nie należy się dziwić, że jego widok ściągał spojrzenia przechodniów, a na końcu drogi również sąsiadów.

– O patrz stara, leci jak wariat. Naczyta się taki Dostojewskich, Słowackich i spokoju potem nie ma – skomentował w kierunku żony pojawienie się Maksa pod blokiem sąsiad z góry, czujnie obserwujący całymi dniami każdy ruch pod budynkiem. Po chwili

dostrzegłszy szczegóły wyglądu nadbiegającego pisarza, dorzucił: – Dziś to nawet naprawdę wygląda jak pomylenieć.

Maks pobiegł w górę po dwa schody. Trzęsącymi się ze zdenerwowania rękoma przekreślił klucz w zamku. Mieszkanie ziało pustką. Nawet pobieżne oględziny lokalu dawały jasno do zrozumienia, że Agata i Basia się stąd wyprowadziły. Zniknęło kilka przedmiotów codziennego użytku oraz ulubione lalki Basi. Podczas jego ostatniej bytności w mieszkaniu jeszcze je widział na regale. Zostały zabrane już po uwolnieniu żony i córki z tajnej piwnicy Wiśnickiego. A więc odeszły naprawdę! Maks po kilku minutach gorączkowej krzątaniny usiadł na tapczanie i zapatrzył w ścianę naprzeciwko. Ponure myśli o samotności i stracie towarzyszyły mu już od kilkunastu godzin. Teraz doszedł do nich nowy element – obawa o los najbliższych. Pomyślał, że niezależnie od tego, czy Agata z nim będzie, musi je znaleźć i upewnić się, że nic im nie grozi. Być może zabójstwo prezesa i inne dziwne wydarzenia z ostatnich dni były sfinansowane, jednak one naprawdę były uwięzione. I wszelkie wydarzenia, pomimo swojej absurdalności, były rzeczywiste. Niestety telefon Agaty uparcie informował, że abonent jest nieosiągalny. Przez chwilę miotał się po mieszkaniu zastanawiając nad dalszym tokiem postępowania. W końcu z trzaskiem drzwi wypadł na klatkę schodową i popędził do wydawnictwa.

– O, znowu leci – mruknął baczny obserwator podwórkowej rzeczywistości z wyższej kondygnacji. – Naczyta się taki Gombrowiczów i Dziadów, a potem w miejscu usiedzieć nie umie.

Przez szklane drzwi siedziby Wydawnictwa Z1 w ciągu kilku lat jej istnienia przeszło wielu sfrustrowanych oraz smutnych lub odwrotnie, uradowanych akceptacją tekstu adeptów sztuki pisarskiej. Jednak Maks, zwany w tym przybytku przez jakiś czas mistrzem, przebijał ich wszystkich razem wziętych. Za każdym jego pojawieniem się tu, towarzyszące mu emocje zdawały się sięgać zenitu. Od ponurej rezygnacji podczas starań o wydanie powieści, poprzez niepewność i entuzjazm działań jako mistrz i prezes fundacji, po dzisiejszą wściekłość i strach o losy najbliższych. Wpadł na znajomy korytarz niczym burza i przemierzył go szybkim krokiem ku drzwiom gabinetu prezesa. Jak już wspomniano nie dało się ich przeoczyć. Lekko większe i solidniejsze niż pozostałe w biurze, jasno dawały znak, że za nimi znajduje się ktoś najważniejszy w wydawnictwie. Maks przystanął przed nimi równając oddech oraz próbując uporządkować myśli i słowa, którymi wyrazi wszystko, co go trapi. Proces ten nie szedł mu zbyt dobrze. Emocje okazały się zbyt silne, żeby tak po prostu skupić się w kilka sekund i opakować je w zgrabne zdania. Dodatkowo, gdzieś w tle panującego w jego głowie chaosu przebijały pojedyncze światełka rozsądku. A ten ostrzegał go, że ponownym kontaktem z tymi ludźmi kusi los i ostatecznie może pożegnać się z życiem. Jednak z drugiej strony miał poczucie, że poddanie się bez próby załatwienia czegokolwiek będzie jego końcem. Po prostu okaże się tchórzem i dekonikiem, który zasługuje co najwyżej, żeby przeżyć dane sobie życie w jednym kawałku, ale na nic więcej. Przez taflę drzwi przebijały odgłosy kłótni, a konkretnie gniewnego monologu. Maks nie był w stanie wyłowić ani jednego słowa, jednak po tonie dało się wyczuć, iż ktoś tam jest niezłe wkurzony. Nacisnął klamkę. Spodziewał się znajomego widoku prezesa besztającego pracownika za prawdziwe lub domniemane uchybienia, być może

pana Czesia lub Romana. Mylił się. W gabinecie urzędował ktoś inny. Niski mężczyzna oparty o blat biurka rozmawiał przez telefon. Maks stanął w uchylonych drzwiach z zaskoczeniem słuchając rozjuszonego jegomościa, który dawał upust swoim emocjom... po hiszpańsku. Dobrze skrojony garnitur, śniada cera, czarne włosy zaczesane do tyłu na brylantynę, a pod nosem szpiczaste wąsiki ruszające się w takt latynoskich przekleństw jak u żuka. Człowiek spostrzegł kątem oka intruza, podszedł do niego żwawym krokiem i nie przerywając telefonicznego monologu wypchnął Maksa wolną ręką na korytarz. A ten był zbyt zaskoczony, żeby zaoponować lub cokolwiek wyjaśnić. Zresztą Latynos nie dał mu na to najmniejszej szansy, zasypując telefonicznego rozmówcę oraz przypadkowego gościa setkami słów na minutę. Po zatrzaśnięciu drzwi hiszpańska tyrada ponownie stała się stłumioną, bezładną plątaniną obcojęzycznych głosek. Maks stał przez dłuższą chwilę zbyt zdumiony, żeby cokolwiek przedsięwziąć, następnie zauważył przyklepioną na ścianie obok wejścia do gabinetu kartkę z pospiesznie nagryzmołonym napisem *Manuel Borca del San Estrada – prezes*. Tak, ten trajkoczący jegomość jak najbardziej wyglądał na swoje imiona i nazwiska.

– Pan Maksymilian? – Maks usłyszał cichy głos. Odwrócił się i zobaczył panią Jadwigę. Zdumienie spowodowane tym faktem ocierało się o przerażenie wywołane obcowaniem z duchami osób zmarłych. Należy przy tym pamiętać, że było to już tego dnia drugie spotkanie z domniemanym przybyszem z zaświatów, więc standardowy limit kontaktów pozaziemskich został znacznie przekroczony. Zresztą i ona wyglądała tak, jakby spodziewała się tu spotkać każdego, tylko nie jego.

– Pani Jadwiga? – Maks zrobił krok w tył, potem jeszcze jeden. Następnie poczuł, że plecy przylgnęły do ściany. Nie mógł się więcej cofać, a jedyna droga ucieczki wiodła w kierunku kobiety. Dodatkowo ta postąpiła krok w jego stronę. W odróżnieniu od żony Wiśnickiego pani Jadwiga zarówno wyglądała, jak i poruszała się w sposób iście ludzki.

– Cieszę się, że panu nic panu ta szajka nie zrobiła – odezwała się pani redaktor. – Mam nadzieję, że to koniec naszych kłopotów.

– Dla pani z pewnością... – Maks zawahał się, bo nie wiedział za bardzo jak rozmawiać ze zmarłą o jej śmierci. Po chwili milczenia dodał: – Mam nadzieję, że panią nie bolało. Szybkie skręcenie karku i już... Jak tam jest? Widziała pani tunel? Był sąd nad duszą? A może galaretowata nicość?

– O czym pan mówi? – zdziwiła się pani Jadwiga.

– O pani śmierci – odrzekł niepewnym tonem Maks. – Przecież pani nie żyje. Jadwiga roześmiała się, jakby usłyszał przedni żart.

– Coś się panu pomyliło. Kto tak mówił? – zdziwiła się.

Maks już chciał odpowiedzieć, ale przypomniał sobie, że źródłem tej sensacji był pan Roman, a więc osoba niegodna jakiegokolwiek zaufania. A więc to był blef, kolejna bajeczka obliczona na to, żeby go przestraszyć i *zmiękczyć*. Maks zagryzł wargi chcąc jakoś ukryć ogarniający go wstyd z faktu, że tak naprawdę pełnił jedynie rolę pionka w całej dotychczasowej grze, a nie głównego rozgrywającego, jak sobie nieraz wcześniej roił. Szybko zmienił temat.

– A ten tam – wskazał na duże drzwi do gabinetu prezesa. – To...

– Tak, nasz prawdziwy prezes. Ponoć ktoś na lotnisku w Wenezueli ukradł mu pieniądze, paszport z wizą i w ogóle uniemożliwił przyjazd do Polski na kilkanaście tygodni. Ale teraz już jest. Z policją przyszedł. I on, i niebiescy rozpytywali wszystkich o tego niby-prezesa i jego Czesia, bo to ponoć jakieś straszne zbiry.

– A pan Roman? – dopytywał się Maks.

– Podkulił ogon, schował się w swojej dziupli i udaje, że cały czas był tylko prostym specjalistą od marketingu. Generalnie nic nie pamięta... jak i wszyscy w firmie – tłumaczyła pani Jadwiga.

– Czyli z panią wszystko dobrze. To super, naprawdę super – upewniał się Maks, osuwając się z sytuacją poprzez powtarzanie. Po chwili milczenia zapytał: – A ja?

– Co pan? – zdziwiła się panie Jadwiga.

– Co z moją książką? Od wczoraj wszyscy mi wmawiają, że jest beznadziejna, a ta cała historia z mistrzem i jego wielkim przesłaniem to hucpa. Pani pierwsza ją czytała, dzięki pani się tutaj znalazłem. Proszę mi powiedzieć, ale tak w pełni szczerze. Czy książka o Maxie z Nowego Jorku jest coś warta?

Na korytarzu wydawnictwa zapadło długie milczenie. W końcu Maks usłyszał wyrok:

– Nie. Jest słaba.

To wystarczyło. Pękła ostatnia nić z opakowania trzymającego jego dotychczasowe życie w całości. Nikt na świecie już go nie wspierał, ani nie potrzebował. Maks pokiwał smutno głową i bez słowa udał się w kierunku szklanych drzwi, ponownie zasilając to miejsce aurą skrajnych emocji – tym razem zwątpienia. Gdyby się wtedy odwrócił i spojrzął w twarz pani Jadwigi, dostrzegłby łzy w jej oczach. Wyglądała zupełnie jak matka, która dla dobra dziecka musi mu coś odebrać lub skłamać. I pomimo, że serce jej pęka, to wie, że wybrała jedyną drogę, aby wydostać ukochaną latorośl z tarapatów. Jednak Maks się nie odwrócił. Minął szklane drzwi, za nimi westchnął ciężko, być może przypominając sobie, że jest to standardowe miejsce jego pogawędek z Bogiem. Następnie bez jakichkolwiek słów ani myśli, zszedł wolnym krokiem po schodach.



Pracownik cmentarza komunalnego na wyspie Hart Island, należącej administracyjnie do dzielnicy Bronx w Nowym Jorku, jak co dzień przyjął przesyłkę z kostnicy Bellevue Hospital. Tym razem jedynie pięć ciał. Zdarzały się dni, że transporter był pełen zwłok ludzi bezdomnych lub ogołoconych z majątku ofiar kryzysów na Wall Street, czy też przeciętnych mieszkańców tego miasta z amerykańskiego snu, którzy nie przygotowali się zawczasu finansowo na starość i zmarli w biedzie tak wielkiej, że nawet trumnę fundowało im miasto. Słowo „trumna” było sporym nadużyciem w stosunku do stosowanego tu prostego, drewnianego pudła, którego jedynym zadaniem było pomieścić ciało opisane małym formularzem z imieniem, nazwiskiem oraz podstawowymi informacjami, o ile te były znane. Zresztą podobnie miała się sprawa z określeniami „grób” i „pogrzeb” – wszystko na cmentarzu Hart Island było pospieszną i byle jaką imitacją prawdziwych ceremonii pożegnania zmarłych, za których organizację zapłacił ktoś prywatnie. Pracownik ułożył trumny według planowanej kolejności pochówku i właśnie miał udać się po grabarski wózek, kiedy w drzwiach budynku ukazała się kobieta, mężczyzna i dziewczynka. Kobieta widząc, w jakim miejscu się znaleźli, natychmiast chwyciła dziecko za rękę i niemal siłą wyciągnęła na zewnątrz. Mężczyzna zbliżył się szybkim krokiem do grabarza.

– Szukamy ciała – podał imię i nazwisko Maxa. – Jesteśmy z rodziny, ale nie zdążyliśmy załatwić formalności w szpitalu.

Grabarz przeszedł się wzdłuż przygotowanych trumien odcyfrowując dane i rzeczywiście znalazł Maxa. Bardzo rzadko czytał jakieś nazwiska, daty, czy inne notatki o zmarłych na tych urzędowych karteluzkach. Dla niego sztuka była sztuką. Nie zaprzętał sobie głowy wspominkami po obcych umarlakach. Już miał przekazać tym natrętom jak się zgodnie z prawem sprawy mają. Do kogo powinni byli się zwrócić, a co należy do jego zakresu obowiązków ze szczególnym naciskiem na te obszary, które leżą poza jego kompetencjami, lecz kilka banknotów z wizerunkami ojców narodu amerykańskiego ukróciło te zapędy. Grabarz w jednej chwili zmienił zdanie i wnet poprowadził mały kondukt pogrzebowy w kierunku świeżo wykopanej kwatery. Co prawda stara jeszcze nie była pełna, ale nie pokaże przecież rodzinie, że ich bliski łąduje w masowym grobie, całkiem podobnym do tych pokazywanych na filmach z egzekucji w czasie wojny. Zapłacili, więc on da im najlepsze, na co stać grabarza z Hart Island. Poza tym dziewczynka i kobieta wydawały się być przejęte stratą tego Maxa, więc uznał, że trochę się postara.

Maks po wielu godzinach wałęsania się po mieście opadł całkowicie z sił. Tych fizycznych również, ale przede wszystkim stracił ducha. Agata i Basia były telefonicznie nieosiągalne. W pracy ani w szkole nikt ich od dwóch dni nie widział. Co prawda informacje te nie wyglądały na w pełni potwierdzone, ponieważ wygląd pytającego o rodzinę Maksa nie zachęcał spotkanych ludzi do specjalnej wylewności. Kto by chciał z

własnej woli pomóc wymiętemu i nieogolonemu mężczyźnie o oczach płonących wariackim ogniem? W końcu zabrakło mu pomysłów dokąd powinien się udać. Okazało się, że we współczesnym świecie przy pewnej dozie samozaparciu można przepaść jak kamień w wodę jak niegdyś, przed epoką telefonów komórkowych i ogarniających każdą dziedzinę życia macek globalnej wioski. Powłócząc nogami, z trudem zbierając myśli, eks-mistrz przemierzał ulice swojego miasta. W końcu tam doszedł. Niewielka knajpa, zapamiętana z odległych, niemal prehistorycznych czasów, czyli lokal, w którym opijał swoją pierwszą i, jak się okazało, ostatnią wypłatę w fabryce. Innymi słowy miejsce sprawdzone, a do tego niezbyt drogie. Miał trochę gotówki przy sobie i postanowił zamienić ją na chwilę alkoholowego zapomnienia. Był tak zmęczony, że na skutki działania napitków nie trzeba było długo czekać. Świat wkoło falował, a kształty i głosy rozmywały się w sposób nienaturalny. Maks siedział gapiąc się w punkt i rozpamiętując wszystkie swoje porażki. Przy stolikach wkoło rozmawiali ludzie, gdzieś w tle z głośniejszą syczała się leniwie muzyka.

– Oj, Maksymilianie, Maksymilianie – westchnął ciężko ktoś siedzący po drugiej stronie stołu. Maks nie zauważył, żeby się do niego ktokolwiek przysiadł. Ale nie pamiętał również, w jaki sposób na jego stoliku pojawiały się kolejne porcje alkoholu, więc niespodziewany kompan nie wydawał mu się niczym niezwykłym. Pijany pisarz próbował skupić wzrok na twarzy towarzysza lub towarzyszki, ale ostrość widzenia wciąż się rozregulowywała. Jedyнным pewnikiem był uśmiech – lekko kpiący, ale i pełen sympatii do pogubionego w swoim życiu mistrza.

– Znamy się, bo se nie przypominam, żeby... – Maks urwał, ponieważ coś jednak mu zaświtało. Scena w tym samym lokalu i podobnie się rozpoczynająca. Nie mógł nijak dogrzebać się w otchłani pamięci jej zakończenia. A może wcale go nie było i dopiero teraz się wszystko dopełni? Wszystko, czyli co? Gdyby był trzeźwy, może by wymyślił coś sensownego. Ale jak wspomniano, obraz pomieszczenia wkoło wirował w jego oczach i głowie, więc również tajemniczy gość jawił się bardziej jako efekt nadużycia wódki oraz literackiej wyobraźni.

– Znamy, znamy... – potwierdził przybysz. – A ty znowu niezadowolony. Czy ja naprawdę muszę nad wami wszystkimi ciągle czuwać. Ani chwili spokoju.

Uśmiech przybyłego nieco zelżał, choć najwyraźniej żadne ziemskie problemy nie były w stanie zdmuchnąć go zupełnie.

– Kurna, Czesio, to ty? – Ten uśmiech wydawał się znajomy. Maksowi przez sekundę wydawało się, że kolega z fundacji go znalazł. Jednak po kolejnej nieudanej próbie rozpoznania twarzy machnął ręką z rezygnacją. – E, nie. To raczej nie ty.

Po tych słowach przysnął oparty na rękach. Rozmówca westchnął ponownie. Potem zniknął, choć tak naprawdę oprócz Maksa nikt z barowych gości go nie zauważył. Już po chwili pijany pisarz został wypchnięty na zewnątrz podtrzymywany pomocnym ramieniem kelnera. Wszelkie knajpy świata cenią sobie pijących na umór i słono płacących za to klientów, jak również natychmiast obsługa przestają być dla nich miła, gdy *dobry klient* upije się i zacznie awanturować lub przyśnić.

– Dobranoc – warknął kelner i zatrzasnął drzwi. Maks rozglądnął się z ciekawością po otaczającej go ciemności. Poczłł nagle, jakby coś się skończyło. Tak, tutaj się to zaczęło, więc nie ma lepszego miejsca na koniec. Nie za bardzo umiał przekuć to

odczucie w konkretne słowa. Po prostu *koniec i szlus*. Zataczając się podszedł do kwiatowego klombu i zwymiotował wszystko, co tak chętnie w siebie wlewał przez ostatnie godziny. Świadkiem tej sceny podobnie jak kilka miesięcy wcześniej była emerytowana nauczycielka Emila Dobraczewska.

Ohyda – pomyślała, obserwując odstręczającego pijaczka. Jej mały piesek na trzęsących się nóżkach również przybrał wyraz pyska obrazujący najwyższy poziom oburzenia na zanieczyszczanie przez tego człowieka obszaru zieleni, który był zarezerwowany dla załatwiania potrzeb fizjologicznych psów i kotów. Maks skończył, otarł rękawem usta powodując kolejny spazm obrzydzenia u pani Emilii. Podniósł głowę i zauważył, że nie był sam w tak intymnej chwili.

– O, pani profesor! – zakrzyknął, poznając swoją ulubioną nauczycielkę. Pani Emila zastygła w przerażeniu wynikającym z faktu, że zaczepia ją zarzygany menel. Maks kontynuował: – Pani też jest winna temu, co mnie spotkało! Trzeba było powiedzieć wtedy, w liceum, że literatura to jedno wielkie gówno, a nie coś wielkiego. Przemiana Gustawa w Konrada, Kordian na Mont Blanc albo na Judahu skale – wszystko pic na wodę. Nauczyć pracy na tokarce albo suwnicy, książki spalić albo przerobić na papier toaletowy, może wtedy byłoby łatwiej...

Po chwili dodał pod nosem:

– Chociaż nie sędzę.

Odwrócił się i zataczając oddalił w kierunku swojego osiedla. Pani Emilia dłuższą chwilę zastanawiała się, czy to aby nie był Maksymilian, jeden z jej ulubieńców i zdolniejszych uczniów z okresu, kiedy uczyła. Jednak ostatecznie zarzuciła tę myśl. Przecież to niemożliwe, żeby taki zdolny chłopak aż tak się stoczył.



Agata z Basią wróciły do Maksa dwa tygodnie później, a licząc próbami kontaktu, po stu osiemdziesięciu nieodebranych telefonach od Maksa. Agata sucho wyliczyła, że w kilkunastotygodniowym okresie przesowania Maksa mniej więcej tyle razy nie mogła się do niego dodzwonić, więc i on nie powinien wymagać, żeby inni mieli zawsze czas na pogaduchy z niewiernym mężem. Nie dowiedział się również, gdzie w tym czasie przebywały i co robiły. To pozostało pilnie strzeżoną tajemnicą. Wszelkie pytania, aluzje i domysły były ucinane przez Agatę krótko. Postanowiła ona sprawę jasno – wróciły, bo go kochają, ale nie zapomniały tego, co zrobił i długo jeszcze nie zapomną. Przynajmniej ona. Dlatego Maks nie ma prawa zbyt dużo wymagać. Generalnie do niczego nie ma prawa. Są na razie z nim i niech męska, zdradziecka świnia się cieszy, że nie zdycha pod płotem w samotności, a wszystko inne jest niezasłużonym darem od losu. Basia coś wspomniała o pięknych hotelach, basenach i palmach, ale i ona nie dała się namówić na żadne konkretne zwierzenia. Maks czuł w tym kobiecą znowę milczenia, lecz niewiele mógł zdziałać. Tym bardziej, że podzielał pogląd Agaty, iż powinien czuć się szczęściarzem, że nie został sam. Sądził tak przynajmniej przez kilka pierwszych dni od ich powrotu. Po tym okresie naszły go myśli, typowe dla selektywnej pamięci o własnych złych uczynkach, że nie były one jednak aż tak podle i dotykająca go kara jest nieco zbyt surowa. Potwierdzeniem koncepcji pobytu w luksusowym hotelu zagranicą był stan konta, dość niski w porównaniu z wyobrażeniami Maksa o swoim stanie posiadania. W tej dziedzinie nie był jednakże pewien, czym dysponował wcześniej. Wpłaty ze strony wydawnictwa przychodziły nieregularnie, a Agata miała nieograniczony dostęp do wspólnych pieniędzy. Jednocześnie Maks nie przykładał nigdy wielkiej wagi do finansów. Zachwycał go sam fakt wpłat, jako wyraz uznania dla jego mistrzowskiej twórczości, ale strona buchalteryjna nie interesowała wcale, dlatego nie był w stanie niczego udowodnić ani zakwestionować. Zresztą kłopoty finansowe dopiero miały się zacząć. W ciągu kilku tygodni od powrotu Agaty i Basi do Maksa okazało się, że fundacja *Zmień swoje życie* nie uregulowała zobowiązań podatkowych oraz nie zapłaciła za szereg różnych usług. Co ciekawe, nie zapłaciła również za wynajem willi, lecz pomimo buńczucznych zapowiedzi człowieka w mundurze nad domniemanym grobem prezesa, z tej strony nikt nie zgłosił roszczeń. Maks pamiętał, że posiadłość należała najprawdopodobniej do Wiśnickiego i kilkukrotnie próbował do niego dotrzeć, aby upewnić się, czy ze staruszką wszystko w porządku. Jednak od ostatniej nocy w siedzibie fundacji leciwy bogacz stał się nieosiągalny. W pośredniczącym w transakcjach biurze nieruchomości nikt nie umiał udzielić informacji, gdzie można go odszukać. Stawało się coraz bardziej oczywiste, że zapowiedź zakończenia życia nie była jedynie czczą przechwałką starego mordercy. Jako przysłowiowy *gwóźdź do trumny* dla finansów pisarza przyszło listem poleconym zawiadomienie, że w sądzie zgłoszono roszczenie z powództwa cywilnego wobec fundacji, a pokrzywdzonym okazał się ktoś o znajomym nazwisku Magura. Innymi słowy Maks przechodził przyspieszony kurs księgowości, prawa podatkowego, jak

również przepisów regulujących działalność fundacji oraz innych organizacji pożytku społecznego. Przy okazji tego szkolenia okazało się, że pan Roman został mianowany wiceprezesem tylko tytułarnie, natomiast w rejestrze sądowym jako członek zarządu widniał jedynie Maks, więc wszyscy wierzyciele z urzędu bezbłędnie wiedzieli, dokąd uderzyć w poszukiwaniu utraconych pieniędzy, jak również na kim rozładować nagromadzone złe emocje. Dla Maksa nastały ciężkie czasy.

Po upływie kolejnych kilkunastu tygodni zebrany z wypłat wydawnictwa kapitał stopniał całkowicie. Zaległe podatki z odsetkami, nieopłacone zobowiązania, a w końcu ugoda z Magurami kosztowały go dokładnie dwieście piętnaście tysięcy osiemset jedenaście złotych i dwadzieścia dwa grosze, natomiast jego stan konta opiewał na początku procesu zaspokajania wierzycieli na dwieście piętnaście tysięcy osiemset jedenaście tysięcy i dwadzieścia trzy grosze. Innymi słowy, po wszystkim został z groszem na koncie.

– No i się skończyło – mruknął patrząc na wyciąg z banku. Miał nadzieję, że jest to prawdziwe stwierdzenie i nie przyjdzie za chwilę żaden kolejny wierzyciel lub pokrzywdzony przez fundację wielbiciel eks-mistrza, bo wtedy wylądowałby *pod kreską*. Jednak wyglądało na to, że ciąg wydatków urwał się w tajemniczy sposób dokładnie w momencie, kiedy zostały skonsumowane pieniądze zarobione na żółtej księdze o Maxie z Nowego Jorku. Zakrawało to na planowe działanie. Dać nauczkę nadętemu pisarzynie, obłupić z pieniędzy i zostawić z jednym jedynym groszem oraz nadzieją na dalsze, szczęśliwsze dni.

– Boże, czy to twoja sprawka? – Maks rozglądnął się znad ekranu komputera z widocznym wyciągiem bankowym, szukając wkoło jakiegoś znaku działania sił nadprzyrodzonych. Nawet nie zdawał sobie sprawy jak bardzo jest w tym podobny do ludzi pierwotnych lub do mieszkańców średniowiecznej Europy, którzy wszędzie wkoło widzieli walkę dobrych i złych sił, jak również desperacko usiłowali przeciwną wszelkie pozaziemskie moce na swoją stronę. – Co dalej?

– Myślę Maks, że to dobry moment, żeby zacząć wszystko od początku – Agata patrzyła mu przez ramię na groszowe saldo. Nie usłyszał, kiedy weszła do pokoju i zbliżyła się do niego. – Jest teraz tak, jak było przed tą ostatnią książką. Tylko my staliśmy się bogatsi o doświadczenia. Mam nadzieję, że chociaż właściwe wnioski wyciągniemy.

Maks kiwnął potwierdzająco głową. Przyznał jej rację. Powieść o Maxie z Nowego Jorku stała się zamkniętym rozdziałem ich wspólnej egzystencji. Zrozumiał przy tym, że przez całe dotychczasowe życie fałszywie oceniał wszystko i wszystkich wkoło. Kurczowo trzymając się swojej koncepcji stania się kimś wymyślonym w czasach młodości, nadawał osobom i wydarzeniom wyobrażone przez siebie cechy i właściwości, zamiast przyjąć ich po prostu jakimi byli. A przecież oni żyli z nim i dla niego dobrowolnie, z miłości. Tego nie wolno, ot tak, wyobrazić sobie i opisać inaczej, bo można zniszczyć wszelkie dobre intencje. Zniszczyć sobie i innym życie.

– No i trzeba by się pogodzić ze Staszkiem – dopowiedziała Agata.

Maks zeszytniał na te słowa. Przypomniał sobie skrzepowanego przyjaciela z raną na policzku, który wpatruje się z przerażeniem oraz niedowierzaniem, że jego stary druh Maksy mógł mu zrobić coś takiego. *Żonajebcom i oszustom należy się szczególnie długie*

cierpienie – tak wtedy powiedział do Staszka i, co najgorsze, wierzył w swoje słowa. A co należy się *kumplozdrajcom i pisarzynom o zwichrowanym umyśle*? Pewnie dożywotnia pogarda i odosobnienie. Staszek siedząc przywiązany do fotela i obserwując, co zamierza jego kolega, krzyczał przerażony, że literatura zrobiła z mózgu Maksa siano. I ten bezrozumnie poddał się wykreowanym przez samego siebie emocjom. Przyjaciel miał rację, a Maks wiedział, że postąpił wtedy podle. Staszek ma prawo odciąć się od niego zupełnie, a już na pewno na długie lata.



W następnych tygodniach sytuacja wróciła do normy z okresu sprzed okresu pisania powieści o Maxie z Nowego Jorku, wyłączając twórczość. Agata i Basia jasno i kategorycznie dały do zrozumienia, że nie ma powrotu do starego układu. Warunkiem koniecznym wspólnej egzystencji ich rodziny była rezygnacja ze stylu życia, jaki wiódł wcześniej. Maks miał być z nimi *tu i teraz*, zarabiając na chleb, rozmawiając o błahych, codziennych sprawach, poprawiając błędy w wypracowaniach Basi, czy chodząc razem na spacer. W zakresie *tu i teraz* znajdowała się również praca w jakimś *normalnym* miejscu, gdzie wykonuje się przyziemne czynności, które nie zadowolilyby w najmniejszym stopniu wymagań żadnej ze starożytnych muz, opiekujących się literaturą. Natomiast dawałyby comiesięczny, pewny dochód i tym samym dodatkowe wsparcie finansowe dla rodziny. Maks szukał takiej posady, usiłując jednocześnie znaleźć zajęcie, w którym okresy wytężonej pracy przetykane byłyby czasem dla siebie, czyli przeznaczone na pisanie po spełnieniu wymagań domowników. Z przerażeniem stwierdził jednak, że coś takiego nie istnieje. Po kilku rozmowach kwalifikacyjnych zrozumiał, że praca z jego kwalifikacjami polegałaby na ciągłej harówce w jednym z biur lub fabryk ich miasta. I to tylko w przypadku, jeżeli miałby szczęście i ktoś przyjąłby prezentowane w CV wykształcenie uniwersyteckie jako wystarczającą podstawę do dalszych szkoleń zawodowych.

Maks powoli godził się z myślą, że musi się poddać surowym wymaganiom życia, kiedy pewnego popołudnia ktoś zapukał do drzwi. A konkretniej do nich załomotał. Maks spojrzął przez judasza i zobaczył po drugiej stronie nieznanego człowieka. Obraz przybyłego, zniekształcony przez optykę zamontowanego szkła, nic mu nie mówił. Widział go z pewnością pierwszy raz w życiu. Tamten musiał się domyśleć lub usłyszeć, że po drugiej stronie stoi obserwator, bo nachylił się do wizjera, stając się w tej pozycji groteskowo wielki i optycznie jeszcze bardziej pogięty dla lustrującego go Maksa. Można było wręcz zajrzeć do ust stojącego na klatce schodowej. Po kilku sekundach gość huknął donośnym głosem, wymachując przy tym plikiem kartek trzymany w ręce:

– Nazywam się Kazimierz Mordega. Ja do pana Maksymiliana. W sprawie służbowej.

Podsunał papiery pod wizjer. Zaczajony eks-pisarz z przerażeniem rozpoznał swój żółty wydruk powieści o Maxie. Czyżby jeszcze jeden zawiedziony wyznawca Maxa albo, nie daj Boże, niespłacony wierzyciel? A może wielbiciel książki, który spóźnił się na okres świetności fundacji *Zmień swoje życie* i pragnął teraz dotrzeć do autora w inny sposób? Ta ostatnia myśl nieświadomie podlechała ego Maksa, tak mocno nadwyreżone przez ostatnie wydarzenia. Przesunął zasuwę zamka i stanął przed gościem w progu.

– Dzień dobry – burknął.

– Pan Maksymilian? – upewniał się przybyły. Maks potwierdził. – Mordega, miło mi. Ja w sprawie pańskiej literatury. Można wejść?

Wszedł nie czekając na formalne potwierdzenie. Z pokoju obok wychyła Agata patrząc pytająco to na przybyłego, to na swojego męża.

– Tak, bo właśnie pan Mordęga... – zaczął tłumaczyć Maks, nie wiedząc właściwie, co ma powiedzieć.

– Pańska książka, tak? – wszedł mu w słowo Mordęga, podsuwając pod nos wydruk z żółtą kartą tytułową. Maks potwierdził. – To ja mam propozycję z nią związaną. Możemy pogadać?

– Maksymilian już nie pisze – Agata włączyła się do dyskusji, widząc, że wypracowany w ostatnich tygodniach rodzinny kompromis może w kilka minut zostać zniszczony przez to nieoczekiwane najście.

– Fatalnie! – ryknął pan Kazimierz. – Szkoda straszliwa. To prawda, panie Maksie?

Zapytany mruknął coś pomiędzy *tak*, *nie*, a *nie wiem*. Mordęga wyczuł wahanie, jak również napięcie panujące pomiędzy małżonkami w temacie *pisarstwo i literatura*.

– To ja przedstawię tylko swoją propozycję, a państwo – uklonił się w stronę Agaty, czując, kogo będzie musiał przekonać w tym tandemie – dopiero wtedy odmówią. Czy można?

– No proszę – westchnęła Agata wpuszczając go do stołowego. Po chwili usiedli na kanapie, a Mordęga położył plik kartek na stole.

– Dostałem to od... Nieważne od kogo. Przeczytałem – zaczął bez ogródek.

– I jak? Podobało się – Maks rzucił się na Mordęgę jak psiak oczekujący poklepania po karku przez właściciela. Agata przewróciła oczami z dezaprobatą.

– Jest potencjał – odparł zagadkowo Mordęga.

– Maks już nie tworzy – wycedziła Agata akcentując przede wszystkim *nie*.

– To doskonale! Absolutnie nikt nie chce, żeby pan Maksymilian cokolwiek tworzył – ucieszył się gość. Zapadła chwila ciszy, teraz już żadne z dwojga małżonków nie wiedziało, co myśleć o niespodziewanej wizycie.

– Ile znaków piszesz pan na godzinę? – nieoczekiwanie zapytał Mordęga.

– Jakieś trzy, może cztery tysiące dziennie – odpowiedział Maks przypominając sobie ze wstydem wielogodzinne żmudne zmagania nad krótką wypowiedzią Satrina pod łufą Maxa.

– Rany, toż to całkowita amatorszczyzna! – przeraził się Mordęga.

– Ale z wymyślaniem akcji, korektą i wszystkim wkoło – dorzucił szybko Maks, czując, że powiedział coś nie tak.

– A jak masz pan zarys, konspekt, wszystko ułożone, bohaterów i do tego korektę na zewnątrz? – ciągnął gość.

– To więcej, znacznie więcej... Ale dlaczego pan pyta? Kim pan jest? – Maks już kompletnie nie wiedział, co ma myśleć o przybyłym.

– Znacie państwo takie seriale jak *Na imię jej miłość* albo *Żli gliniarze*?

Oboje skinęli głowami. Każdy choć raz natknął się na ekranie telewizora na te tasiecowe produkcje.

– A skąd taki aktor miałby wiedzieć, co tam gadać? – dorzucił pytanie Mordęga i natychmiast na nie odpowiedział: – Ze scenariusza, oczywiście. Jestem odpowiedzialny za scenariusze do filmów, w tym wielu popularnych i poszukuję współpracowników. A pański Max z Nowego Jorku, odrzucając te filozoficzne dyrdymały i przydługawe opisy

otoczenia, to całkiem fajny kawałek akcji. Przeszkoli się i będzie z pana dobry scenarzysta.

– O, nie! – Agata skoczyła na równe nogi. – On do literatury nie wróci! Czy pan wie, co to za życie z kimś, kto wiecznie myśli tylko o swoich postaciach. On zapomniał kiedyś o urodzinach córki, bo cały dzień zastanawiał się, jak opisać kwitnące pelargonie w swoim opowiadaniu. I tak co dnia...

Maks pochylił głowę zmieszany wspomnieniem jednej ze swoich porażek w życiu rodzinnym.

– Pani Agato – przerwał jej Mordega, który znał jej imię, pomimo że się nie przedstawiła. – Bez obaw. Praca scenarzysty jest jak taśma produkcyjna: szybko i na czas. Terminy zawsze gonią i nie ma czasu na myślenie o kwiatkach. Schemat jest następujący: ja – Mordega, robię konspekt...

Zawiesił głos podkreślając swoją rolę przewodnią. Po chwili dokończył:

– Natomiast pan Maksymilian wypełnia to dialogami i pozostałymi wymaganymi opisami. Konkretnie sceny, konkretne postacie, źli mają być źli, dobrzy mają być jeszcze lepsi, bohaterowie grani przez aktorów kończących kontrakt schodzą na margines, i tak dalej. Tu nie ma miejsca na samowolkę. Jest dyscyplina i tempo, a w zamian za to kasa.

– Ile? – zapytała Agata. W oczach Mordegi załśnił blask tryumfu. Widział, że właśnie przeszli do rozmowy na innym poziomie, a negocjacje płacowe były dla niego chlebem powszednim.

Po kilku minutach drzwi za Mordegą się zamknęły. Małżonkowie zostali w ciszy sami. Maks wpatrywał się pytająco w twarz Agaty.

– I co? – spytał krótko.

Zwlekała kilka sekund z odpowiedzią. Maks zacisnął usta czując zbliżającą się odmowę.

– Jako scenarzysta mógłbyś zapewne pokierować trochę wizerunkiem jakiegoś bohatera filmu? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– No, raczej tak – odparł Maks, zdumiony kierunkiem rozmowy.

– I dopilnować z tym Mordegą, żeby ekipa filmowa niczego nie przeinaczyła? – ciągnęła Agata.

– Sądzę, że tak – Maks nadal niewiele rozumiał.

– To ja ci daję zadanie. Spełnisz je w ciągu dwóch lat, zostajesz przy pisaniu, nie spełnisz, koniec z jakimkolwiek tworzeniem tekstów.

– Co to za zadanie? – Maks przełknął nerwowo ślinę.

– Stworzysz w jednym z popularnych seriali postać matki i żony, która jest dobra, mądra i piękna, a na imię będzie miała Agata. Wtedy zostajesz. Jak Agata nie powstanie wcale albo szybko zniknie z ekranu, to i ty wylatujesz. Zrozumiano?

– Zrozumiano, mądra i piękna Agato – ucieszył się Maks i przytulił do swojej żony tak, jak tego nie zrobił od dobrych kilku miesięcy.

– Hurra! Już nas nie boli brzuch! – niespodziewanie wrzasnął dziewczęcy głosik od drzwi. Nie usłyszeli, kiedy Basia przyszła ze szkoły i ledwo ściągnawszy buty natknęła

się na swoich rodziców w dawno nieoglądanej scenie czułości między nimi. Sama niewiele myśląc rzuciła się radośnie obejmując rękoma mamę i tatę.

Po kilku godzinach sytuacja się nieco uspokoiła. Mordega przyjął telefonicznie chęć współpracy i umówił się z Makssem na następny dzień o siódmej rano, nazywając to odprawą i obiecując już przydział zadań. Wyglądało na to, że jego nazwisko dość dobrze odzwierciedla styl pracy w prężnie rozwijającej się firmie tworzącej scenariusze. Gdy tylko szczegóły kolejnego spotkania zostały zatwierdzone, Agata spojrzała na Maksa i odezwała się cichym, ale stanowczym głosem:

– Sądzę, że najwyższy czas zadzwonić do Staszka. Tym lepszy, że z tym Mordega się zdecydowaliśmy. Myślę, że warto podziękować za wsparcie. No i przeprosić za tamto – nie sprecyzowała za co, ale wiadomo było, że mówi o obłędzie ostatnich godzin w willi.

– Ty myślisz, że to Staszek? Przecież Mordega mówił, że powieść wpadła mu przypadkiem w ręce. Jakiś znajomy mu polecił, czy gdzieś znalazł – Maks bronił się jak mógł, ale w głębi ducha przyznawał rację Agacie.

– Oj, Maksy, Maksy. Jak dziecko – westchnęła Agata. – Natknął się, znalazł na ulicy, kartki sfrunęły z nieba! Nic się nie dzieje samo. Po prostu, Staszek pomimo urazy, postanowił po raz kolejny ci pomóc w potrzebie. Sam wiesz, ilu on ma znajomych w różnych kręgach.

– Wiem – potwierdził świeżo upieczony scenarzysta. Przypomniawszy mu się pan Roman z Wydawnictwa Z1 oraz nerwowy dyrektor w fabryce. Miał nadzieję, że tym razem kontakt nasłany przez Staszka mniej da się Maksowi we znaki. – Już dzwonię.

Chwycił telefon i wyszukał Staszka w krótkiej, bo jednoosobowej liście o nazwie *Bliscy znajomi*. Pomimo wszystkich złych myśli, kłótni i wydarzeń z okresu fundacji, zwlekał ze skasowaniem tego kontaktu. Miał nadzieję, że Staszek da się przeprosić. Może nie dziś, może nawet nie jutro, ale przysłanie Mordegi jawiło się jak sygnał, który mówił, że nie wszystko jeszcze zaprzepaszczone.



Pierwsza odprawa Makska jako scenarzysty przeszła rzeczowo i produktywnie. Widział już górę zadań oraz szkoleń, którą energiczny szef usypał na jego drodze. Bardzo podobał mu się zapał i zadaniowe podejście do pisania. To była dla Makska nowość – pisać ciekawie, szybko i na zadany temat. Mordęga już się prawie pożegnał, kiedy nagle się odwrócił i spojrział przenikliwie na swojego nowego współpracownika.

– Może trochę na wyrost, ale muszę zadać to pytanie.

Maks zastrzygł uszami, słysząc nutę niepewności w tonie.

– Krąży wśród starych scenarzystów legenda, że gdzieś w Polsce jest takie miejsce. Stara budowla z zaniedbanym ogrodem. I mieszka tam stary człowiek, który zabił kiedyś żonę.

Maks zeszywniał przerażony stanem wiedzy swojego nowego szefa, a ten kontynuował:

– I ta legenda mówi, że jeżeli jakiś scenarzysta, choćby i najlepszy, spotkał tego dziadka, to już przepadł. Będzie źle pisał. Wiesz pan: dłużyzny, nudne dialogi, wszędzie wpleciona sprawa polska, listopadowa szaruga, wspomnienie nieudanych powstań i tym podobne. I ja każdego nowego pytam, czy przypadkiem tego leśnego dziada kiedyś nie spotkał.

– Panie Mordęga, czy ja mam sto lat? – zripostował Maks. – Jestem wychowany na reklamach proszków do prania, teledyskach i filmikach z YouTube. O żadnych starych dziadkach-mordercach nie mam pojęcia.

– To świetnie – Mordędze najwyraźniej ulżyło. – Bo widzi pan, nie chciałbym mieć w zespole jakiegoś smętnego ponuraka.

– To z pewnością nie ja – zapewnił go Maks.

Po chwili się pożegnali. Maks wyszedł zachwycony swoim refleksem. Kilkumiesięczne pełnienie funkcji prezesa fundacji, naprawiającej cudze życie to naprawdę świetna szkoła kłamstwa.

o książce *Maks kontra Max*

Minęło zaledwie kilka lat, a Maks z obiecującego młodego pisarza, w którym zakochała się Agata, stał się wyłączonym z życia rodzinnego, bezskutecznie zabiegającym o uznanie bezrobotnym. Umówił się z żoną, że da sobie ostatnią szansę na napisanie lekkiej powieści sensacyjnej, która uczyni z niego poczytnego pisarza. Po zakończeniu pracy ma nadrobić lata zaległości w relacjach z córką, życiu zawodowym i towarzyskim. Każde zdanie nowej powieści stawia mu jednak opór, a postać fikcyjnego Maxa coraz bardziej zlewa się z realnym Maksem.